





5

2



TADEUSZ SMARZEWSKI

WAKACYE W ANGLII

Bolesław Barty



WARSZAWA

NAKLADEM FERDYNANDA HOESICKA

1903

TADEUSZ SMARZEWSKI

A 43928



1000171948

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN


lit 13 a₁

K 117H/61/41

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

BUBL

— 8 —



¶ Koniec lata i początek jesieni spędziłem przed dwoma laty na ziemi angielskiej. Wrażenia, zebrane w podróży, złożyły się na pracę niniejszą.

Systematyczne porządkowanie wspomnień, zestawianie wniosków, zdawanie sobie sprawy z rozważanych złudzeń i przewyciężonych uprzedzeń, jest dalszym ciągiem przyjemności, jaką nam podróż daje. Z takich to notatek, robionych po powrocie, rósł rozdział za rozdziałem.

W podróży mej nie zwiedziłem ani Walii, ani Szkocyi, ani Irlandyi. Wszelkie spostrzeżenia i uwagi dotyczą tylko Anglii właściwej.

Bawilem wśród społeczeństwa angielskiego, w chwili największych uniesień wojennych. Naród był pewien zwycięstwa nad Boerami i oczekiwał rychłego końca walki.

Anglicy przejęci byli żądzą podboju, pragnęli upokorzenia Boerów, pragnęli zawojowania Transwaalu.

Cudzoziemiec nie mógł podzielać tych uczuć,

nie mógł wraz z Anglikami oddawać się radości na myśl, że mała rzeczpospolita afrykańska utraci niepodległość i będzie odtąd prowincją wielkiego państwa. Niektóre objawy dumy narodowej musiały razić podróżnego.

Niepodobna atoli pod wpływem jednego wyłącznie wrażenia wydawać sądu o narodzie. Sąd taki byłby powierzchowny i niesprawiedliwy. Egoizm narodowy nie jest znamieniem samej tylko Anglii.

Wielkie przymioty, którym naród angielski zawdzięcza tyle świetnych chwil, a które są zarazem rękojmią jego przyszłych powodzeń, nie mogą i nie powinny zniknąć dla oka ludzkiego na krótki okres wojny.

Będąc w Anglii, starałem się pamiętać o tem.

I.

Dom na wsi. — Wycieczka po kraju. — Budownictwo. —
Kościół i dwór. — Życie wiejskie. — Wycieczki dyliżansem.

...Wydobylem się nareszcie z tego zamętu, w którym nawet rodowity Anglik nie zawsze daje sobie rady, wydobylem się z dworca kolei i siedzę w wagonie. Jeszcześmy nie minęli ostatnich sygnałów, a już czuć wyraźnie, że jedziemy z szybkością, z jaką tylko w Anglii się jeździ.

Pędzimy na zachód do Reigate. Krajobraz pagórkowaty, zboża mało, wszędzie pastwiska, wszędzie zielono. Cały kraj pocięty żywopłotami lub siatką drucianą na czworokąty, a w każdym czworokącie parę sztuk bydła. Gdzie nie ma sadzawki lub potoku, stoją cebrzyki z wodą. Niech bydło pije dowoli.

W Reigate, gdzie mię miano oczekiwać, niema na dworcu nikogo. Trzeba jechać do hotelu, przebrać się i iść z wizytą.

Miasteczko starożytne. Brama średniowieczna, dwa kościoły, na wzgórzu zwaliska, a wiankiem dokoła z poza starych rozłożystych drzew wyglądają wille.

Reigate jest ulubionem miejscem letniego pobytu dla mieszkańców Londynu. Doskonale powietrze, malownicze położenie i bliskość stolicy dodają tej miejscowości powabu.

Zaledwie zacząłem rozgospodarowywać się w hotelu, slysze bieganie i głosy. Pokazało się, że znajomy mój, od którego otrzymałem zaproszenie listowne, był na dworcu i żeśmy się rozminęli w sposób niepojęty. Niebawem ukazała mi się na korytarzu jego postać w stroju letnim, w kapeluszu słomkowym z fajeczką. Obopólna nasza przygoda podrażniła niemile uczucie gościnności, tak silnie u każdego Anglika rozwinięte.

— Cóż Pan wyrabiasz? Przecież nie jesteśmy w Niemczech. Zabieram Pana z sobą. Zabawisz Pan parę dni u nas.

Służba wynosi mój tłumoczek. Siadamy na niewielki dwukolny wózek, zaprzężony jednym koniem. Chłopak stajenny sadowi się z tyłu. Anglik bierze bat i lejce. Jazda.

Jedziemy z fantazyą. Droga idzie w zakosy między willami, z góry na dół. Kara klacz rwie do domu. Małe to, lśniące, jak gałka, żelazne w nogach, twarde w pysku. Wózek lata na skrętach

z jednej strony na drugą. Parę razy mijamy ogromne modne powozy, mające naśladować epokę Wilhelma IV, a w powozach wspaniałe damy o siwych loczkach, ufryzowanych z kokieteryą, wracające na obiad z przejażdżki.

Czasem w przelocie mignie nam przed oczyma jakaś willa obrośnięta bluszczem, z wieżyczką, z werandą i z kawałkiem szmaragdowej murawy przed oknami.

Go on, go on, do domu!

W bramie witają nas psy, uciecha ogromna.

Poznaję całą rodzinę, oprowadzają mię po ogrodzie. Przechodząc, rzucam okiem na szereg obrazów angielskiego pendzla, porozwieszanych w bawialni.

Ogród rozległy. W ogrodzie trochę krów i owiec, a zewsząd widok na lesiste wzgórza. Reigate uchodzi za jedną z piękniejszych miejscowości w południowej Anglii. Nie jest to brzydkie. Nie jest tu co prawda, tak ładnie, jak u państwa Łozińskich w Kuńkowcach lub u państwa Konopków w Mogilanach, ale i to ma wdzięk właściwy.

W sąsiedztwie roztacza się przed oczyma park o rozmiarach ogromnych. Był on własnością starej rodziny szlacheckiej. Konkurencya pszenicy amerykańskiej, która tylu rodzinom ziemiańskim w Anglii dała się we znaki, zmusiła właścicieli do

pozbycia się tak zbytkownego skarbu. Nabył go fabrykant musztardy.

I cóż z nim zrobił?

Nic. Pozostawił go według dawnej tradycji otworem dla publiczności.

Podziwiam wraz z całym towarzystwem okolicę, gdy z miną nieruchomą, poważny i posłannictwem swem przejęty zbliża się ku nam John.

Potrzebny mu jest kluczyk od mego kuferka. Już dobrze po szóstej. O wpół do ósmej zadzwonią na obiad. Trzeba panom przygotować fraki.

Trudno opisać tę swobodę, pełną jakiegoś przyjaznego zaufania, z którą Angielka wita gościa, przekraczającego próg domu. Tu nie można czuć się obcym; tu obcych nie przyjmują. Dom otwarty jest tylko dla tych, którzy zasługują na to. Kto zaś zasłużył, by się drzwi domu przed nim rozwarły, ten wart również, by go przyjmowano, jak dobrego znajomego.

To też ta atmosfera domu angielskiego sprawia dziwy. Anglik, który przeszedł Europę wzdłuż i wszerz, depcąc ludziom po nagniotkach, odnajduje tu przy ognisku domowem w głębi swej piersi jakieś tony delikatne i subtelne, jakieś dźwięki serdeczne i szczerze, jakąś swobodę i wesołość, której nie widzieliśmy w nim nigdy.

Przy czarnej kawie rozmowa o podróżach,

o Anglikach na lądzie stałym, o cudzoziemcach w Anglii.

— Nie sądz Pan Anglików, dopóki nie poznasz ich w domu — powiada mi gospodarz — turyści nasi, objeżdżający Europę, nie mogą uchodzić za przedstawicieli narodu.

To samo zdanie słyszałem następnie nieraz. Jest ono w znacznej części słuszne. Turysta angielski wychodzi bardzo często z zasady, że za granicą nie trzeba na nic zważać, nikomu ustępować, z nikim się liczyć. We własnym kraju byłoby to niemożliwe.

Naturalną koleją rzeczy rozmowa krążyć zaczyna około mej podróży i moich wrażeń. Co chcę widzieć? Wszystko! Chciałem widzieć Irwinga w którejś z ról szekspirowskich. Żałuję, że go zobaczę tylko w komedii współczesnej.

Dwie młode panienki wynagradzają mi to natychmiast zaimprovizowaną sceną z „Hamleta“.

— Patrz pan, tak Irwing chodzi... tak przebija kotarę!

Tu, tu na wsi, przypatrywać się trzeba życiu angielskiemu. Tu zdajemy sobie sprawę z objawów tego życia; tu, wnikając w szczegóły, zaczynamy lepiej pojmować całość. Jesteśmy na wyspie. Do Anglii jedzie się przez morze. W tym prostym fakcie mieści się powód wielu różnic między Anglią i lądem stałym.

Do Anglii jedzie się przez morze. Anglicy pamiętali o tem zawsze. Wiedzieli, że najezdcom niełatwo się do nich dostać. Czuli się bezpieczni w domu, nie żyli w nieustannej trwodze, więc zabudowywali się inaczej niż gdzieindziej. Mogli obchodzić się bez murów obronnych. Dom był bezpieczny nawet wśród pól i lasów.

Rys ten potęguje się przez to, iż wojny domowe, przez jakie Anglia przeszła w wieku XVII w okresie rewolucyi, nie mogą nawet w przybliżeniu dorównywać strasznym dziejom Niemiec i Francyi w czasie wojny trzydziestoletniej, w czasie wojen Ludwika XIV i XV, w czasie wojen szląskich, w czasie Konwencyi i Napoleona. Pamiętajmy nadto, że nawet za Cromwella dopuszczano się najokropniejszych czynów nie w Anglii właściwej, lecz w Szkocyi, a przedewszystkiem w Irlandyi. Bez przesady można więc powiedzieć, że ostatnia długotrwała, okrutna wojna, jaka się toczyła na ziemi angielskiej, była to wojna Dwóch Róż. Od tego czasu, od czterystu lat miasta angielskie nie były już w całej grozie i na większej przestrzeni kraju pustoszone ogniem i mieczem, nie były objadane przez wojska własne i cudze, nękanie kontrybucyami i pohulanką żołdactwa. Anglia toczyła wojny nieustanne, ale toczyła je zdala od swych ognisk domowych: toczyła je w koloniach i na lądzie stałym Europy.

Porównajmyż historję jej miast z tem, co się działo gdzieindziej.

Wyobraźmy sobie Paryż bez barykad, bez Konwencyi, bez gilotyny, bez najazdu wojsk obcych, bez komuny, miasta niemieckie bez nieustannych wojen, łupieztw i grabieży, Pragę bez bitwy na Białej Górze, Kraków bez Szwedów, konfederatów, Austryaków, Moskwę bez Napoleona i pożaru! Jakże się dziwić, że kraj, który nie miał takich przejść, rozwijał się w sposób odrębny?

Do Anglii jedzie się przez morze. To też każdy budował się tu śmiało. Każdy zabudowywał się, gdzie chciał. By poznać te zabytki budownictwa, nie trzeba pytać o drogę wiodącą do miasta. Kto chce wiedzieć, jak dawni Anglicy budowali, jakie obierali miejsca pod dwór wiejski, pod kościół i szkołę, niech bierze kij w rękę i rusza w świat przez pola. Niech nie zbacza z drogi i zawierzy losowi. Niech idzie śmiało, gdzie go zawiedzie ścieżka, która przed nim bieleje środkiem pastwisk, okolonych żywopłotem i w zakrętach okrąża kępy starych wiązów i dębów. Niechaj się zda na jej łaskę. Nie pożałuje tego. Gdy minie kołowrót jeden i drugi, gdy minie jedną i drugą grupę bydła srokiego, które ciekawie przyglądać mu się będzie, ujrzy zdala z poza drzew dym, bijący w górę z komina starej angielskiej gospody, która pamięta może czasy lorda protektora.

Nie przechodźmy bezmyślnie obok świadka dawnych wieków. Wejdźmy i wypocznijmy. Zobaczmy w izbie gościnnej prawdziwą kuchnię staroangielską z ogniskiem w głębi olbrzymiego kominu; poznamy, jak smakują prawdziwe angielskie przyprawy, tak odmienne od tego, co nam dawano w wielkich hotelach londyńskich; pokosztujemy potraw naprzemian mdłych i ostrych; pokosztujemy nieznanych ryb morskich o suchem mięsie, o silnej woni i gryzącym smaku.

Wsi, wsi małopolskiej, wsi, jaką widzimy w Krakowskiem, z długim szeregiem chałup między sadami, nie szuka się w Anglii. Dzierżawcy więksi i mniejsi mieszkają wśród swoich pól. Przy większych fermach widzimy po kilka domków robotniczych; przy mniejszych ich niema. Ale za to, gdy wędrowiec opuści gospodę i skieruje się ku gęstwinie, ujrzy wśród drzew kościół parafialny, zasunięty już trochę ze starości w ziemię. W którą stronę świata kroki zwróci, co pół godziny, co godzina mijać będzie te małe świątynie wiejskie. Jeżeli nie brak między niemi nowych, to nie brak też zabytków epoki przedreformacyjnej, ba, nie brak prawdziwych pomników dziejowych z doby po podboju normandzkim.

Architektura angielska nie gnieździła się w ciasnocie miejskiej. Komu przyszło natchnienie stawiania świątyni gotyckiej na chwałę Bożą, rozpo-

czynił robotę tam, gdzie dom sobie założył, na leśnej polanie, na stoku pagórka, na zielonej murawie, pokrytej zrzadka rozłożystymi dębami.

Budowano tak niekiedy i kościoły wspaniałe, do których dziś dochodzi się nie przez korytarze wązkich ulic średniowiecznego miasta, ale przez szmaragdowe rozłogi, na których czerwienią się zrzadka gromadki bydła rogatego, skupione w cieniu drzew.

Ale o ileż więcej powstawało w całym kraju tych drobnych pieścidełek romańsko-gotyckich, odpowiadających wielkością zasobom jednego dworu szlacheckiego, lub jednej wiejskiej parafii, a mówiących przechodniowi co chwila, że ziemia, po której stąpa, była z dawien dawna gościnną dla sztuki, że sztuka mogła mieszkać tu bezpiecznie wśród borów i pustkowi, że wystarczała jej ochrona mórz.

W wiekach średnich bywało i tutaj groźnie i po zbójecku, ale gdy się skończyły zatargi baronów z Plantagenetami o prawa i przywileje, gdy „swobody na albiońskim spisano ostrowie“, Anglia wychyliła się z zamków i grodów na świat otwarty. Tam, w miastach pozostały stare romańskie katedry o grubych przysadzistych kolumnach, stawianych, rzekłbyś, przez cyklopów, o kondygnacjach łuków, wspierających się jedne na drugich. Został cały świat kamienny, na który złożyły się: pro-

stota, siła i ten wielki spokój ducha, przed którym korzyć się trzeba.

Obok tego świata, który Anglik nazywa „normandzkim“, powstał dokoła świat inny. Po całym kraju zaczęto wznosić zwolna domy Boże, dworce szlacheckie i kolegia szkolne. Ostatnie resztki romańszczyzny kojarzą się w nich w rozpanoszonym ponad inne style gotykiem i pierwszemi naleciałościami młodego renesansu.

Budownictwo angielskie ma swe własne powaby. Dlatego też nie trzeba szukać w niem uporczywie powabów, którymi w poprzednich wędrówkach nęciły nas budowle na lądzie stałym.

Style kojarzą się tu ze sobą odmiennie. W kościołach normandzkich uderza czworokątna baszta, wznosząca się na grubych kolumnach w samym środku świątyni, tam, gdzie nawa poprzeczna przecina nawę główną. Ta baszta nie znika z najazdem gotyku, który dostał się tu z za morza w wieku XII. Znajdujemy ją odtąd w kościołach gotyckich.

Obok sklepień z ciosu spotykamy w różnych epokach mile zawsze dla oka angielskiego wiązanie drzewne. Naród żeglarzy, naród, który nieustannie budował okręty, lubił i umiał robić toporem. Stropy drewniane, zdobione umiejętnie, nie znikają nigdy na stałe z architektury kościelnej w Anglii.

Kościół angielskie mają przepiękne krajobra-

zowe tło, ale brak im smukłości i strzelistości kościołów francuskich i niemieckich.

Szczupłość miejsca, krępująca gdzieindziej wolny oddech i zmuszająca piąć się w górę, nie gniotła tu kościołów i domostw. Przestronno im było pod wolnem niebem Anglii. Wieże kościelne nie zazdrozczą tu sobie, jak w miastach, nie prześcigają się, jak jodły w gęstym lesie, pędząc co rychlej ku niebu. Tu każdy kościół, każdy dom mieszkalny stoi sam dla siebie. Wieża rozsiadła się szerzej. Szerzej rozrosły się okna. Kościołek wiejski traci smukłą cechę kościołów gotyckich na lądzie stałym. Obok linii pionowych zarysowują się coraz wyraźniej w jego kształtach linie poziome. Jedne i drugie, przecinając się i krzyżując, wytwarzają typ architektoniczny, zwany w Anglii „perpendykularnym“.

To samo znać w pałacach i dworach. Przy budowie ich nie szło budowniczemu o łatwość obrony. Nie starano się ścieśniać obszaru. Nie piętrono komnat nad komnatami. Nie zwężano okien tak, by w danym razie można je zamienić w strzelnice. Zamiast rósć w górę, rozrastał się dwór poziomo; wypuszczał z głównego korpusu skrzydła ku ogrodowi; zamiast ostrołukowych, miewał okna ujęte w ciosane z kamienia gotyckie obramienia czworokątne. Przystawał być zamkiem. Ktoby tam myślał o stawianiu obronnych zamków, skoro

Francuz, Hiszpan, czy Szwed, musiałby dopiero budować flotę, gdyby mu przyszła ochota zawitać do Anglii w goście. I rachuba nie zawiodła. Armada hiszpańska nie dopłynęła do brzegów Albionu; Bonaparte nie ośmielił się ruszyć ku brzegom angielskim.

Zamek lorda stawał się coraz bardziej pałacem. Stawał się nim o parę wieków wcześniej niż w krajach łądu stałego. Dawny obronny dwór szlachecki zachował wprawdzie swe niektóre znamiona, zachował swą hallę z kominem, z trofeami, ze stołem biesiadnym, ale nie był już „gródkiem“; coraz bardziej zamieniał się w dom mieszkalny.

Te skarby architektury, rozsypane po kraju, dają nam pewien całokształt ówczesnego życia. Są one często drobne rozmiarami, sięgają ledwie grubych konarów, pod których cieniem wyrosły; odpowiadają potrzebom bądź jednostki, bądź niewielkiej grupy ludności; stoją dostępne dla wszystkich.

Ten pęd do wsi, do zabudowywania i zagospodarowywania się poza obrębem miast, do wyzwania się z pęt, jakie nam narzuca wszelkie zbiorowisko, zarysowuje się na każdym kroku. Kto mógł, starał się na łądzie stałym, by po śmierci leżeć w podziemiach wspaniałego kościoła w miasteczku lub w mieście stołecznem, a w Anglii zaczęły już powstawać cmentarze z całą poezją miasta umarłych, z gęstwiną krzewów i ziół, obra-

stających omszone tablice i sarkofagi, zaryte w ziemię.

Obok małego kościółka z czworokątną basztą, zdala od walk i zabiegów, pod płytą, tonącą w zieleni, spoczywają zwłoki ludzi, których nazwiska na wieki przechowa historia Anglii, ludzi wsławionych wielką nauką, wielką energią lub wielkiem sercem.

Jak przy budowie domu i kościoła, tak też powietrza i zieleni szukał Anglik, gdy przyszło budować szkołę lub kolegium uniwersyteckie. Ileż tam wszędzie miejsca! Ma się gdzie rozbijać młodzież, oddana na naukę. I tu budowle nie strzelają w górę, lecz rozłożyły się szeroko. Bez końca błądzić można po ostrołukowych krużgankach; każdy dziedziniec — zielony, każdy przypomina młodzieży, iż pracę przeplatać trzeba igrzyskiem; krużganki wiedą nas dalej i dalej, aż nareszcie wychodzimy na łąkę ciągnącą się gdzieś w dal. Znajdzie tam pomieszczenie i cricket, i football, i golf, i lawn-tennis, i mnóstwo gier innych.

Jakich fortyfikacyj trzeba było, żeby takiemu miastu zapewnić obronę! W rzeczywistości nie wiele o to dbano. Szkoła żyła życiem otwartem, jakim się żyło na wsi. I przeciw komu bronić jej miano? Miasto tak starożytne, jak Cambridge, nie było nigdy oblegane, nigdy brane zbrojną ręką. A jednak nie brakło tam grosza w skarbcach ko-

legialnych, nie brakło kosztowności w kaplicach, nie brakło towaru u kupców. Łupów było w bród. Nie było komu ich brać.

Zamilowanie do ruchu, do swobody, do życia na świeżem powietrzu objawia się na każdym kroku.

Z Londynu do Brighton jest dobrych siedm mil „ukraińskich“. Rzecz oczywista, iż między stolicą państwa a modnemi kąpielami morskimi kursuje ustawicznie mnóstwo pociągów. Mimo to chodzą codzien tam i napowrót przez cały sezon kąpielowy olbrzymie landary, budowane na wzór starych dyliżansów pocztowych, z ławkami w górze nad pudłem, czterokonne, pakowne, ciężkie. Kto nimi jeździ? Amatorowie, a przedewszystkiem amatorki.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem taką „pocztę“ na popasie i gdy mi powiedziano, że wiele osób tylko w ten sposób do Brighton jeździ, wziąłem to za żart. A jednak mnóstwo Angielek przepada za taką jazdą.

Daje im ona to wszystko, co Angielka lubi. Jadąc dyliżansem, widzimy świat boży, widzimy łąki, lasy, stawy, widzimy ludzi w polu i bydło na pastwisku. Jadąc dyliżansem, oddychamy... kurzawą, a przyjechawszy na miejsce, czujemy podróż w kościach, wiemy, żeśmy jechali, mamy

dłuższe wspomnienie tej przyjemności, na której poznał się już Radost fredrowski, zapewniając, że

„...czy zimą, czy latem, czy polem, czy lasem,
Miło angielską miłą przejechać się czasem“.

Podróżując dyliżansem, mamy wreszcie złudzenie, że żyjemy w czasach, opisywanych przez Dickensa i Bulwera. Wchodzi tu w grę ów pierwiastek konserwatywny, silnie zakorzeniony w duszy angielskiej.

Dziadunio i babunia jeździli po ślubie pocztą do Brighton, i ile razy była o tem mowa, zawsze sobie tę podróż chwalili. Jakże się dziwić, że wnuczęta chcą mieć takie same wspomnienia?

II.

Kto zbudował Londyn? — Trojanie nad Tamizą. — Topór
kata i swobody ludu. — Niedziela. — Zaułki londyńskie i ję-
zyk polski. — Prośesa.

Kiedy zgliszcza Troi dogorywały, a Eneasza uwo-
ził bogi ojczyście ku dalekim brzegom, jeden z jego
towarzyszy, imieniem Brutus, nie podążył wraz
z innymi na gościnny dwór Dydony, lecz przedarł-
szy się aż na Atlantycką, okrążył półwysep pirenejski,
minął Bretanię, wodami kanału udał się do ujścia
Tamizy, ujechał jeszcze kawał w górę rzeki i za-
rzuciwszy nareszcie kotwicę, zbudował na brzegu
miasto, które nazwał Troynovant.

Z trojańskiego Brutusa zuch był nielada. Że
zaś krew nie kłamie, przeto i jego potomkom
nie brakło ochoty do czynów. Jeden z nich nazy-
wał się Lud i zbudował wspaniałą bramę w miej-
scu, które po dzień dzisiejszy ma nazwę Ludgate,
i na którym dziś jeszcze, w trzydzieści wieków po

zburzeniu Troi, znajduje się gospoda „Pod królem Ludem“.

Potomek Luda, Cassirelaunus, wojował z Juliuszem Cezarem i zawarł z nim przymierze, a gdy znowu upłynęło półczwarta wieku, cesarzowa Helena przysłała królowi angielskiemu kapłanów, którzy nawrócili jego kraj na wiarę chrześcijańską.

Komuś, ktoby chciał poznać historię założenia Londynu, musielibyśmy ją opowiedzieć w ten sposób. Dzisiejsza krytyka historyczna, odrzucająca wszystko, czego nie posiada czarno na białem, nie może się pochwalić dokładną znajomością tego faktu historycznego. Dlatego też poszliśmy w opowiadaniu za głosem zacnego Geoffrey'a z Monmouth, kronikarza z w. XII. Z fantazyą, niekrępującą się niczem, sprowadza on Trojan nad Tamizę i daje Brutusom rzymskim imiennika, którego nie potrzebują się wstydzic.

Kto założył Londyn, nie wiemy.

Wiemy natomiast, że nie założyli go Trojanie.

Wiemy także, że przez długie wieki cywilizacya napływała tu z lądu stałego, posuwając się z południa na północ. Po podboju normandzkim, nowe rządy i nowe zwyczaje feudalne rozpostarły się między cieśniną i wodami Tamizy. Nowi władcy zaczęli wzmacniać grody nad rzeką dla obrony zajętego kraju. Londyn stał się ważnym punktem

strategicznym. Stolicy tu wówczas nie założono, Wilhelm Zdobywca rezydował w Winchester.

Ciemno już było na ulicach, kiedy po raz pierwszy wyszedłem z hotelu. Lud płynął rzeką koło mnie. Uczulem, że jestem w ogromnem środowisku życia, pracy, walki o byt.

Dwie rzeczy uderzyły mnie przedewszystkiem.

Po pierwsze: szybkość, z jaką ta rzeka płynie. W Londynie ludzie nie przechadzają się po ulicach, nie walęsają się. Idą prosto do celu, patrząc przed siebie. Człowiek porządnie ubrany, a rozglądający się na prawo i lewo, idący od niechcienia, przystający i zbaczający z prostej linii dla zabicia czasu, zwraca na siebie uwagę, jako cudzoziemiec.

Szczegół drugi, to niesłychana wyrazistość twarzy. Znać starą cywilizację, spojrzawszy na tych ludzi.

Fala płynie, płynie i nagle wsiąka gdzieś w ziemię, jak rzeka w pustyni piaszczystej. — Londyn idzie spać wcześniej. Ruch ustaje nagle.

Od czegoż zacząć ranną porą zwiedzanie tego olbrzyma?

Trzeba postępować systematycznie. Zaczniemy od grodu londyńskiego, od Tower'u.

Tower jest wielki i szary.

Nic z kokieterii zamków gotyckich. Nic z zalotnych powabów, jakimi wdzięczą się ku nam smukłe profile kaplic i skrzydeł Malborga, jakimi

przemawiają baszty z Wartburgu i zamku Norymberskiego. Nic z tej sprzeczności między ostremi iglicami baszt i wież, któremi dusza zamku wyrывa się z murów w błękity, a ciemnem wnętrzem wieży, gdzie na kolczastych narzędziach katowskich zostały skrzepy krwi, wysączonej na śledztwie z ofiary. Przechodzień nie zadaje tu sobie pytania, jakim sposobem ten sam budowniczy mógł dawać plany na wzniosłą, strzelistą, pnącą się ku niebu kaplicę zamkową, i na sklep podziemny z otworem, przez który na łańcuchach spuszczano więźnia, by go brać na męki. — Nie! Tu wszystko jednolite, harmonijne i wyraźne. Budowa jest prosta, mocna, ponura. To nie zamczysko, owiane poezją romantyczną, nie zamczysko o syrenich ponętach, a czarnej i zbrodniczej duszy. — To dzieło ręki ludzkiej, w którym i wielkość i postać i myśl kojarzą się w całość wymowną. — Tower miał mówić ludowi, że niedobrze dostać się w ręce tych, którzy go stawiali. Mówił też to każdemu na pierwszy rzut oka. Mówił to przez sześć wieków, od podboju normandzkiego do rewolucyi.

W pojęciu Anglika podstawą państwa jest wolna umowa. Konstytucya wyrosła z prastarej ugody między królem i baronami. Żadnej ze stron nie udało się dotąd ugody obalić, a gdy baronom w czasach późniejszych zaczęło sił ubywać, w prawa ich wszedł spadkobierca potężniejszy od nich, wszedł

lud angielski. Królewskość i przedstawiciele narodu, to dwa pierwiastki władzy.

Te dwa pierwiastki, zjednoczone w konstytucyi angielskiej, wbiły swe godła kamienne w piasek nadbrzeżny nad Tamizą. Tam dalej na Zachód, w górę rzeki, widzimy Westminster-Hall, gmach parlamentu, przebudowany po pożarze, ale znany nam z rycin w swych kształtach dawniejszych. Pozostała jeszcze z dawnej budowli ogromna sala z dębowymi wiązaniami w ostroluk, przestronna, oświetlona szeregiem okien gotyckich, ciągnących się w dal, gościnnie niegdyś otwarta na przyjęcie zebrań. Tę zbudowali królowie dla doradców, zwolowanych z zamków i miast. Tam wybrańcy narodu sądzili w wieku XVII lorda Strafforda, a w wieku XVIII Hastings'a. Pierwszego z nich za ślepe posłuszeństwo względem króla, który przysłuchiwał się procesowi, a nie mógł ocalić przyjaciela; drugiego za nadużycia, których nie zdołano mu dowieść. Każde okno, każdy łuk, każdy baldachim rwie się tam w górę. Każdy kamień przejęty tchnieniem, które dało treść i życie całości. Wszystko zuchwale i porywające, jak wola ludu.

Inaczej przedstawia się pierwiastek drugi, królewskość. Ci, co ją utrwalili przed lat tysiącem, przybyli z za morza z drużyną zakutą w stal, umiejącą uderzać zwartym hufcem, umiejącą zdobywać i zdobyć bronić. Normanowie zajęli zrazu kraj

po Tamizę i, jakby na znak, że nie ustąpią, postawili na drugim brzegu Tower.

Błąkając się po dziedzińcach Toweru, obchodząc załomy ścian, z których wieje chłód średniowiecznej srogości i martwoty, sądzimy przez chwilę, że to jakieś dzieci olbrzyma, bawiąc się nad rzeką, wzniosły niezgrabną budowę z ogromnych, ciężkich klocków. Przypatrzmy się zbliska. Nie są to już klocki pierwotne, obrobione niewprawną ręką dziecka. Na niejednym z nich znać, że plemię, które stawiało Tower, przybyło z krajów wcześniej ogrzanych promieniem słońca, z krajów, pokrytych zwaliskami świątyn i odłamami posągów.

Gundulf, biskup rochesterski, który swemu królowi ten zamek zbudował, oglądał za młodu kościoły romańskie w Burgundyi lub Włoszech północnych. Ukryta wśród murów kaplica św. Jana, to bazylika romańska o trzech nawach, wspartych na dwóch rzędach kolumn ciężkich, niskich, wiecznotrwałych. Ubóstwo, nagość, gładki kamień. Tylko na świętych rogach kapitelów widać tu i ówdzie zaznaczony niewyraźnie rysunek liści. — Bujny ornament roślinny kolumn greckich i rzymskich zamarł pod mroźnym powiewem północy. Na trzonie grubo ociosanym został tylko odcisk tego, co niegdyś żyło.

A tam, poza murami kaplicy, prześliczny dzień sierpniowy. Zielona murawa, okrywająca podwó-

rzec, lśni się od blasków słonecznych. Przed strażnicą warta pod bronią, a nieco dalej kilku wiarusów w czerwonych kurtach wygrzewa się na słońcu.

Na zielonej trawie stanął, aby odbyć przegląd warty, polyskujący czarnymi piórami, oblaskawiony kruk.

— Dzień dobry, kruk!

Nie mijajmy go obojętnie. Z nielada jakiego wywiódł on się gniazda. Jego pradziady kosztowały królewskiego mięsa. Tu, gdzie stoimy, ścinano lby. Opodał, obok kapliczki św. Piotra, był cmentarzyk, na którym chowano straconych.

Tu, tu, gdzie kamienie brukowe tworzą czworokąt, kat ścinał Annę Boleyn i Katarzynę Howard, dwie żony Henryka VIII. Tu ścięta głowa pięknego Essexa wylupiała na świadków egzekucyi białka tych oczu, w które siwiejąca Elżbieta wcałowywała się przedtem namiętnie. Młodzieniec nie był bez pretensyi. Nie lubił, gdy go królowa biła po twarzy na posiedzeniu tajnej rady. Miał też niejakię prawa do względów. Był młodszy od swej zakochanej pani o lat trzydzieści cztery.

Któż policzy wszystkich!

Tu na pniu katowskim złożyli głowy kanclerz More i biskup Jan Fisher, czczeni przez katolików angielskich, jako męczennicy za wiarę.

Tu topór nie próżnował. Ścinano pretendentów

i pretendentki, ścinano zauszników, posądzanych o zbytnią gadatliwość, ścinano obłąkanych i półgłówków, dotkniętych obłędem wielkości.

Spojrźmy dokoła. Kto tu nie siedział, kto nie płakał, kto nie doznawał śmiertelnych dreszczów! Niechaj nam mówi o tem Szekspir i historycy angielscy. Henryk VI dokończył tu żywota, zapewne z woli swego następcy; Edward V rozstał się jako chłopiec ze światem, by ustąpić miejsca stryjowi, Ryszardowi III. Zaznała pobytu w Towerze i Elżbieta, gdy była dzieckiem. Wiedziała, jak wygląda więzienie, do którego odsyłała kochanków. Oprócz Essex'a gościł bowiem Tower drugiego jeszcze jej ulubieńca, Leicester'a.

Tower i pałac westminsterski, siedziba parlamentu, pilnują Tamizy. Oddziela je tylko kawał Londynu. Ten kawał starczyłby gdzieindziej za całe miasto.

Od niedawna dopiero gromadzi się parlament w nowym gmachu, a jednak z gmachem tym zrosło się już wspomnienie niejednej chwili dramatycznej. Ta sala izby gmin, niby nowa, a jednak pełna uroku starożytności, niby ciasna, a jednak wielkopańska, niby nie odznaczająca się niczem, a jednak jedyna na kuli ziemskiej, była widownią walk z Irlandczykami, widownią krasomówczych tryumfów Gladstone'a, widownią ostatecznych jego niepowodzeń, gdy chciał kwestyę irlandzką w sposób śmiały, nie-

zwykły, wspaniałomyślny wykreślić z szeregu spraw, niepokojących naród angielski.

Spokojnie patrzą na przybytek prawodawców stare wieżyce opactwa westminsterskiego. Nie lękają się one ani o swą przeszłość, ani o przyszłość kraju. Patrzyły już na niejedną troskę, a pamiętają, że wszystko skończyło się dobrze. Patrzyły też na wiele chwil jasnych. Patrzą nieustannie na napływ nowych bogactw, nowych łupów, nowych skarbów sztuki, nowych dziwów przyrody, splodzonych gdzieś na obcej ziemi, pod obcym niebem.

Opactwo westminsterskie daje swym kształtem zewnętrznym wyraźne świadectwo, że gotyk, podobnie jak styl romański, przyszedł tu z Francji. Kościół wyższy od innych, smuklejszy, jednolity, stoi tu tak, jakby mógł stać z tamtej strony cieśniny. Wewnątrz znać, że gotyk przeobraził się pod wpływem pojęć angielskich. Sklepienia gwieździste, bogate, obwisłe, niespokojne, nadają kaplicom piętno wybitnie angielskie. A po kaplicach skupiły się wszystkie style, jakie oglądano na świecie, począwszy od motywów maurytańskich w grobowcu Edwarda Wyznawcy, a skończywszy na najwyuzdańszym baroku. Bo też co kilka lat otwierał Westminster podwoje dla jakiegoś nowego przybysza. Ostatnim był Gladstone, pochowany w skrzydle północnem, opodal Beaconsfielda, Pitta, Canninga.

Grzebano tu przez długie wieki ludzi, których

zabierała śmierć, gdy byli na szczycie sławy. Grzebano i takich, którym nic życia przecinał topór katarski. Leżą tu królewicze, zgładzeni w Towerze z rozkazu Ryszarda III., leży Marya Stuart, mająca taki sam nagrobek, jak jej kochana siostra Elżbieta.

A dokoła wre życie miasta, któremu wszystkie strefy globu ziemskiego składają haracz pod wszelką postacią.

Trudno sobie wyobrazić, jakie skarby sztuki Anglicy pozwozili zewsząd, gdzie ich wydostać mogli. Posągi Ramzesów liczą się tu na kopy, mozaiki kartagińskie mierzą się na sążnie kwadratowe. Drogo zapłaciła Grecya Anglii za opiekę i przyjaźń podczas wojny o wolność. Marmury ateńskie, zwane marmurami lorda Elgina, zajęły całe skrzydło w British Museum. Helios, bóg słońca, wyjeżdża dziś z morza, by świecić krainie, zziębniętej pod osłoną mgły wilgotnej. Promienie sztuki ogrzewają Anglię, jak niegdyś ogrzewały Helladę.

Nad zbiorami londyńskimi świeci szczęśliwa gwiazda. Zwożono tu z lądu stałego całe studnie weneckie, całe chórki kościelne z Flandryi, całe kawaly ścian z Freskami Giotta i Michała Anioła. Botticelli, Bellini, Frans Hals, Hobbema, Van Dyck, dostarczyli swych najlepszych płócien, a obok nich roztacza swe blaski czarodziejskie świat sztuki angielskiej, świat Rosetti'ego i Burne-Jones'a.

Na przechodniów, snujących się przez British

Museum, patrzy łagodnie marmurowa Ceres. Bogata jej szata układa się w draperyę poważną. Wie, że jest tu panią. Objęła rządy nad tą wyspą urodzajną i panuje z Pomoną, Florą i Vertumnem od wieków, nie słysząc szczęku oręża, nie patrząc na płonące grody i siola, nie bolejąc nad zniszczeniem pól i plonów.

Bogini przyniosła Anglikom szczęście, ale panowanie jej nie jest tu niepodzielne.

Mars powraca. Co parę tygodni odchodzą nowe zaciągi do Afryki. Na rogach ulic czytamy wspa- niałe ogłoszenia, zachęcające młodzież do służby wojskowej. Każdy rodzaj broni ma osobne afisze, a jedno piękniejsze od drugich. Mundury malownicze, życie rozkoszne, żold obfity. Toteż przed afiszami czytelników nie brak.

Wszystkie inne oddziały przelicytowała piechota okrętowa. W przystaniach obiecują żołnierzom football, cricket'a, tennis'a. Jakże się tu oprzeć pokusie?

Żołnierz miewa się dobrze. Jadło ma być wyborne, a jak widzimy z ogłoszeń, płaca niezła. Nie ma w wojsku angielskiem szeregowca, któryby dostawał mniej, niż szyllinga (około 45 kop.) dziennie; starsi podoficerowie dostają od pięciu do sześciu szylingów.

Biuro werbunkowe znajduje się w pobliżu Trafalgar-Square. Przez cały dzień kręcą się tam pod-

oficerowie wszelkiej broni i przyglądając się z pod oka przechodniom, szukają zdobyczy. Gdy młody chłopak, ubogo odziany, zbyt długo wczytuje się w ogłoszenia wojskowe, gdy się namyśla, odchodzi i wraca, ujrzy zaraz obok siebie wiarusa w spencerze i furazerce na bakier.

Byle kogo nie odkomenderowują do tej służby. Przepyszne można tam widywać typy. Wyga, który i na Gibraltarze umizgał się do Hiszpanek i w Dekanie szamotał się z żółtą febrą i na Borneo dawał sobie wypalać ranę od zatrutej strzały, umie młodemu chłopcu przedstawić wszystko ze strony ponętnej. Już zniknęli w bramie.

De Wet nie wystrzelał jeszcze amunicji do ostatka, a nikt nie wie, która kula komu przeznaczona.

* * *

Nie! Tak sobie nie przedstawiałem niedzieli w Londynie. Nie można się oswoić z pustką na ulicy. Pierwszą niedzielę na ziemi angielskiej przebyłem w Reigate. I tam ulica zamiera w siódmym dniu stworzenia. Ale Reigate — to prowincya. Co innego Londyn, miasto pięciomilionowe, stolica połowy świata. Tu słyzy się wszystkie języki, jakimi ludzkość przemawia od czasów wieży babilońskiej. Tu spotyka się wszelkie rasy ludzkie, począwszy od ucywilizowanego Indyanina z Kanady, a skończyw-

szy na Hindusie z nad Gangesu. Złoto angielskie przynęca tu aktorów, śpiewaków, grajków, skoczków ze wszystkich ziem łądu stałego. Cóż cały ten tłum robi w niedzielę? Niema go. Niema! Zniknął, rozplynął się, zapadł się pod ziemię...

Gdzie spojrzeć, wszędzie to samo. Kamienice stoją, jak stały wczoraj. Trzeba się domyślać, że ludzie siedzą w domu. *Cab'ów* prawie nie widać. Omnibus ukazuje się zrzadka. Z wrażeniem pustki łączy się wrażenie ciszy. Między godziną dziewiątą a dziesiątą miasto wygląda tak, jak w inne dni między piątą a szóstą rano.

Rzecz oczywista, że taki olbrzym nie może pozostawać długo w nieczynności. Koło południa ruch się nieco ożywia. Pominąwszy atoli najbliższe otoczenie wielkich parków, do których lud płynie falą, chodzimy przez dzień cały po mieście półsennem.

Inaczej być nie może. Świątce niedzieli przesiąkło do najdrobniejszych szczegółów codziennego życia. — Widziałem domy bardzo zamożne, w których w niedzielę podają na obiad tylko zimne mięso. Widziałem Anglików, którzy tylko raz na tydzień, w niedzielę, przychodzą do stołu nie we fraku, lecz w surducie.

Świątce niedzieli nie jest znamieniem jednego wyznania, lub zwyczajem, panującym wyłącznie na tej tu małej wyspie. Ogarnęło ono cały, ogromny

świat angielski. Rodziny katolickie trzymają się tego zwyczaju równie ściśle, jak anglikańskie. Na Przyładku Dobrej Nadziei i w Australii niedziela obchodzona jest jak w starej Anglii. Ludy podbite, przyjmując wraz z kulturą angielską polor angielski, wchodzą także częściowo w ten tryb życia. Młodym Murzynom lub Hindusom, przybywającym na naukę do miast angielskich, nie przyjdzie na myśl wziąć się w niedzielę do piłki lub wiosła.

Odpooczywają więc zielone trawniki, na których w ciągu tygodnia odbywają się gry i igrzyska; odpooczywają koleje żelazne, na których w niedzielę krąży mniejsza liczba pociągów, odpooczywa służba po domach.

Cóż robi Anglik w dzień święty?

Wiele rodzin chodzi po dwa, a nawet po trzy razy do kościoła. Robotnik przesypia połowę niedzieli. — Pewna część zamożniejszych wyjeżdża z Londynu. Synowie i córki zjeżdżają się w domu rodziców, gdzieś wśród wzgórz i lasów.

Rodziny dyssydenckie obchodzą niedzielę jeszcze surowiej od anglikańskich i katolickich. Mam między dyssydentami znajomych, którzy nie wsiądą w niedzielę na kolej, nie oddadzą listu na pocztę, nie odbiorą należnych pieniędzy.

Czy zwyczaj ten ustaje? Czy z biegiem lat traci dawną siłę? Odpowiedź stanowczą mógłby dać tylko ktoś, kto społeczeństwo angielskie zna na wylot.

Co do mnie, odniosłem wrażenie, że powaga i siła tego zwyczaju jest ogromna. Ostatnimi czasy zaczęto otwierać co niedziela na parę godzin muzea londyńskie. Nie wszystkim to się podoba. — Natomiast wiadomo, że w wieku XVIII i w początkach XIX, w epoce lżejszych obyczajów, nie brano tak ściśle w życiu domowem przepisów o święceniu niedzieli. Z historii literatury Anglik dowiaduje się ze zgrozą, że pani Sheridan, płoża żona sławnego komedyo-pisarza, ulegając pojęciom swej epoki, grywała w niedzielę popołudniu w karty!

Któż nie wie, że w teatrach angielskich nie grywają w niedzielę. Wiedziałem z góry, że w dniu tym nie dostanę biletu do żadnego z pierwszorzędnych teatrów. Muszą być jednak obok nich jakieś teatrzyki przedmiejskie, jakieś widowiska dla ludu, jakieś budy dla biedaków, którzy przez cały tydzień ciężko pracują. Trzeba się przekonać osobiście.

Wchodzę do głównego biura teatralnego przy Trafalgar-Square.

— Pan żąda biletu na jutro?

— Nie, na dzisiaj.

Powszechna wesołość. W pięciomilionowem mieście niema ani jednego przedstawienia. Ani w teatrach, ani w teatrzykach, ani w budach przedmiejskich. Są tylko popołudniu koncerty religijne.

Rozpacz prawdziwa. Trzeba się oddać pod o-

piekę życzliwych krajowców. Przecież ludzie musieli wynaleźć w tym kraju jakiś sposób zabijania czasu.

— Czy tu naprawdę wszelkie życie ustaje na dwadzieścia cztery godzin?

— A Pan-by chciał widzieć Londyn, który w niedzielę żyje?

— Czy jest taki?

— Oczywiście! Przecież w stolicy tego królestwa spotkać się można ze wszystkim.

— Więc tu nie cała ludność świętuje?

— Świętują chrześcijanie...

— Czyż więc jest obok chrześcijańskiego Londyn inny?

— Nie wiedział Pan o tem? Mogę go Panu pokazać. O dwie minuty drogi mamy tu stację kolei miejskiej.

— Gdzież pojedziemy?

— Na Whitechapel!

A więc zobaczymy dzielnicę rozpusty, występku, zbrodni. Brzmi to dramatycznie. Jedźmy.

Wysiadamy, gdzie Aldgate się kończy, a Whitechapel zaczyna. Zapuszczamy się nieco w główną ulicę i zaraz skręcamy na lewo. Wyznaję, że byłem ciekaw pierwszych wrażeń Whitechapel'u.

Wrażenie jest — i to silne. Doznaje go przede wszystkim zmysł powonienia. Zapach śledzia, w harmonijnym skojarzony akordzie z wonią cebuli, czosnku i niepranej bielizny, bucha z tych

ulic i uliczek. Dziwić się trzeba, że ludzie tu nie mdleją. Nalewki, Zarwanica, Kazimierz. Cała emigracya żydowska z Galicyi, Królestwa i prowincyj zabużańskich dała sobie *rendez-vous* w tej części Londynu. Przed kamienicami kupy cuchnących śmieci. Z bram sączą się strugi wstrętnej cieczy do rynsztoków ulicznych. Jest tam wśród innych ulic jedna, przypominająca żywo Dajwor krakowski, z epoki przedwodociągowej. Nazywa się Montague-Street. W najbrudniejszym domu znajduje się krowiarnia. Rachityczne, wynędzniałe potomstwo wiecznych tułaczy dostaje stamtąd po kropli mleka silnie rozcieńczonego. Przez uchyloną bramę widać kilka ogonów krowich, a na szyldzie oglądamy wizerunek dwóch krów, które Szloma, czy Icyk pachtem doi.

Na szerszych ulicach handel idzie w najlepsze. Środkiem ciągną się długie stragany, a na nich sterty odzieży starej i nowej. Odzież stara napływa tu z całego Londynu, a nowa — to produkt rąk żydowskich, to krwawa praca najuboższych krawców, przymierających głodem, a wyzyskiwanych przez kapitał angielski, który emigracyę żydowską umiał spożytkować z intratą. Kapitały, zaangażowane w te przedsiębiorstwa, mają być znaczne. Przedsiębiorcy, ciągnący zyski z taniej robocizny żydowskiej, będą zawsze najgorliwsi obrońcami

wolnego osiedlenia się żydów na ziemi angielskiej.

Dokoła straganu cisza. Kupujących nie brak. — A cóż powiada policya o tem świętokradzkim lekceważeniu niedzieli?

Czyż mam przypominać, że rzecz się dzieje w Anglii? Przecież nad święceniem niedzieli czuwa w tym kraju nie Schutzmann w pikelhaubie, ale wszechpotężny, prastary obyczaj narodowy. Mieszkańcy tej dzielnicy przynieśli ze sobą z za morza obyczaj inny i rządzą się według obyczaju swego.

A przynieśli także z za morza wiele rzeczy innych; zdolności kupieckie, wstręt do mydła, oszczędność niesłychaną i znajomość języków, którymi w Anglii nikt nie włada. Z każdym z nich można się rozmówić po polsku. Oto tuż przed nami stoi za straganem młody, dobrze zbudowany żyd, rudy, piegowaty, limfatyczny. Patrzy na mnie niedowierzająco i na polskie pytanie odpowiada półgębkiem. Któż zgadnie, jakie przejścia wypędziły go z kraju.

Pisano nieraz wierszem i prozą o prawach serca; tu przekonywamy się, że ma swe prawa i powonienie. Tem powietrzem dłużej oddychać nie można. Czas wracać.

— Więc nic więcej niema na Whitechapel'u? — pytam towarzysza — a gdzież zbójcy, fałszerze, trucicielki i rozpruwacze?

— Tam, gdzie ci mieszkają, nie chodzi się bez policyanta.

— To chodźmy z policyantem.

Na rogu Middlesex-Street stoi ich dwóch. W wyborze nie można się wahać. Młodszy przerasta starszego o półtorej głowy. Kark jak u żubra, łapy niedźwiedzie. Tenby nas przeprowadził przez piekło.

Chłop, jak gladiator, choćby dziś w arenę!

Zaczynają się pertraktacye.

— Możesz Pan nas oprowadzić po Whitechapel'u?

— Po żydowskim?

— Nie! Po złodziejskim.

— Bardzo chętnie, ale dopiero za trzy godziny. Teraz nie mogę zejść z posterunku. Niech Panowie przyjdą do tej herbaciarni naprzeciwko. Będę tam czekał.

— W mundurze?

— Nie, poza służbą mi nie wolno.

— Co chcesz za fatygę?

— Panowie osądzą sami.

O umówionej porze puszczamy się na wędrówkę. Rano skręciliśmy z głównej ulicy na lewo, teraz zwracamy się na prawo, w stronę doków. I zaraz atmosfera inna, powietrze lepsze. Domy odrapane, ubogie, smutne, ale nie wieje z nich ta woń zabójcza, od której tam nas mdlilo.

Zaczyna się rozmowa o tem, cośmy widzieli

w wędrowce poprzedniej. Nasz przewodnik nie ma skłonności antysemickich. Opowiada nam, że przed laty dwudziestu było tu żydów niewielu. Teraz stanowią większość. Nie martwi go to jednak wcale.

— A gdy ich napłynie więcej, czy nie będzie z nimi kłopotu?

Nie zrozumiał, o co mi idzie.

— O, nie — odpowiada — to nie są ludzie, którzyby się porywali na rzeczy niebezpieczne. Zbrodnie prawdziwe rzadko się między nimi zdarzają. Na tamtych ulicach najmniej mamy do roboty. Żyd angielski, wiecie Panowie: taki, co się tu urodził — bywa czasem zuchwały. Ale ci, co przyjeżdżają, to ludzie spokojni. On myśli o tem, żeby utargować cokolwiek i wieczorem odpocząć.

— A nie oszukują przy sprzedaży?

— O, oszukują; ale ja im się nie dziwię bardzo, bo oni wszyscy to naród ubogi i taki ciemny. Oni tego nawet nie rozumieją tak, jak my. W tamtych krajach to chyba nikt z nimi nie gadał.

Wchodzimy pod wiadukt kolejowy. Opiekun nasz zatrzymuje się na chwilę:

— Tu Jack Riper zabił kobietę.

A więc jesteśmy w jednym z owych tajemniczych zaułków.

Policyant z widoczną lubością rozpoczyna wykład o czynach zbrodniarza, który przez czas jakiś

był postrachem Londynu i nagle zniknął jak mara, nieznany, niezbadany, niedosiężony ręką sprawiedliwości. Jeden tylko świadek zeznał, że zdaleka widział zabójstwo, nie miał wszakże odwagi zbliżyć się i bronić ofiary.

Nasz przewodnik był pewny, że niczem nam tak nie zaimponuje, jak wykładem o Rozpruwaczu. Rozwijał więc całą psychopatologiczną hipotezę. Bodźcem do zbrodni była zemsta. Człowiek, który przez kobiety doszedł do ostatecznej ruiny, cielesnej i moralnej, mścił się potem okrutnie na kobietach.

Pusto jest na tych ulicach. Czasem przebiegnie boso dziecko, czasem mijamy stojącą we drzwiach postać nawpół zaspanego, nawpół pijanego robotnika.

Idziemy nieustannie wzdłuż wysokiego nasypu kolejowego. Znowu wiadukt, za wiaduktem parkan. Policjant przystanął na chwilę.

— Tu, pod parkanem, Jack zabił drugą!

Teraz scena się zmienia. Dotarliśmy do muru, okalającego doki. Mur wysoki, jednostajny, brudno krwawy, ciągnie się bez końca. Przeciwległą stronę ulicy tworzą kamieniczki, odarte z tynku, z pozaklejanymi gdzieś oknami, z wązkiemi drzwiami, do których dochodzi się po spróchniałych schodkach. Ponura to ulica. Ten mur wysoki, bez szcze-

liny, bez okna, bez załomu, ma w sobie coś niewymownie smutnego.

Tak więc wygląda miasto grzechu,

„...całe z kamienia, ale barwy rdzawej.

Takim dokoła murem opasane“.

A przed domami na chodniku leżą grupy kobiet i mężczyzn. Leżą i patrzą na nas — z cynizmem, bez wstydu.

To nie scena z lagunów weneckich. To nie ten, rozkładający się w cieniu i chłodzie lud włoski, który tak żywo uderzył wrażliwą duszę Goethego za pierwszym przyjazdem do Werony. Tam człowiek jest naiwny, jak dziecko. Tam lud nie wstydzi się przechodnia, tak samo, jak to słońce, które patrzy nań z góry, i jak ten wiatr, który go chłodzi. Gdy spojrzysz na tych ludzi, co leżą tu pod szarem niebem Anglii, poznasz, że się już wstydzic przestali.

— Czegóż się oni nam tak przypatrują? — pytam policyanta.

— Patrzą na Panów z uszanowaniem. Widzą Panów ze mną i myślą, że należycie do tajnej policji.

— A Pana tu znają?

— Czyż Pan myśli, że między tymi tam jest choć jeden, któryby policyanta nie poznał?

— Więc w tej części miasta zbrodnie się zdarzają?

— Zdarzają się od czasu do czasu.

— W nocy?

— O każdej porze. Ale coraz to rzadziej. Dawnemi laty wyglądało tu inaczej. Było wiele ciasnych zaułków, które zburzono. Dawniej bywało nieraz, że do takiego domu przywabią pijanego majtka, zabiją i obedrą. Dzisiaj już nie tak to łatwo.

I znowu zaczyna się opowiadanie.

Ujęcie zbrodniarza, kryjącego się w tych domach, nie jest rzeczą prostą. Cała ludność tutejsza tworzy jeden wielki spisek przeciw policyi, a w środkach nie przebiera. Raz zdarzyło się, że mieszkańcy, dla zmylenia pościgu, poodbijali w nocy tabliczki z numerami domów i poprzesuwali je wzdłuż ulicy. Policya w pierwszej chwili dała się wprowadzić w błąd.

Zwracamy się na lewo. Ulica nie długa, dosyć szeroka, po obu stronach domy jędnopiętrowe. Gromadki w pozach dosyć swobodnych rozłożyły się znowu na świeżem powietrzu. Dotychczas szliśmy chodnikiem. Tu, przed pierwszą taką gromadką przewodnik schodzi na środek ulicy. Z chodnika odzywa się szyderczy śpiew.

— Nie zważajcie panowie na to. Lepiej się nie oglądać.

Z domu po przeciwnej stronie wypada kilka

kobiet ze śmiechem i wrzaskiem. Za niemi zatacza się pijaniusienki żołnierz, belkocząc coś niewyraźnie. Zaczne grono znika opodal we drzwiach kamienicy, a my dochodzimy znowu do narożnika. Ulica się kończy.

— Widzieliście panowie ulicę, która uchodzi za najgorszą — powiada nam policyant.

Rzucam okiem na tablicę na kamienicy narożnej. Ulica nazywa się „Albert-Street“. Nazwę tę podziela z kilkoma innymi ulicami w różnych dzielnicach.

Teraz jesteśmy już wśród innych ludzi. Mijamy kaplicę Wesleyanistów, a nieco dalej czytelnię publiczną. — Naprzeciw nas kroczy, kołysząc się wdzięcznie, elegancki żydek. Zdawałoby się, że żywcem zabrano go z Ogrodu saskiego.

— I niech kto powie — rzekł mi policyant, gdyśmy go mijali — że ci ludzie myślą o czem innym, jak o zysku. Mniej z nimi mamy do czynienia, niż z tamtymi. Daleko mniej!

I ma słusność. Różnica jest widoczna. — Na chrześcijańskim Whitechapel'u mordują i kradną. Ha! natomiast nie czuć ich cebulą i śledziem.

Czy warto było stracić parę godzin na tę przechadzkę? Czy rzeczywistość odpowiedziała oczekiwaniom?

Nie żałuję, że byłem na Whitechapel'u, choć wyznaję, że wyobrażałem go sobie inaczej.

W wyobraźni przedstawiały mi się te zbójeckie ulice Londynu, jako wąskie przesmyki między kilkopiętrowymi domami, jako ciasne przejścia, przesuwające się gdzieś gdzie popod kamiennym łukiem, jako półciemne podcienia, krzyżujące się i mylące podróżnemu drogę. Wyobrażałem sobie, że światło dzienne wpada wąską szczeliną z góry, i że chodząc po tym labiryncie, mamy co chwila to schodki kamienne, to jakieś godło starożytne, to ślady dawnej architektury... — Była to oczywiście dowolna kombinacja motywów, powyrywanych w myśli z Gdańska, Norymbergi, starego Wiednia i Wenecyi. W rzeczywistości Whitechapel wygląda daleko bardziej po angielsku. Ulice są tam dość szerokie, domy jednopiętrowe, światła dużo.

„Tam się nie chodzi bez policyanta“ — powiedział mieszkaniec Londynu, gdyśmy się wybierali w stronę doków. Czy to trzeba brać dosłownie?

Nie chodzi się bez policyanta, jeżeli się nie zna drogi. Nie chodzi się, jeżeli się jest cudzoziemcem i jeżeli się zwraca uwagę mieszkańców krojem ubrania, rysami twarzy i tem wszystkim, po czem każdy Anglik odrazu poznaje obcego. Ale idą tam bez opieki policyjnej ci, co niosą dobre słowo, idzie Armia Zbawienia, idzie śmiało dyakoniska, idzie siostra miłosierdzia.

A niebezpieczeństwa niema żadnego?

Gdyby nie było niebezpieczeństwa, czyż byłaby w tem zasługa?

Wracamy inną drogą i linię kolei przecinamy w innym miejscu. Pod mostem kolejowym siedzi na ulicy panna przy pianinie i akompaniuje do hymnu. Po każdej zwrotce, jeden ze stojących obok gentlemanów ma przemowę do ludu. Słuchacze przyjmują to obojętnie. Mówca zaczyna się unosić. Zapewne jest to jakiś robotnik, który doświadczył skutków pijaństwa, a dziś ze wszystkich sił pomaga tej pobożnej misji w walce z alkoholem.

Na Great - Prescot - Street ludność szykuje się w dwa rzędy. Z niektórych domów powiewają chorągwie. To procesya katolicka ma wyruszyć z kościoła Męczenników Angielskich.

Organizacją procesyi zajmuje się Liga Strai-ników Krzyża. Na czele jej stoi major, p. Kelly, mający przy boku kilku kapitanów. Wszystko obmyślane z góry, wszystko urządzone według planu.

Dostajemy drukowany program z tekstem modlitw i śpiewów, z wyliczeniem bractw i stowarzyszeń, z wzmianką o pamiątkach historycznych znajdujących się przy ulicach, przez które procesya przechodzi.

Pochód uroczysty dotrze aż do murów Tower'u. Na ziemię, którą dziś dziewczynki obsypią kwiatami, spływała nieraz z rusztowania krew katolików, traconych za wiarę. Dzisiaj zabrzmi tam w głos

modlitwa: „Jezu, nawróć Anglię! Jezu, zlituj się nad krajem!“

Płyną orły chorągwiane... Za baldachimem, o pół kroku przed innymi dziewczętami, idzie murzynka w bieli, rozmodlona, załzawiona, wniebowzięta. Nad głową skrzypnęło mi okno. Rozsiadła się w niem otyła kupcowa w peruce. Wsparłszy potrójny podbródek na dłoniach, przypatruje się z filozoficzną flegmą procesyi, która jej przypomina Hrubieszów lub Wolbrom.

III.

Kto podbił Indye? — Kogo słuchały uniwersytety? — Państwo i naród. — Opinia publiczna. — Co to jest gentleman? —
Arystokracja i społeczeństwo.

Znałem już wieś angielską i parę miast mniejszych, nim po raz pierwszy zobaczyłem Londyn. Gdy utonałem w tłumie wielkomiejskim, nieustannie prześladowało mię pytanie: jakim sposobem ten naród, taki sielski, taki wieśniaczy, taki łowiecki i tak rozmiłowany w koniu, stworzył na tej swojej niewielkiej wyspie, największe na świecie miasto?

Odpowiedź nie trudna. Londyn nie jest stolicą tej małej Anglii, którą w przeciągu dnia można przejechać wzdłuż i wszerz. To stolica państwa, którego dzierżawy sięgają najdalszych krańców świata. Londyn, to największy na świecie punkt handlowy, to miasto, w którym co krok spotyka się z bogaconego przybysza z za Atlantyku lub z za oceanu Indyjskiego, miasto, do którego dążą czarni

lub oliwkowi mocarze stref dalekich, jedni w turbanach, drudzy w dżokejskich czapeczkach podróżnych, by zakosztować europejskiej kuchni, europejskiego wykwintu, europejskiej sztuki i rozpusty; miasto, w którym murzynki, mulatki i kreolki płaczą w teatrach nad losem Desdemony lub Ofelii; miasto, w którym tłum posągów mówi nam o krwi, co się lała na Martynice i Gibraltarze, pod Salamanką i Albuherą, w Seringapatam, w Mysorze, w Yorktown.

Anglia pilnowała w domu pług i kilofa, a tam, za morzami, walczyła przez cztery wieki o każdy kawałek ziemi, który był do zdobycia.

I zdobywała też jedno po drugim. Któraż zdobycz na świecie da się porównać z podbojem Indyj? Krwawo pracował naród, nim się Londyn rozrósł do dzisiejszych rozmiarów.

Podbój Indyj! Niema na to innej nazwy, a jednak, jak każda nazwa, przyniesiona z lądu stałego, tak i ta mieści w sobie zadatek najbliższych wyobrażeń.

Gdy inne państwa podbijają dalekie prowincye czy kraje, rząd gromadzi przedtem pieniądze i wojsko, a monarcha musi albo sam objąć dowództwo, albo zamianować naczelnego wodza. Potem następuje uroczyste wypowiedzenie wojny, albo przynajmniej uroczyste zapewnienie, że armia obsadzi

obcą prowincyę nie w złym zamiarze, lecz dla jej własnego dobra.

Jakże było w Anglii? Jakież wojsko zebrał król na podbicie kraju, liczącego dziś 300 milionów ludności? Ile pieniędzy dał mu parlament na ten cel? W jakim charakterze wysiadły pułki królewskie na ziemię indyjską?

Napróżno szukalibyśmy w archiwach londyńskich odpowiedzi na te pytania.

Król angielski nie wydał wojny żadnemu z książąt indyjskich. Parlament angielski nie uchwalił ani gwinei podatku, ani półkorony pożyczki. Królewskie wojsko nie było ani razu w ogniu, nie straciło ani jednego żołnierza. Anglia dokonała podboju największego w dziejach świata bez udziału wojska, skarbu, dyplomacyi i parlamentu.

Czyż więc państwo angielskie nie zrobiło ani kroku, by osiąść zdobycz tak wspaniałą?

Owszem zrobiło krok naprzód i to krok ważny. W r. 1600, na schyłku panowania Elżbiety, nadało kompanii indyjskiej wyłączny przywilej handlu indyjsko - chińskiego, a w półtrzecia wieku potem, gdy kompania indyjska zbudowała państwo, któremu równego nie było na świecie, i gdy owoc dojrzały czekał zerwania, rząd kompanię rozwiązał, a Anglia stała się panią krain nad Gangesem.

Kompania formowała armie, dobierała wodzów

zdobywała twierdze, intrygowała w haremach, wzbogacała swych dygnitarzy, kompania łupila i grabiła, kompania rozstrzeliwała, ścinała i wsadzała na pal. Gdy dzieło było gotowe, państwo zasiadło do uczyty. I rzecz poszła gładko. Naród pojął, że instytucya, która spełniła swe zadanie, powinna ustąpić z pola.

Czemże się więc zajmowało to państwo, któremu taka, niebywała w dziejach ludzkości zdobycz spadła, jak z nieba? Na co zużytkowało swe siły? Czem sobie zapełniało czas?

Przed zdobyciem Indyi miała już Anglia kolonie ogromne, miała w Ameryce obszary, które potem straciła. Więc może tam rząd dawał dowody swej siły? Może tych ludzi uszczęśliwiał reskryptami, edyktami, cyrkularzami? Ze zdziwieniem widzimy, że i tam tego nie było.

Przedewszystkiem uderza nas okoliczność, że podczas wielkich zatargów i prześladowań religijnych w Anglii, rząd angielski nie troszczył się o to, jak się ludzie modlą i w co wierzą w koloniach. Purytanie osiadają w Nowej Anglii, katolicy zakładają Maryland, kwakrowie Pensylwanję. W Karolinie południowej anglikanie stanowili zaledwie trzecią część mieszkańców. Rząd centralny nie zwraca na to uwagi.

Dlaczegoż jednak przy takiej swobodzie Ameryka zbuntowała się ostatecznie? Bo kraj macie-

rzysty obdarzywszy ją wszelkimi swobodami, o jakich się nie śniło wówczas mieszkańcom Francji lub Niemiec, nie wypuścił z ręki ostatniego cennego przywileju. Anglia dała swym posiadłościom amerykańskim wolność w każdej dziedzinie z wyjątkiem handlu. Parlament zasiadający w Westminterze, nie miał w swem gronie przedstawicieli Ameryki i nie wtrącał się też do spraw amerykańskich, o ile nie szło o sprawy handlowe. Koloniści angielscy w Massachusetts chwalą się już na sto lat przed rewolucją, że jeżeli oddadzą królowi piątą część wykopanego złota i srebra, to poza tem mają dla niego tylko obowiązki grzeczności.

Natomiast stosunki handlowe regulował parlament londyński według własnego upodobania, oglądając się jedynie na dobro mieszkańców Anglii. Nakładał cła, robił, co mu się podobało.

Rewolucya w Bostonie nie wybuchła zatem z powodu jakiegoś ucisku religijnego czy politycznego. Wybuchła z powodu cła wchodowego od herbaty, w wysokości trzech pensów od funta. Innych pretensyj Ameryka do Anglii nie miała.

Więc może wewnątrz starej Anglii koncentrowała się cała energia, cała wszechwładza rządu?

Aż do połowy wieku XIX państwo angielskie pozostawało w takim stosunku do uniwersytetów w Oxfordzie i Cambridge, w jakim pozostawało do uniwersytetu w Pradze lub w Krakowie. Rząd

nadawał posady młodzieńcom, którzy pokończyli studia w obu uniwersytetach krajowych, ale tak samo nadawał je młodym Anglikom, powracającym, jak Hamlet, z Wittenbergi. Rząd nie troszczył się o to, skąd uniwersytety czerpią środki pieniężne, nie troszczył się o to, kto z katedr uniwersyteckich wyklada, ani co wyklada. Nie przepisywał uniwersytetom, z czego mają egzaminować uczniów, których przyjmują w swe mury, ani z czego mają egzaminować tych, którzy po ukończeniu nauk mają rozpocząć życie praktyczne. Rząd nie oznaczał ani płac profesorskich, ani opłat, pobieranych od studentów, nie wydawał przepisów o karności uniwersyteckiej, nie wglądał wogóle w życie tych zakładów.

Królowie zatwierdzili niegdyś, przed wiekami, statut dla Oxfordu i takież dla Cambridge. Ale ten akt łaski monarszej był raczej dowodem uznania dla nauki, niż objawem zwierzchnictwa państwowego. Statut ów nie dawał władzom rządowym pola do zajmowania się sprawami uniwersyteckimi, Gdy zaś dawna monarchia zamieniła się z biegiem lat w „Rzeczpospolitą z dziedzicznym prezydentem na czele“, parlament nie widział przez długie lata powodu do zajmowania się maszyną, która bez jego opieki pracowała z pożytkiem dla ogółu.

Między szczodremi fundacyami, zapewniającymi byt uniwersytetów, nie brakło fundacyi królewskich.

Były to jednak, jak dowodzi Graham Balfour, fundacye prywatne, nie państwowe. Uniwersytety były w państwie, bo posiadały rozległe nieruchomości w granicach Anglii; uniwersytety były w państwie, bo były zbiorowiskami ludzi, podlegających powszechnym przepisom prawa karnego i cywilnego, ale zarazem były poza państwem, bo parlamentowi przez parę set lat nie przyszło na myśl wydawać ustaw o nauce uniwersyteckiej, tak samo, jak nie przyszło mu na myśl wydawać ustaw o tem, według jakich prawideł dziecko w domu rodzicielskim będzie się uczyło chodzić i mówić.

Niemcowi lub Francuzowi, który po raz pierwszy zaznajamia się z przeszłością wszechnic angielskich, wydaje się to dziwaczne. Stokroć dziwniejszym wydaje mu się wszakże fakt, że mimo zmian, dokonanych w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, stosunek starych uniwersytetów do państwa i rządu pozostał w zasadzie taki, jak był przedtem.

„Nie od rzeczy będzie zaznaczyć na tem miejscu — mówi cytowany powyżej autor w dziele wydanem przed trzema laty — że Oxford i Cambridge są instytucjami publicznymi jedynie wskutek swego wpływu i znaczenia, zapewnionego im dawnymi przywilejami z różnych lat.

„Co się zaś tyczy władzy parlamentu, to może się on o tyle tylko wtrącać do ich spraw, o ile

4*

ma prawo zajmowania się każdą instytucją prywatną i wszelkiem prywatnem dobrem dla pożytku narodu.

„Oxford, Cambridge, a z nowych uniwersytetów Durham, różnią się tem po dzień dzisiejszy od innych uniwersytetów tego królestwa, iż skarb narodowy nie płaci rocznie na ich utrzymanie, ani nie dostarcza im pomieszczenia“.

I dlaczegoż-to państwo angielskie przypomniało sobie naraz o uniwersytetach? Dlaczego pewnego pięknego poranku wmieszało się do spraw, o które się nie troszczyło dotychczas? Czy może zauważyło, że studenci za dużo grywają w piłkę, a za krótko siedzą w kaplicy? — lub, że profesorowie historyi za wiele gadają o Aleksandrze Wielkim, a za mało o Cezarze? Nie! O te rzeczy państwo angielskie się nie kłopotuje. Jest ono przekonane, że gdyby wyteżyło wszystkie swe siły, nie zdobyłoby się na nic po nad to, co uchwali grono profesorów miejscowych. Rząd angielski zajął się sprawami uniwersytetów, bo zażądał tego ktoś, kto jest mocarzem większym od rządu: zażądał tego głos ludu angielskiego.

Więc może narodowi uroiło się nagle, że się lepiej zna na nauce i wychowaniu, niż uczeni w Oxfordzie i Cambridge? Może naród podyktował ministrom nowe statuty dla obu uniwersytetów i kazał wprowadzić je w życie? Nie! naród

angielski nie jest tak naiwny. Znadto szanuje on i niezawisłość starożytnych instytucji i wiedzę swych uczonych. Sprawa miała przebieg inny.

Nadszedł dzień, w którym uniwersytety w sprawie bardzo konkretnej znalazły się w sprzeczności z usposobieniem narodu. Wtedy to przyszło ludowi angielskiemu na myśl, że na swe usługi ma przecież swych posłów w Izbie gmin, i że za ich pośrednictwem może zniewolić rząd do interwencji. W bitwie stoczonej z uniwersytetami, naród przy pomocy parlamentu i rządu odniósł zwycięstwo zupełne. Gdy się to zaś stało, gdy uniwersytety zastosowały się do woli ogółu, przestano wtrącać się do ich życia domowego i faktycznie rządzą się one tak, jak się rządziły dawniej.

Zajście to charakteryzuje dokładnie wyobrażenia angielskie o prawach i obowiązkach państwa.

Szło o innowierców.

Oba uniwersytety stały na stanowisku ściśle anglikańskim. Mury ich były niedostępne również dla dyssydentów protestanckich, jak dla katolików.

Raz się to skończyć musiało. Pod naciskiem silnej agitacji w kraju, Izba gmin uchwaliła w r. 1834 ustawę, dopuszczającą dysydentów do obu zakładów naukowych. W obronie nietolerancji, również, jak w obronie autonomii uniwersy-

teckiej, wystąpiła Izba lordów i odrzuciła uchwałę Izby gmin.

Jest już niemal dogmatem w Anglii, że Izba ordów może opóźnić każdą reformę, ale nie może żadnej z nich uniemożliwić na zawsze. Stało się tak i tym razem.

W szesnaście lat po odrzuceniu ustawy, królowa zamianowała dwie komisye, mające zbadać stan rzeczy w Oxfordzie i Cambridge. I tu właśnie zaczęła się walka. Zaszedł wypadek, możebny tylko w Anglii. Uniwersytety odmówiły komisarzom królewskim wszelkich wyjaśnień, wszelkich odpowiedzi na zapytania; uniwersytety oświadczyły, że uważają wszelką kontrolę ze strony państwa za bezprawie. Korespondencya między przedstawicielami uniwersytetów a prezesami obu komisyj jest klasycznym pomnikiem angielskich pojęć prawnych.

Cóż przechyliło szalę? Poczucie słuszności.

Uniwersytety zajęły stanowisko, którego obrońców nie mogły. W Izbie lordów przybywało coraz więcej nowych członków, pojmujących, że czasy nietolerancyi religijnej minęły nieodwołalnie. Na katedrach profesorskich w Oxfordzie i Cambridge zasiadało coraz więcej młodych uczonych, nie napojonych staroangielską nienawiścią do innowierców. Parlament uchwalił po kolei kilka ustaw, robiących wyłom w dawnym wyznaniowym ustroju uniwersytetów, aż ostatecznie w r. 1871 (a więc

dopiero lat temu trzydzieści) przeszła przez obie Izby ustawa, znosząca na świeckich wydziałach w Oxfordzie, Cambridge i Durham wszelkie przysięgi religijne i wszelkie wyznania wiary, składane poprzednio przez młodzież, bądź przy immatrykulacji, bądź przy otrzymywaniu stopni akademickich.

W ciągu tej czterdziestoletniej walki parlament, który może zrobić wszystko, co chce, nadał każdemu uniwersytetowi nowy statut. Statut ten jest atoli i w jednym i w drugim wypadku tak autonomiczny, iż uniwersytety nie czują żadnych pęt, narzucanych im z zewnątrz. Radzą one same o sobie, same zarządzają swym majątkiem i będą same stanowiły o swym losie dopóty, dopóki znowu nie narażą się instynktom narodu. Wówczas lud angielski przypomni sobie, że jest panem na swej wyspie i zawezwie znowu Izbę gmin, by się za nim ujęła.

Mamy tu zatem przed oczyma fakt historyczny, w którym odzwierciedla się stosunek między narodem i państwem. Zakłady naukowe, które dostarczają państwu urzędników, lekarzy, prawodawców, nauczycieli, żyły sobie spokojnie, jakby na wyspie wiecznej szczęśliwości, wiedząc o rządzie angielskim tyle, o ile o nim donosiły gazety. Dopiero, gdy nie chciały nagiąć się do woli narodu, rząd, jako pełnomocnik ludu angielskiego, wniósł do parlamentu projekt ustawy i rozpoczął akcję,

która trwała przez całe jedno pokolenie. Kto wie czy uniwersytety byłyby uległy, gdyby nie to, iż równocześnie niezmiernie zwawa agitacja szerzyła się zapomocą pisma, druku i żywego słowa w świecie pojęć i myśli. Prąd ten wdarł się do murów uniwersyteckich, i kiedy rząd odniósł ostatecznie formalne zwycięstwo, kampania była już poprzednio prawie wygrana, bo siła idei dokonała swego.

Skoro jednak państwo angielskie tak niewiele dbało o uniwersytety, to może zajmowało się tem gorliwiej szkołami ludowymi? Zobaczmy, jak się przedstawia udział państwa w dziejach szkoły ludowej na ziemi angielskiej.

W r. 1807 wniósł p. Whithbread w Izbie gmin projekt ustawy, mocą której w każdej parafii założoną być miała szkoła. Izba gmin ustawę uchwaliła, odrzuciła ją jednak oczywiście Izba lordów, nie uważała bowiem szkolnictwa ludowego za sferę, do której państwo powinno się wtrącać. Próżne były usiłowania Broughama, który w r. 1820 chciał przeprowadzić ustawę o szkołach. Dopiero w trzynaste lat później wstawiono po raz pierwszy w budżet państwa 20 tysięcy funtów, jako wydatek na cele oświaty. Wielu członków Izby gmin przemawiało za wykreśleniem tej pozycji z budżetu. Cobbet dowodził, że ten wydatek ze skarbu państwa pomnoży tylko liczbę nauczycieli i nauczycielek, pomnoży to plemię próżnia-

ków nowożytnych; w całej uchwale widział on naśladownictwo doktryneryzmu francuskiego, którego zwalczanie jest obowiązkiem Anglika.

Powoli, bardzo powoli oswajała się Anglia z zasadą, że państwo ma obowiązek szerzenia oświaty. I ona weszła ostatecznie na drogę przymusu szkolnego. Z jakąż jednak ostrożnością unika wszystkiego, coby mogło temu przymusowi nadawać charakter rzeczywistego wdzierania się w sprawy gminne, parafialne, rodzinne. Autonomia okręgów szkolnych jest bardzo rozległa, a przymus dotyczy oczywiście tylko tej dziatwy, która nie pobiera nauki w szkołach innych, nie wspólnego nie mających ze szkołami, będącemi pod opieką państwa. Statystyka szkolnictwa angielskiego jest wymowna. Na 23 tysiące szkół ludowych, było w Anglii i Walii cztery lata temu tylko 8500 szkół pod zwierzchnictwem rządu.

Jesteśmy na wyspie. Jesteśmy między ludźmi, którzy z dziada pradziada żyją wśród innych pojęć, między ludźmi, którzy dziwią się, gdy ich o mnóstwo rzeczy pytamy i którzy nie pojmują, iż inne państwa mogły urządzić się inaczej.

Przez kilka wieków odwykał Anglik powoli od opieki państwa. W dziejach Anglii była epoka, w której potęga rządu dawała się uczuwać tylko w sprawach religijnych. Poza tem nikt się na nią nie żalił.

Dlaczegoż więc ten naród, który się wychowywał całymi wiekami bez groźnej opieki władz, jest taki jednolity? Dlaczego każda jednostka nosi tu to samo piętno? Dlaczego ta jednolitość sięga aż do szczegółów mody, aż do drobiazgów etykiety towarzyskiej?

Kontrast między swobodą, jakiej tu jednostka doznaje, a dobrowolnem uginaniem się jednostki pod jarzmo zwyczaju, mody, tradycji — jest wielki.

Ta jednolitość pojęć zaznaczała się wyraźnie ile razy którykolwiek z mych znajomych odezwał się o wojnie. O polityce rządu sądzono rozmaicie. Wszyscy zgadzali się jednak na to, że trzeba zwyciężyć.

O tem, że najłagodniejsze rządy angielskie nie zastąpią Boerom rządów własnych, żaden Anglik nie myślał. Na to niema rady. Egoizm narodowy nie pozwala nam nigdy patrzeć na przedmiot sporny ze stanowiska przeciwników.

Wszędzie to samo. W starożytnem Winchester-college, gdzie dziś jeszcze można widzieć życie takie, jakie było za Tudorów, gdzie uczniom podają śniadanie nie na talerzach, lecz na czworokątnych drewniakach, oglądałem na pulpitych malców posążki lorda Robertsa, zakupione z marnych oszczędności groszowych. W *workhous'ie* w Croydon widziałem, jak stare, bezzębne dziady, skupiwszy osi-

wiale głowy nad mapą, wskazywały sobie ruchy wojsk. W zajęciu się wojną, w pragnieniu ostatecznego zwycięstwa nie stanowiły różnicy ani wiek, ani płeć, ani wyznanie.

Byłem na mszy w kościele katolickim w jednym z miasteczek w Surrey. Kościół nowy, stylowy, okazały. Przy kościele szkoła żeńska, mająca wielkie wzięcie w okolicy. Wiele rodzin protestanckich oddaje tam córki na wychowanie. — O proboszczu cała ludność mówi z wielkiem uszanowaniem.

Rozglądałem się przed nabożeństwem po kościele. Na filarach czernieją widne zdaleka liczby, oznaczające pieśni, które śpiewane być mają. — Dzwonek się odezwał.

Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty...

Zabrzmiała młodzież do chóru gotowa...

Kazanie było o emancypacji katolików, o wielkich krzywdach, o powolnem zbliżaniu się rodaków, o ostatecznem zwycięstwie tolerancyi. Proboszcz, staruszek, mówił o zasługach Canninga, Peela, Wellingtona. Mówił, że Wellington, przekonawszy się w Hiszpanii, jak katolicy umieją kochać ziemię rodzinną i jak umieją jej bronić, pozbył się dawnych uprzedzeń i sam odtąd bronił idei wolności. „I teraz znowu — mówił ksiądz — gdy nieprzyjaciół najechał nasze posiadłości w Afryce,

krzew katolicka leje się na równi z krwią protestancką, w obronie wspólnej naszej ojczyzny“.

Jakież to węzły niewidzialne, utajone dla oka ludzkiego, utrzymują tę nierozzerwalną łączność w narodzie, któremu od czasów niepamiętnych brakowało łącznika, jakim dla innych ludów bywała wola rządu i silna organizacya państwa?

W dziełach o Anglii, a zwłaszcza w dziełach podróżników francuskich, spotykamy się często z ryczałtowem określeniem społeczeństwa angielskiego, streszczajacem się w zdaniu, iż społeczeństwo to, w przeciwieństwie do społeczeństw kontynentalnych, składa się z jednostek o niekrepowanym indywidualizmie, z jednostek idących za własnymi popędami, dążących do własnego celu i niedających sobie narzucać ani przekonań, ani programu, ani metody postępowania.

Na pytanie, czy tak jest rzeczywiście? — autor odpowiada zazwyczaj, że inaczej być nawet nie może, skoro państwo angielskie pozostawia działalności prywatnej mnóstwo sfer i dziedzin, które państwa kontynentalne zagarnęły dla siebie, i skoro rząd angielski nie wtrąca się do mnóstwa czynności, które rząd francuski lub pruski wzięłyby bezwarunkowo pod ścisłą kontrolę.

Ze stanowiska mieszkańca kontynentu, ze stanowiska Francuza lub Prusaka jest to rozumowanie logiczne. Jakaż bowiem władzę, jaką siłę czuje

nad sobą przez całe życie mieszkaniec Berlina lub Paryża?

Odpowiedź łatwa. Uczuwa siłę i powagę państwa.

Państwo kształci go w szkołach. Państwo bierze go w rekruty. Państwo zakłada i opłaca dla niego teatry i opery. Państwo przewozi jego mienie kolejami żelaznymi. Państwo wypłaca mu emeryturę na starość. Gdyby państwo zniknęło z powierzchni ziemi, Paryżanin lub Berlińczyk czułby się najzupełniej niezawisłym.

Bo i jakież inne związki społeczne dają mu uczuwać swą potęgę z równą siłą? Jakież instytucje, jakież korporacje, nie wchodzące w skład machiny państwowej, narzucają mu swą wolę z równą stanowczością?

Rodzina? Toż to po prostu ochronka, dobra dla niemowląt. To przesąd, zniewalający nas do zjedzenia czasem uroczystego obiadu w gronie kuzynów i kuzynek. Któż się liczy z rodziną? Kto odmawia sobie jakiejś przyjemności dlatego, że to nie zgadza się z przekonaniem sióstr lub braci?

Jakże można porównywać wpływ domu rodzicielskiego z wszechpotężną wolą państwa!

Kościół? To przybytek, do którego się chodzi z młodą żoną przez parę miesięcy miodowych. Współparafianie? To śmieszne filistry, które nam zawadzają w ławkach.

Węzły koleżeńskie z dawnych lat szkolnych? To przecież najsmutniejsze przypomnienie godzin śmiertelnego strachu na lekcjach łaciny i matematyki, to przypomnienie nieprzespanych nocy i Izawych chwil po odebraniu świadectwa. Węzły koleżeńskie — to w najlepszym razie pretekst do wypicia butelki szampana i wysłuchania kilku mów w dwadzieścia pięć lat po maturze. Nie! Rodzina, kościół, koledzy, nie dorównywają wpływem i znaczeniem powadze państwa. A więc w Anglii, gdzie to państwo jak najmniej krępuje jednostkę, jednostka ta jest najzupełniej swobodna.

Tak utrzymują cudzoziemcy. Jest w tem wiele jednostronności i przesady.

Rodzina, kościół, kolegium szkolne jest w Anglii czemś innym, niż na lądzie stałym. Im powściągliwsze jest państwo we wdzieraniu się we wszelkie sfery życia społecznego, tem silniej występuje i zaznacza się wpływ, powaga, znaczenie innych ciał zbiorowych. Anglik może przejść przez życie, nie otarłszy się o to, co my na lądzie stałym nazywamy „rządem“, ale za to przez całe życie będzie czuł nad sobą silną rękę nieuchwytnego, niewidzialnego rządu moralnego, którego częstkami są: dom rodziców, kościół parafialny, starożytne mury szkolne, a wreszcie klub lub stowarzyszenie sportowe.

Oto wejście do ogrodu publicznego. Tam na

Jednym z nich jest żywa tradycja prastarych obyczajów angielskich.

W sobotę po południu miałem odjeżdżać z Surrey do Londynu.

— Zostań Pan do wieczora — powiada mi jeden ze znajomych — a przed odjazdem chodź Pan z nami do lasu na piknik.

Zostałem do wieczora i byłem na pikniku.

Była to zabawa młodzieży, której życie nie idzie po różach. Kilka panienek ze sklepów, kilka nauczycielek szkoły ludowej, kilku *clerk'ów* z różnych kantorów, dwóch młodych prawników. Ale też jak szła zabawa! Widać było, że ta młodzież, dostawszy się do lasu, chce się wybiegać za wszystkie czasy. Jedne gry szły po drugich. Nie było tam osobnych kostyumów sportowych, nie było przyrządów. Były tylko młode płuca i młode siły; była gorąca chęć niestracenia ani chwili.

Gdy już najzapamiętalsi ustawiali, całe grono spocone, zgrzane, rozbawione, zasiadło kołem na wielkiej polanie do podwieczorku. Rozdano herbatę. Panny poprawiły kapeluszków i przyglądziły włosy, Ignące do płonących twarzy. Panowie obnieśli ciastka. Nareszcie każdy miał przed sobą wszystko, czego pragnął.

— A teraz co?

— Jakto? No, teraz zaczęli zapewne jeść i pić.

— O, za pozwoleniem, jeszcze nie pora.

Teraz pacierz. Stary, poważny Szkot z siwemi bokobrodami odmówił głośno modlitwę, panny pospuszczały oczy, zrobiło się poważnie i uroczyście w całym lesie.

Niejednemu z tych młodych zjawi się kiedyś pod niebem drugiej półkuli, wśród chłodnej nocy podzwrotnikowej, gdy konstelacya krzyża południowego zejdzie na niebie — widmo zarumienionej dziewczyny w słomkowym kapeluszu, siedzącej ze złożonemi do pacierza rękami nad szklanką herbaty w trawie. Kto chce jednak mieć udział w takich zabawach i doznawać później takich wspomnień, ten nie może pozwalać sobie w święto na piłkę lub tennis.

Oto są potęgi, które rządzą Anglią.

Czy na tem koniec? Nie!

Jeżeli Anglik wyzwoli się z pod wpływu domu i szkoły, dostaje się pod wpływ klubu, który nad swymi członkami rozciąga kontrolę. A gdy młodego chłopca nie stać na to, w takim razie zapisuje się do „Young Men's Christian Association“.

Y. M. C. A. (Zjednoczenie młodzieży chrześcijańskiej) — to potęga. Wyobraźmy sobie wielką ligę klubów. Liga ta ujęła w silne więzy 100 tysięcy pracującej, przeważnie niezamożnej młodzieży w samej Anglii, a 30 tysięcy w koloniach, i urabia ją według wzoru, którym jest gentlemen-chrześcijanin.

Zwiedzałem taki klub, taką siedzibę zjednoczenia w Croydon. Wspaniałości! Mieści się ona we własnej kamienicy, urządzonej bez zbytku, ale z komfortem. Cały zaś porządek dzienny, cały podział godzin ułożony jest tak, ażeby młody Anglik nie potrzebował poza godzinami pracy szukać innego towarzystwa, i ażeby czas wolny od zajęć spędzał pod bezpośrednim wpływem zjednoczenia. Zjednoczenie nie łączy się bezpośrednio z żadnem wyznaniem, ale stoi bezwarunkowo na gruncie ściśle chrześcijańskim. Naczelną zasadą zjednoczenia opiewa w przekładzie dosłownym:

„Zjednoczenie młodzieży chrześcijańskiej dąży do zbratania tych wszystkich młodzieńców, którzy uznając Jezusa Chrystusa, Pana naszego, zgodnie z Pismem świętem, za Boga i Zbawiciela, pragną być Mu posłuszni w nauce i w życiu, oraz wszelkimi siłami szerzyć Królestwo Jego między całą młodzieżą“.

W zjednoczeniu skupia się młodzież wszystkich wyznań protestanckich. Katolicy trzymają się poważnie na uboczu i mają stowarzyszenia własne.

Młody Anglik, spędzający czas w siedzibie zjednoczenia, jest nie tylko starannie ochraniający od wpływów odmiennych, ale zaprawia się nadto do pracowania przez całe życie w duchu, unoszącym się nad tą instytucją.

Oprócz wszelkich rozrywek umysłowych i fizy-

cznych, znajdują tam młodzi sposobność do ćwiczenia się w wymowie. Zazwyczaj raz na tydzień odbywają się rozprawy na temat oznaczony. Tematy bywają najrozmaitsze. Członkowie wysilają się na rozstrzygnięcie pytań takich, jak: „Co to jest wolność?“, „Czy zjednoczenie nasze jest postępowe?“, „Czy kobiecie wolno oświadczyć się?“, „Czy z teatru jest pożytek?“. Umysł młodzieńczy oswaja się powoli z roztrząsaniem wszelkich zagadnień życia codziennego, bez wykraczania przeciw zasadom wiary. To samo dzieje się w każdym takim klubie, a każdy ma w społeczeństwie wpływowych przyjaciół i opiekunów. W sali klubowej słyszeć można od czasu do czasu odczyty, wygłaszane przez znakomitych autorów, przez wielkich uczonych, przez redaktorów najpoważniejszych dzienników angielskich.

Łatwo sobie wyobrazić, że klub, że siedziba zjednoczenia rośnie po odwiedzinach takiej znakomitości w znaczeniu i poważaniu powszechnem.

Każdy taki klub jest tylko częścią wielkiej całości, a ta całość rozrosła się do rozmiarów olbrzymich.

W Wielkiej Brytanii i Irlandyi posiada Y. M. C. A. 1411 siedzib, do których należy 105.939 członków. Nieruchomości, będące własnością zjednoczenia, ocenione są na pół miliona funtów (5 milionów rb.).

Młodzi Anglicy, rozjeżdżający się po całej kuli ziemskiej, rozwożą ze sobą zamiłowanie do życia klubowego i gdzie tylko zastają siedzibę zjednoczenia, zapisują się do niej tłumnie. To też rada naczelna tworzy we wszystkich koloniach osobne zjednoczenia, które zajmują się zakładaniem nowych siedzib. Wielka zamożność ludności ułatwia to zadanie. Mr. Virgo, sekretarz zjednoczenia australijskiego, pisze w swem sprawozdaniu ostatniem, że potrzeba tam przedewszystkiem ludzi, którzyby się zajęli organizacją klubów i szerzeniem zdrowych idei. O pieniądze niech będą spokojni. Te znajdują się na miejscu bez trudu.

— Cóż Panowie robicie — pytam p. Higmana, dzielnego sekretarza siedziby croydońskiej — żeby ściągać młodzież do klubu?

— Wszak Pan się sam przekonał, podróżując po Anglii — odpowiada mi mój uprzejmy cicerone — że młody Anglik przywyka wczesnie do życia domowego. Otóż niech Pan sobie wyobrazi, że co roku zjeżdża do Croydon mnóstwo młodzieńców, którzy nie wiedzą, co z wolnym czasem począć. Przyjeżdżają tu na rozmaite posady w handlu i przemyśle, przyjeżdżają do szkoły technicznej, przyjeżdżają pracować w biurach adwokackich — jednym słowem gromadzą się tu, jak w każdym większym mieście. Każdy czuje się nieszczęśliwym. Kawiarni, w którychby mógł spędzać wieczory, jak

to robią jego rówieśnicy na lądzie stałym, w Croydonie niema. Restauracye hotelowe są drogie. Do prostego szynku nie pójdzie. Przytem brakuje mu towarzystwa do piłki, do cricketa, do tennisa. Błąka się po mieście, jak istota wykolejona.

— I dostaje się ostatecznie do Y. M. C. A.?

— O ile nie przyjechał już z zamiarem przystąpienia do nas. U nas ma wszystko, czego mu potrzeba. Zapisawszy się do zjednoczenia, może mieszkać albo w pensyonacie, założonym w mieście dla naszych członków, albo w jednej z rodzin, które są z nami w stosunkach. Tu, w naszym lokalu, może spędzać wieczory, może czytywać, grywać w szachy, gimnastykować się, słuchać konferencji biblijnych, tu ma zorganizowane koła do wszystkich gier narodowych, tu może uczyć się jazdy na rowerze, pływania, fotografowania. Tu może brać udział w rozprawach i dysputach. Pojmie Pan, że zapisują się chętnie.

A nie trzeba zapominać, że kilkoletnie należenie do Y. M. C. A. jest dla Anglika rekomendacją w dalszem życiu. Młody Anglik, będący członkiem zjednoczenia, daje pewne gwarancye, które go bądź co bądź wyróżniają korzystnie. Ale chcąc do niego należeć, trzeba wystrzegać się zgorszenia, trzeba wystrzegać się zabaw publicznych w niedzielę.

Nie brak więc w Anglii czynników, które w że-

lanych kleszczach trzymają jednostkę. O jednym z najpotężniejszych nie wspomniałem dotychczas. Jest nim opinia publiczna.

Zawołany pedagog angielski oprowadzał mię po szkole, w której pracuje od lat kilkunastu.

Szkoła ta powstała w ciągu wieku XIX z ofiar prywatnych. Nauki odbywają się w niej według planu, ułożonego przez pedagogów, którym założyciele powierzyli to zadanie. Niebawem pozazdrozczono wszakże szkołom, istniejącym już kilka wieków, tej wyższości, jaką im daje przywilej królewski, i zaczęto się o podobny starać.

Królowa Wiktorya dała szkole taki przywilej, taki Royal Charter, wyrażając w nim przekonanie, że zakład będzie pracował dla dobra wiary, ojczyzny i ludzkości. Szkoła musiała dać ze swej strony zapewnienie, że dochody, jakie z niej płyną, nie pójdą do kieszeni założycieli, lecz obracane będą na podniesienie zakładu.

Ogromne sumy, zebrane z wysokich opłat szkolnych, idą odtąd na nowe gmachy, na rozszerzenie ogrodów, na zbiory naukowe. Zupelna niezależność została jednak zachowana bez zmiany.

— Więc ręki rządu Pan nad sobą nie czuje?

— Najzupelniej. Przyjmując posadę, zdałem się na łaskę i nielaskę dyrektora. Według regulaminu naszej szkoły, dyrektor ma prawo oddalić mię każdej chwili. Królowa nie może mu tego zabronić,

bo królowa go nie mianowała. Minister nie może nakazać mu, żeby mię przyjął ponownie, bo minister ani mu pensyi nie płaci, ani mu rozkazywać nie ma prawa. Przywilej królewski jest tylko świadectwem, że praca nasza jest królowej sympatyczna; nie wytwarza on atoli stosunku urzędowej zależności. Mój dyrektor nie ma nad sobą nikogo. Komitet założycieli zajmuje się tylko sprawami administracyjnymi. Komitet nie może narzucać swej woli człowiekowi, który jutro zajmie jedno z najwyższych stanowisk w kraju. Wszak jego poprzednik został wprost z dyrektora biskupem.

— A zatem w szkole panuje zupełny autokryzm?

— Najzupełniejszy. A jednak, patrz pan, jestem spokojny o los własny i o przyszłość dzieci. Zasypiam wieczorem, mniej się lękając o jutro, niż generał pruski lub prefekt departamentu we Francyi.

— Z powodu osobistej przyjaźni z dyrektorem?

— Nie, panie. Z powodu, że nad moim domem czuwa opinia publiczna mego narodu. Pomyśl Pan, że dają mi dzisiaj bez powodu dymisyę. Nie masz Pan pojęcia, coby tu się w mieście działo przez kilka dni następnych. Anglia chciałaby się dowiedzieć, jaka zbrodnię popelnił człowiek, który dał młodzieży kilkanaście książek szkolnych, znanych równie dobrze w Australii jak w Kanadzie, na Przylądku jak w Indjach. Przekonałbyś się pan wów-

czas, co oznacza właściwie ów przywilej królewski. Nie jest on oznaką jakiejś władzy nad nami — bynajmniej! Jest on tylko symbolem ciągłej opieki narodu nad szkołą. Izba gmin nie może powiedzieć sekretarzowi stanu; „Przeprowadź Pan w szkole śledztwo i ukarż winnych“ — ale powiedzianoby mu prawdopodobnie: „Słyszeliśmy, że oni robią tam ze szkoły psiarnię. Zastanów się Pan, czy warto było nadawać im Royal Charter i czy nie wypada im go odebrać!“ Może sobie Pan wystawić, jakiby to miało skutek. Każdy ojciec powie sobie: „Źle się tam dzieć musi, skoro opinia publiczna zniewoliła rząd do wyparcia się wszystkich stosunków ze szkołą!“ Nauka mogłaby się odbywać zwykłym porządkiem. Niktby nam nie nasyłał ani inspektora, ani landrata, ani żandarma, tylko po takiej rozprawie w parlamencie i po odebraniu przywileju, zabrakłoby nam uczniów. Rodzice straciliby do nas zaufanie.

Rozmowa była tak zajmująca, iż urwać się jej nie dałem.

— Więc ta opinia jest tu i rządem, i policją, i sumieniem! Cóż jednak Panowie zrobicie, jeżeli ta potężna pani zacznie się zgłaszać do was z pretensjami śmiesznymi? Cóż zrobicie, jeżeli wam ze chce narzucać dziwaczne wymagania pedagogiczne?

Mój gospodarz się zasępił.

— Opinia wytwarza się ostatecznie przez ście-

ranie zdań. Dotychczas, rzecz można, zdanie zdrowe, po krótszej lub dłuższej walce, zyskiwało zawsze przewagę. Opinia błąkała się niekiedy, ale w końcu odnajdowała właściwą drogę. Cały postęp, o którym mówi nam historia Anglii, idzie w parze z doskonaleniem się opinii publicznej. Gdyby nieuleczalna choroba dotknęła tę opinię, trzebaby zwątpić o przyszłości narodu. My nie mamy komisarzy królewskich, którzyby za naród myśleli. Gdy brakuje zdrowej opinii, stanie się z nami to, co się stało z niejednym państwem potężnym. Patrz Pan, czem była Hiszpania, a czem jest teraz.

— Nogami kopać was będą! — powiedział ksiądz Skarga.

Dom rodzicielski, kościół, kolegium szkolne, murawa, na której kwitnie football i cricket, a wreszcie pod ochroną opinii publicznej nienaruszenie przechowywany obyczaj narodowy — składają się na to, by wspólnymi siłami wytwarzać ów typ, który Anglicy nazywają gentlemanem.

Definicji gentlemana nie dał dotychczas nikt. Kto wie, czy nie możnaby określić tego pojęcia w ten sposób, iż gentlemanem nazwiemy człowieka, który stara się w miarę możliwości być doskonałym. Wszak wiemy, że doskonałość jest pojęciem abstrakcyjnym, nienapotykanem w życiu. Doskonałych ludzi niema na świecie, ale są tacy, którzy chcieliby się do doskonałości zbliżyć, jak rów-

nież tacy, którym to jest obojętne. Można powątpiewać, czy jest człowiek, który nigdy w życiu nie skłamał. Ale wiemy, że są ludzie, którym kłamstwo sprawia obrzydzenie, i inni, którzy nie uczuwają tego wstrętu. Są ludzie, którzy znajdują przyjemność w poprawnem władaniu mową ojczystą, i inni, którzy z najczystsze sumieniem kaleczą język niemilosiernie. Znamy takich, którym przyjemnie jest módz się zaliczać do ludzi o dobrych formach towarzyskich, ale znamy i takich, którzy twierdzą, że dobry obiad nie traci wartości, choć się noża i widelca używa w sposób niewłaściwy. Są młodzieńcy, którym zależy na tem, żeby pod względem siły, zręczności, męstwa, nie okazać się gorszymi od innych, są atoli i tacy, których to nie nęci.

Każdy z nas wie, w której grupie szukać gentlemanów, a w której ich niema.

Anglik nie bywa w kłopotcie, gdy idzie o użycie tego przydomka. Postać gentlemana zarysowuje się przed jego wyobraźnią niesłychanie wyraźnie. I oto mamy zjawisko szczególne. W kraju, w którym napozór indywidualność nie jest krępowana niczem, w kraju, w którym, jakby się powinno zdawać, każda jednostka może przedstawiać typ odmienny, mamy dla całego społeczeństwa pierwowzór męczyzny „dobrze wychowanego“,

wykończony w najdrobniejszych szczegółach, jak nigdzie.

Dobrze wychowanego! Kto jest gentlemanem, jest zarazem człowiekiem dobrze wychowanym w najdosłowniejszem znaczeniu tego wyrazu. I inaczej być nie może, skoro dom rodzicielski i zakłady wychowawcze dążą z całych sił ku upatrzonemu celowi, ku przysparzaniu Anglii gentlemanów. Najpierw być trzeba gentlemanem, a potem dopiero można korzystać ze swobody, jaką Anglia każdemu zostawia: można być wiernym synem kościoła anglikańskiego, lub porzestać na etyce Milla, można poświęcić życie na wspieranie głodnych Hindusów, lub też na uszlachetnienie angielskiej odmiany pinczów, można upodobać sobie rybołówstwo lub też football. Ale gentlemanem być trzeba.

W szkołach angielskich, oprócz niesłychanej uwagi, zwracanej nieustannie na wychowanie fizyczne, uderza nas jeszcze rzecz inna, a mianowicie pewna, świadoma celu konsekwencya, umiejąca połączyć i zharmonizować wszystko, czem zakład wychowawczy może oddziaływać na młodego chłopca umiejąca zatrudnić ucznia przez dzień cały, jeżeli nie nauką, to igrzyskiem, jeżeli nie igrzyskiem, to pracą fizyczną, umiejąca opanować fantazyę wychowanka, jego upodobania, pragnienia, ambicje. Szkoła może tego dokazać, bo wie, czego rodzina i społeczeństwo od niej żąda. Nauczyciel angielski

ma ułatwione zadanie, bo przed oczyma stoi mu ustawicznie konkretny obraz typu, jaki jego uczeń ma przedstawiać po ukończeniu nauk, bo przed oczyma stoi mu postać angielskiego gentlemana.

I na odwrót, rodzina angielska nie miewa nieustannych, nieokreślonych i nieuchwytnych pretenzyi do szkoły, bo wie, czego od niej chce, wie, po co syna szkole powierzyła. Chce, ażeby młodzieniec po ukończeniu sześć- lub siedmioletniego kursu w kolegium, po ukończeniu nauk, którebyśmy nazwali gimnazyalnemi, powrócił do domu jako młodziutki gentleman; chce następnie, ażeby ten sam młodzieniec, odbywszy potem trzechletni kurs w uniwersytecie, powrócił już stamtąd jako gentleman skończony.

To porozumienie domu ze szkołą, to zaufanie jest niewzruszoną, murowaną podstawą tego, tak luźnego napozór, tak niejednolitego, tak samodzielnie rozwijającego się systemu szkolnego w Anglii.

Siedzimy po śniadaniu przy kawie czarnej w górnym pokoiku willi. Słońce październikowe pozłociło już liście dębów i wiązów; w dole daleko czerni się na Atlantyku linia statku, który rano zarzucił kotwicę. Ziemia rozstaje się w ciszy z blaskami lata, z ciepłem i zielenią.

Ktoś zapukał do drzwi wchodowych. Za chwilę zjawia się służąca z listem.

List z Edynburga. Jedenastoletni malec opisuje

rodzicom pierwsze wrażenia szkolne, pierwsze wrażenia z życia w pensjonacie.

Pisze, że tęsknił, że żona przełożonego pensyi jest bardzo dla niego dobra, że wczoraj rozmawiała z nim przez cały wieczór, że nauki idą mu łatwo.

Chłopiec ma widać umysł żywy. Nauczyciel mówił im o wykopaliskach greckich. Mały chciałby wiedzieć, gdzie wykopano głowę Hermesa, którą zawsze widział w domu rodziców na schodach.

Na zakończenie listu dodaje, że nigdy nie zapomni o trzech rzeczach, które obiecał ojcu i matce przy pożegnaniu.

Jakież to są te trzy rzeczy?

Matka tłumaczy mi tę zagadkę z uśmiechem.

Po pierwsze, że będzie wypadki z całego dnia zapisywał co wieczór w dzienniczku.

Powtóre, że będzie przynajmniej raz na tydzień pisywał do domu.

Po trzecie, że będzie raz na zawsze — gentlemanem.

A więc poza pilnem prowadzeniem dzienniczka i regularnem pisywaniem do domu, cała mądrość życia, wszystko, co matka - Angielka ma do powiedzenia synowi przy wysyłaniu go z domu, mieści się w słowach: „Pamiętaj przez całe życie, że jesteś gentlemanem“.

Gentleman nie kłamie. Gentleman kąpie się co

dzień, a gdy to niemożliwe, oblewa się przynajmniej zimną wodą od stóp do głów. Gentleman zachowuje się w kościele przykładnie i nie daje innym zgorszenia. Gentleman mówi poprawnie po angielsku i nie używa nieprzyzwoitych wyrazów. Gentleman nie grywa w niedzielę ani w piłkę, ani w cricket'a. Gentleman nie pastwi się nad zwierzętami. Gentleman nie gryzie paznokci, lecz utrzymuje je starannie. Gentleman nie boi się dosiąść konia lub w łódce puścić się na rzekę. Gentleman utrzymuje w porządku swój pulpit z zeszytami i książkami. Gentleman, biorący udział w grach i igrzyskach dokłada wszelkich sił, aby jego klasa, jego pensya, jego szkoła nie potrzebowały się go wstydzić, ale nie zapomina się do tego stopnia, żeby miał użyć niedozwolonego podstępu. Gentleman nie podnosi w towarzystwie głosu, a przy jedzeniu zachowuje się tak, żeby to nie zwracało niczyjej uwagi. Gentleman pamięta, że jest Anglikiem, i że w razie potrzeby powinien spełnić obowiązek wobec kraju.

Matka mówi synowi: Bądź gentlemanem, a syn wie, co to znaczy.

Bo nie tylko rodzice i szkoła chcą, żeby chłopiec wyrósł na angielskiego gentlemana. Malec sam tego pragnie. Może on się nie zgadzać z intencjami rodziców, gdy idzie o Horacego lub trygonometrię, ale jest całą duszą po ich stronie, gdy

idzie o wychowanie go na gentlemana. I jakże może być inaczej? Wszak ten typ kroczy jako wzór i przykład przed społeczeństwem. Gentlemanem był Wellington, gentlemanem Macaulay, ideałem gentlemiana Gladstone. Gentlemanem jest lord Roberts, „obrońca posiadłości afrykańskich od najazdu Boerów“.

To urabianie się na modłę gentlemiana przenika całą naturę młodego chłopca. Wspominałem już, że w Anglii istnieje do dnia dzisiejszego kara cielesna. Jeżeli zwyczaj ten razi nasze uczucia pedagogiczne, to jeszcze trudniej pogodzić nam się ze zwyczajem oddawania całej klasy, całej pensyi, lub całej sypialni pod nadzór wzorowego ucznia, który przywłaszcza sobie prawo czynnego karcenia podwładnych. Zapytywałem raz nauczyciela Niemca, przybyłego świeżo do Anglii z odmiennymi pojęciami o wychowaniu i niepokodzonego jeszcze całkowicie ze zwyczajami angielskimi, za co też taki mały zwierzchnik wymierza swym kolegom młodszym karę cielesną?

— Za niewłaściwe zachowanie się — brzmiała odpowiedź — naprzykład za używanie nieprzyzwoitych wyrazów. Nieraz można słyszeć, jak starsi uczniowie mówią do młodszych: „Tyś się widocznie chował między bydłem. Nie wiesz, że tu mieszkają gentlemiani? Żebyś sobie zapamiętał, dostaniesz!“

Władza młodego zwierzchnika tolerowana jest przez rodziców i przez społeczeństwo, bo wszyscy przypuszczają, że taki mały „praepostor“, „prefekt“, czy „monitor“ jedną ma przedewszystkiem ambicyę: chce być gentlemanem i stać na czele gentlemanów.

Łatwiej oswoić się z tem, że w kolegiach, wychowujących przyszły kwiat inteligencji, nie klną i nie obrzucają się przezwiskami, niż z tem, że nie kłamią. Malec, który zapytany przez nauczyciela, wyklamuje się, zamiast wprost przyznać się do winy, uchodzi za tchórza, niezasługującego, by gentlemani z nim przestawali. Zbiorowe wykłamywanie się całych klas jest zjawiskiem nieznanem. Rys ten uderzał wszystkich cudzoziemców, badających szczegółowo stosunki szkolne w Anglii ¹⁾.

Wszystko składa się na to, żeby syn rodziny inteligentnej i zamożnej rozwijał się konsekwentnie w jednym kierunku. Czy cały ten kierunek nie jest jednostronny?

Według pojęć angielskich — nie. Według naszych — niezawodnie.

Gentleman — to człowiek, który w zasadzie dąży do doskonałości pod każdym względem.

¹⁾ Porównaj rozdział: *Grossbritannien* przez K. Breul'a, w dziele Baumeister'a: *Organisation d. höheren Schulwesens* str. 816 oraz E. Demolins: *L' Education nouvelle* str. 89.

W praktyce bierze jednak górę wychowanie fizyczne i towarzysko-społeczna strona życia. Można ostatecznie być gentlemanem, nie wiedząc, jak się używa w klasycznym stylu łacińskim spójnika *quin*, ale nie może być gentlemanem, kto nie wie, jak się je kurczęta, lub komu rzędzie mina, gdy mu się koń zrywa pod siodłem.

Rodzina angielska wychodzi atoli z założenia, że nad łaciną czuwać będą dostatecznie nauczyciele. Dom i szkoła muszą natomiast wspólnymi siłami starać się nieustannie o to, ażeby młode pokolenie było, o ile to jest możebne, jeszcze zdrowsze, jeszcze muskularniejsze, jeszcze skłonniejsze do śmiałych przedsięwzięć od pokolenia dzisiejszego; starać się o to, ażeby młody Anglik nie stracił pewności siebie, gdy się kiedyś w jakiejś odległej kolonii znajdzie wśród kilku tysięcy Kafrów, Malajczyków lub Hindusów; starać się o to, ażeby życie domowe nie straciło w przyszłości tych powabnych, wykwintnych form, które Anglika przykuwają do domu, i za którymi tęskni na obczyźnie. Niech więc pisuje do rodziców, niech sobie zdaje sprawę ze swych postępków i pilnie wszystko notuje w dzienniczku i niechaj będzie gentlemanem. A reszta — jak Pan Bóg da.

Ale któż nie widzi, że te pojęcia o wychowaniu są zarazem najsilniejszą podstawą tych arysto-

kratycznych nawyknień i upodobań, które tu uderzają cudzoziemca zaraz na pierwszym kroku.

Spółczeństwem kontynentalnem, z którym Anglię najłatwiej jeszcze porównywać, są Niemcy, zwłaszcza Niemcy północne. Sama religia stanowi tu punkt zbliżenia. A jakaż jednak na każdym kroku różnica! Wchodząc do szkoły w Niemczech, możemy nieraz być w niepewności, czy też do jednej z niższych klas gimnazyalnych, czy też do 7 lub 8 klasy w szkole ludowej. W Anglii taka omyłka jest wprost niemożliwa. To są dwa odrębne światy. Rodzice zamożni, których syn ma potem pobierać nauki średnie w Winchester, w Rugby, w Eton, w Clifton, nie posyłałoby go pod żadnym warunkiem do publicznej szkoły ludowej w gminie, w której mieszkają, a to z obawy, aby nie nabył akcentu, którym mówi lud angielski, a którego wykształcony Anglik lęka się dla swych dzieci, jak ognia. Trzeba albo odwieźć dziecko do najniższej klasy przygotowawczej w kolegium, w którym wychowują gentlemanów, albo dać mu wychowanie początkowe w domu. Trzeba też mieć na to dochody, jakie inteligentny Anglik pospolicie miewa.

— Ile też kosztuje wychowanie chłopca w pańskim zakładzie? — zapytuję pana Cecila Reddie w Abbotsholme.

— Nie więcej, jak w innych pensyonatach. Po-

liczywszy wszystko, można opędzić koszta stu pięćdziesięcioma funtami rocznie. Nie przeczę, że dla ojca, mającego u mnie kilku synów, jest to wydatek znaczny. Ale przyzna pan, że całe urządzenie zakładu jest kosztowne, a przytem niech pan nie zapomina, że jesteśmy w Anglii. Moim rodakom podoba się tylko to, co drogie.

Spółceństwo to jest arystokratyczne, jest niem we wszystkich swych instynktach. Cóż w tem arystokratycznym społeczeństwie robi prawdziwa arystokracja rodowa?

Co robiła, wiemy z historyi. Była duszą życia wiejskiego. Była głównym filarem autonomii i główną przedstawicielką narodu w parlamencie. Myślała o potrzebach kraju i uczyła myśleć innych. Doprowadziła Angię do stanu, w jakim ją zastał wiek XIX, a w ciągu tego wieku, godząc się z nieuniknioną koniecznością, wypuściła nareszcie ster spraw z dłoni.

Czem jest dzisiaj?

Niższe warstwy szlachty angielskiej zrosły się dawno z wyższymi warstwami mieszczaństwa. W wieku XV skończyło się poddaństwo włościan. Wiek XVII i XVIII był epoką skupiania ziemi w rękach możnych rodów. Drobniejsza szlachta, nie mając opieki, jaką się cieszyła brać szlachecka na łądzie stałym, tonęła w oceanie „nieurodzonych“. Z tych dwóch pierwiastków wytworzyło się

to, co dziś jest rdzeniem, koroną i kwiatem inteligencji mieszczańskiej: wytworzyła się rozsypana po całej wyspie, a jednak wszędzie te same rysy mająca *gentry*, dająca na każdym kroku dowody, że rodowód swój wyprowadza z tych dwóch odrębnych gniazd. Z pnia szlacheckiego wzięła tradycję życia publicznego, tradycję rządzenia krajem, żywe zajęcie się wszystkim, co dotyczy państwa; z pnia mieszczańskiego — pracowitość, rzetelność kupiecką, pamięć o jutrze. To też *gentry* jest warstwą, którą Anglia chlubi się, jako jedną z najcenniejszych osobliwości Albionu.

Inną drogą potoczyły się losy rodów wielkopañskich. *Nobility*, arystokracja we właściwym znaczeniu, oparta o silną podstawę, jaką jej dają rozległe dobra ziemskie, ujęte przeważnie w formę majoratów, nie rozplynęła się w masie narodu. Zachowawszy swe dziedziczne miejsca w Izbie lordów, odgrywa po dzień dzisiejszy rolę regulatora w nieustannej ewolucji politycznej i społecznej, przez jaką Anglia przechodzi. Własność ziemska daje jej ogromny wpływ na autonomiczną administrację hrabstwa i gminy, a jej zamki, zwierzyńce, stajnie myśliwskie i niezmierzone ogrody dają jej miejsce naczelne w życiu towarzyskiem narodu.

Do dnia dzisiejszego na polowanie na lisa, które *Squire* angielski urządza w swych dobrach, zapraszana bywa cała okolica. Mniejsza o to, że jakiś

zapalony dojeżdżacz stawi się na koniu, który wczoraj chodził w pługu lub rozwoził beczki z piwem. Ci wszyscy poodpadają przy pierwszej przeszkodzie. Ostatecznie dojadą lisa tylko ci, co siedzą na dobrych koniach. Tacy zaś zawsze są pożądanymi.

Jakże wygląda jednak w rzeczywistości owa nieustanna wymiana krwi między arystokracją a mieszczaństwem, owa nieustanna asymilacja, o której czytaliśmy tyle razy? Wszak młodsi synowie rodzin arystokratycznych, nie dziedzicząc majątku, muszą sami o sobie pamiętać i sami zarabiać na chleb. Wszak mówiono nam tyle razy, że przez to oddawanie młodszych swych synów mieszczaństwu, arystokracja angielska demokratyzuje się nieustannie. Cóż o tem powiadają sami Anglicy? Czy podróżnemu, który rozpytywał się o te stosunki na miejscu, przedstawiają się one zgodnie z wyobrażeniami, jakieśmy sobie wyrobili o nich na lądzie stałym?

Jeżeli przez mieszczaństwo i życie mieszczańskie rozumiemy coś, co ma nam przypominać małe miasta na kontynencie, to obraz, jakiśmy sobie wytworzyli, będzie całkiem błędny. Młodsi synowie lordów nie handlują cygarami. Nie dziedzicząc dóbr i krzesel w Izbie lordów, przestają oni w pojęciu angielskiem pełnić funkcje społeczne, które naród arystokracji powierza, i wsiąkają zwolna

w stan średni; ale nie zapominajmy, że ów stan średni, o którym tu mowa, to najzamożniejsza warstwa angielskiej *gentry*, że to są ludzie posiadający wille, galerye obrazów, konie rasowe i starożytnie srebra. Młody panicz, wchodzący w tę warstwę, może zostać dyrektorem banku lub kolei, wysokim urzędnikiem jakiegoś przedsiębiorstwa kolonialnego, może wreszcie stworzyć coś własnym kosztem, ale nie będzie zmuszony do stawania za ladą kupiecką.

I pocóż tych nowych eksperymentów, skoro potrzeba tylko dobrych chęci, ażeby zająć jakąś doskonałą posadę, na której to społeczeństwo, arystokratyczne do szpiku kości, woli zawsze oglądać człowieka ze starem nazwiskiem, z dobrymi manierami i z dystygowanym sposobem mówienia.

Jest więc marynarka królewska z niezmiernie licznym sztabem oficerów; jest armia, jest dwór królewski, są intratne urzędy centralne w Londynie, w stolicy imperyum brytańskiego.

Ale nie koniec na tem. Jest kościół anglikański z ogromną ilością ubożuchnych posad (7000 pastorów pobiera mniej, niż po 130 funtów rocznie), ale też ze sporym szeregiem intratnych Arcybiskup w Canterbury pobiera 15.000 funtów (to jest 150.000 rb. rocznie), arcybiskup Yorku i biskup londyński po 10.000 funtów, biskup w Winchester 6500 funtów rocznie. Na długiej liście bi-

skupów anglikańskich znalazłem tylko jednego ze skromniutką pensyjką 1500 funtów (15.000 rb.). Wszyscy inni pobierają więcej.

Przytoczyłem te szczegóły umyślnie. Czytelnik widzi z nich, że młodzieniec skoligacony, umiejący pamiętać o sobie i nie mający skazy na charakterze, może w Anglii dać sobie radę, nie otwierając sklepiku z serem.

Dobre probostwo lub niezła kanonia bywa tam bardzo pospolitem zaopatrzeniem młodszego syna. Jeden z synów lorda Salisbury'ego ma taką właśnie prebendę w Hatfield, przynoszącą mu 2000 funtów rocznie. Któryś dziennik przypomniał niedawno czytelnikom, że zmarły lord Derby postarał się dla jednego z blizkich krewnych o probostwo dające 4000 funtów rocznego dochodu.

Nieraz umyślnie poruszałem ten przedmiot w rozmowach i musiałem ostatecznie nabrać przekonania, że pojęcia, jakie przyniosłem z łądu stałego o tem, tak częstem rzekomo oddawaniu się młodszym synów lorda różnym demokratycznym, mieszczańskim zawodom — były bardzo, bardzo przesadne.

Omyłka ta polega do pewnego stopnia na nieporozumieniu.

Jakkolwiek Anglik zachował wielką cześć dla szlachectwa i jakkolwiek nadawanie tytułu szlacheckiego przez króla nie tylko nie rozśmiesza tam

ogółu, ale przyjmowane jest przez opinię publiczną z wielkiem namaszczeniem — to jednak istnieje niezaprzeczona i widoczna różnica między szlachcicem, który otrzymał ten tytuł za to, że dorobiwszy się majątku na handlu herbata, dał w dzień jubileuszu królowej pół miliona na obiady dla ubogich dzieci, a szlachcicem, którego pradziad był nobilitowany przez Jerzego III za to, że złupił skarbiec jakiegoś księżątka indyjskiego; — jest różnica między rodziną, której ojciec otrzymał szlachectwo za to, że jako zawołany lekarz, wynalazł niezrównany środek na wypędzanie solitera, a rodziną, której przodek otrzymał je od Elżbiety za to, że zręczniejszy od innych brał kordelasem dzika lub wypuszczał sokoła na czaple.

Nobilitowany kupiec nabywa dla najstarszego syna zamek i wraz z zamkiem oddaje go sferom szlacheckim. Nie wynika z tego jednak, żeby młodsi synowie mieli się pozbywać dojrzałej krowki, jaką jest handel ojcowski.

Inne są stosunki w starych rodach arystokratycznych. Gdy się rozeszła pogłoska, że syn lorda Braybrooke przyjmuje posadę nauczyciela w jednym z kolegów w Cambridge, mówiono o tem, jako o zjawisku, zasługującym na uwagę, jako o objawie, charakteryzującym dzisiejsze przesilenie rolnicze i zmniejszenie się dochodów z ziemi.

Pod tym względem różnica między Anglią

a kontynentem wydała mi się mniejszą, niż legenda głosi.

A jednak jest rzeczą zupełnie naturalną, iż ta legenda powstała.

W wieku XVIII szlachcic francuski, o ile nie służywał wojskowo, o tyle z małymi wyjątkami nie robił nic. Przejeżdżał się między Paryżem a Wersalem, tracił fortunę ojcowską i zaciągał długi, które królowie płacili z pieniędzy, składanych w skarbie państwa przez ubogi i ciężko opodatkowany lud. Podobne, choć nie tak rażące stosunki były i w innych państwach ładu stałego. Podróżnemu, który wówczas przybywał do Anglii, szlachta angielska musiała się wydawać niesłychanie zdemokratyzowaną. Szlachta angielska nie była już wówczas szlachtą wyłącznie dworską. Nie traciła czasu na próżniactwie, pędziła życie pracowite, zasiadała w obu Izbach parlamentu i pisała dla narodu ustawy. Przyjmowała z nominacji królewskiej urzędy po hrabstwach, sądziła mieszczan, dzierżawców, robotników, przewodniczyła w komitetach parafialnych (młodszy synowie poczytywali sobie za zaszczyt, gdy którego z nich obrano majorem jakiej większej gminy), lub też przyjmowała urzędy w koloniach.

Dziś stosunki na łądzie stałym zmieniły się do niepoznania. Podróżny, przybywający do Anglii, zostawia poza sobą nie Francję z przed rewolucji

i Niemcy z przed wojen Napoleońskich, ale Europę nowożytną, a staje na ziemi, która obok znamion wielkiego postępu, posiada wiele rysów zachowawczych. Przekonywa się też, że postępowość starej arystokracji angielskiej zasadza się nie na tem, żeby jej część znaczna, czy nawet przeważna, obierała drobnomieszczańskie zajęcia, ale na tem, iż stara się ona, bez względu na to, czy zalicza się do stronnictwa torysów, czy whigów — poznawać potrzeby szerokich mas, następnie zaś czynić tym potrzebom zadość, dobierając środków, zależnych od programu partyi.

W tej mierze idzie ona krok w krok z naczelnymi sferami całej inteligencji angielskiej. Anglia jest arystokratyczna. Warstwowanie widoczne jest wszędzie. Demokratyczne prawodawstwo ostatnich gabinetów Gladstone'owskich i ostatnich parlamentów liberalnych z przed r. 1895 nie przeobraziło tego, co wytworzyły wieki. Ale też ta sama szkoła wiekowa nauczyła i tę arystokrację ziemiańską i ten patrycyat miejski i tę hierarchię kościelną, że chcąc rządzić, trzeba pamiętać o tych, którymi się rządzi.

Sześćdziesiąt lat temu Engels przepowiadał w swej pracy o położeniu klas roboczych w Anglii, że rewolucya musi tam wybuchnąć w przeciągu lat kilkunastu. Rewolucya nie wybuchła i nikt jej wybuchu już nie przepowiada. Gdy jednak od

ukazania się wspomnianej rozprawy upłynęło lat trzydzieści, zwiedzał Anglię inny reformator, Amerykanin Henry George. Ten wyznaje, iż zdumiał się, zobaczywszy społeczeństwo, w którym bogaci tyle czynią dla ubogich.

„Nie uważam — powiada Gladstone w Izbie gmin w r. 1864 — nie uważam agitacyi między ludem za warunek niezbędny, mający zawsze poprzedzać wszelką reformę, uchwaloną przez parlament, sądzę raczej, że obowiązkiem naszym jest uprzedzać agitację i zapobiegać jej przez rozumne uchwały“.

Gladstone był postępowcem i demokratą. Wątpię atoli, czy znalazłby się dzisiaj jakiś konserwatysta, jakiś wstecznik, jakiś arystokrata, któryby nie zechciał podpisać tych wyrazów.

IV.

Cambridge. — W cieniu starożytnych murów uniwersyteckich. —
Igrzyska narodowe. — Słowo i czyn. — Nowa Szkoła.

Przez siedm wieków myśl ludzka wysilała się pod temi sklepieniami na wydzieranie tajemnic przeszłości, przyrodzie, tajnikom duszy; przez siedm wieków wychodzili z Cambridge ludzie, dzierżący potem sztandar Anglii wysoko. Gdzie spojrzeć, wszędzie glazy mówią o przeszłości. Całymi dniami bląkać się tu można po krużgankach, dziedzińcach, salach bibliotecznych. Myśl leci za promieniem słońca, który przekrada się przez kowaną kratę i ozlaca wnętrze sklepionych cel, w których spędzał młodość wielki poeta, wielki myśliciel, wielki mąż stanu. Nie wychodząc poza krańce tego miasta, liczącego czterdzieści tysięcy mieszkańców, można odczytać na kamieniach historję myśli angielskiej.

Z poczerniałych murów spogląda na nas tu

Róża Plantagenetów, tam Brona Tudorów. Patrzą na dziwy, o których się nie śniło tym, co na pożytek ojczyźnie, a Bogu na chwałę dźwigali te dumne baszty, dumające po dziś dzień o losach pokoleń, wychowanych tu w ich cieniu.

Arystokratyczny, niedostępny Cambridge otworzył dziś wrota dla gości z blizka i daleka. *University Extension* święci dwudziestopięcioletnią rocznicę istnienia. Wykłady wakacyjne, wykłady dla wszystkich, dla mężczyzn i kobiet, dla uczonych i prostaczków odbywają się tym razem znowu w starej siedzibie uniwersyteckiej, pod skrzydłami tej *Almae Matris*, która lat temu dwadzieścia pięć dała hasło do nowego dzieła.

Studenci rozprószyli się już prawie zupełnie, by używać wakacyi po świecie. Natomiast z całej Anglii i z za morza ściągają tłumy, żądne wiedzy. Pleć nadobna zebrała się licznie.

Między cudzoziemcami niewielu jest takich, którzy rozumieją bez trudności wszystkich prelegentów.

— Ach, Panie — powiada mi młodzianka nauczycielka wysłana do Cambridge przez belgijskie ministeryum oświaty — tak się ogromnie cieszyłam, kiedy mi dali to stypendyum na podróż, a tymczasem przekonywam się, że nic a nic nie rozumiem.

— Przecież Pani umiała po angielsku przed przyjazdem?

— Ależ oczywiście. Wszystkie egzamina z języka angielskiego zdawałam celująco, a tu są profesorowie, których rozumieć niepodobna.

— Cóż Pani opowie w domu, kiedy Panią spytają ?

— O, ja wiem zawsze, o czym była mowa. Dowiaduję się od siostry, która zna język doskonale; ale tak nudno, siedzieć dzień cały na lekcjach i nie domyślać się, co mówią!

Cały kurs trwa trzy tygodnie. Treścią jego jest Anglia w wieku XIX. Spotykamy tu wszystkiego po trosze. Prelegenci miewają po kilka lekcji. — Potem przychodzi kolej na innych. Co parę dni zmienia się przez to skład grona profesorów.

Biuro informacyjne, herbata z ciastkami, czytelnia, zaopatrzona doskonale w dzienniki i książki naukowe, pokój do pisania, słowem — całe ognisko życia towarzyskiego mieści się w hali wolnomularskiej. Wolnomularstwo silne jest w Anglii, a uniwersytet w Cambridge liczy, jak mię zapewniono, wielu braci między swymi członkami. Trudno się zresztą temu dziwić, skoro cała rodzina królewska zajmuje oddawna w łóżach angielskich stanowiska wysokie. Edward VII był, jako książę Walii, wielkim mistrzem. Królowa Wiktorya była naczelną opiekunką wielkich ochron, utrzymywanych przez wolnych mularzy dla chłopców i dziewcząt.

Codzień popołudniem oczekuje nas jakaś rozrywka. To herbata w czarującym ogrodzie, to wycieczka do Audley-End, wspaniałej rezydencji renesansowej z oryginałami Van-Dycka, z bogatą kaplicą, z ogrodem, którego wzduż i wszereż prze mierzyć nie można, z atmosferą historyczną, która przenika siedzibę rodu, żyjącego z pokolenia w pokolenie losami całego kraju — to wreszcie wyprawa do Ely, dla zwiedzenia jednej z najwspanialszych katedr romańsko-gotyckich, po której oprowadza nas uprzejmie dziekan miejscowy, znakomity archeolog, pelen nauki, uprzejmości i tej wykwintnej dystynkcyi, która jest znamieniem wyższego duchowieństwa anglikańskiego.

Wykłady w *University Extension* odbywają się przeważnie w tonie dosyć popularnym. Wszystkie razem nie stanowią organicznej całości. To też wielu słuchaczów nie uważa wykładów za główny cel pobytu w Cambridge. Jeden szpera w bibliotece, drugi zapoznał się z kilku młodymi uczonymi, trzeci zwiedza miasto i okolicę.

Na końcu korytarza, w bramie, na tle słonecznego nieba mignie nam czasem sylwetka studenta w todze i birecie. Poszanowanie przeszłości sprawiło, że młodzież nosi do dnia dzisiejszego szaty, jakie nosili ojcowie.

Chodząc po tych krużgankach i ścieżkach, potracamy co krok nogą o głązy, które deptała stopa

tych, co budowali Anglię taką, jaką dziś oglądamy. W Cambridge wychował się Bacon, myśliciel i mąż stanu, w Cambridge Newton, twórca nowożytnego poglądu na prawa przyrody, w Cambridge czerpali naukę Milton, Byron, Macaulay, Thackeray, Tennyson; tu rozwijali umysł i serce do przyszłych czynów William Pitt, Grenville, Palmerston, tu Burleigh, Robert Walpole, Horace Walpole, tu Erazm Darwin i Karol Darwin, tu William Wordsworth, autor „Ballad lirycznych“ i jego towarzysz po lutni, S. T. Coleridge, tu Thomas Gray, autor „Elegii na cmentarzu wiejskim“, i Wesley, wielki reformator życia religijnego, a gdy się zwrócimy jeszcze dalej w przeszłość, znajdziemy w spisie studentów nazwisko Edmunda Spensera, największego poety angielskiego przed Szekspirem. Któryż uniwersytet świata może powiedzieć o sobie, że się lepiej ludzkości zasłużył?

Ślady przeszłości zostały atoli nietylko w strojach uczniów i profesorów. W ogólnych zarysach utrzymała się cała organizacja średniowieczna. Uniwersytet jest do dnia dzisiejszego zbiorowiskiem „kolegiów“. Każde kolegium jest światem dla siebie. Każde żyje życiem własnem, każde ma w swym gmachu mieszkania dla swych wychowaućców, każde ma własny ogród, własny refektarz, własną bibliotekę, a w pewnej mierze własnych profesorów. Wymagania nauki nowożytnej sprawiają, że wspólne

zakłady naukowe rozwijają się coraz bardziej, nauka przenosi się z kolegiów do uniwersytetu, rozwój ten odbywa się jednak powoli, bez nagłych reform i wstrząśnień.

Uniwersytet i kolegia czuwają z zazdrosną pieczołowitością nad swymi przywilejami, nad swą autonomią. Niechętnie też pozwalają czy to rządowi, czy osobom prywatnym wglądać w swe rachunki. Komisya królewska sprawdziła w r. 1872, że dochody uniwersytetu w Cambridge wynosiły wówczas 33 tysiące funtów, a dochody kolegiów 307 tysięcy. Ponieważ jednak znaczna część tych dochodów płynie z dóbr ziemskich, przeto powszechne panuje przekonanie, że z powodu przesilenia w rolnictwie suma ta znacznie w ostatnich latach zmalała. Miasto mile wspomina dawne czasy, kiedy młodzież żyła bez porównania rozrzutniej, gdyż nietylko kolegia, ale i rodziny studentów miały większe dochody. Zdarzało się — powiada mi jeden z mieszkańców miasta — że za ufryzowanie peruki panicze płacili po gwinei!

Już tylko cząstka młodzieży uniwersyteckiej zalega kolegia i trawniki. Większość rozjechała się na wakacje. Zostali ci, którzy się przygotowują do egzaminów, lub kończą w laboratoryach prace rozpoczęte. Odlegiem więc leży murawa, deptana przez rok cały dzień po dniu *pede libero*. W niektórych tylko kolegiach widzieć jeszcze można gry na-

rodowe w liczniejszym gronie i na większe rozmiary.

Patrząc na to, cudzoziemiec doznaje w pierwszej chwili wrażenia dziwnego. Te kostyумы i przybory, ten cały aparat kosztowny, paniczykowski, wykwintny, ta atmosfera sportu i elegancyi, nie godzą się zrazu w jego myśli z pojęciem „gry narodowej“. Niebawem atoli przekonywa się, że *football* i *cricket* zasługują w zupełności na tę nazwę. Przekonywa się o tem, gdy mu się uda być świadkiem gier, odbywających się przed oczyma tłumu, złożonego z tysiąca widzów.

Podróżny, przybyły zdaleka, nie orientuje się z początku wcale. Nagle tłum się ożywia, zaczyna klaskać, zapala się, wybucha. Czemu oni klaszczą? Oko, nie przywykłe do tych igrzysk, oswaja się z niemi powoli. Zaczynamy zdawać sobie sprawę z tego, co się tłumowi podoba. Zaczynamy chwycić okiem piękne, męskie, energiczne ruchy ciała. Zaczynamy odróżniać to, co zasługuje na wyszczególnienie. Tu zwraca uwagę śmiały skok, ówdzie silne odbicie piłki, tam znowu zręczne przechylenie się lub cios celnie wymierzony. Gra zajmuje nas coraz bardziej. Stajemy się częścią tłumu, oddychamy w takt jego oddechu, wraz z nim upodobaliśmy sobie te dowody męskiej dzielności, wraz z nim doznajemy rozkoszy na widok pięknego ruchu, pięknej postawy. Rzecz cała zaczyna przed-

stawiać się nam w innym świetle. Czujemy już teraz, że to życie na świeżem powietrzu, życie, wymagające wyłączenia wszystkich sił młodzieńczych, jest naprawdę najistotniejszą częścią życia narodowego.

Udział widzów we wszystkich przejściach i wzruszeniach gry opisać się nie da. Na kilku głównych grach zna się każdy Anglik. Niema tu różnicy między starym i młodym, bogatym i ubogim. Każdy odróżni na pierwszy rzut oka dobrego gracza; każdy się zapala. Widziałem jak grano w Londynie w cricketa na wielkim turnieju między graczami z północy i z południa. Parę tysięcy widzów przypatrywało się grze z zajęciem, nieustającym na chwilę. Podczas pauzy, gdy gracze, okryci szalami i derami, odpoczywali, czekając nowego hasła, zbliża się do jednego z nich kilkunastoletni chłopiec i podając album, prosi, ażeby raczył umieścić w nim swój podpis!

Do takiej sławy nie dochodzi się bez trudu. — Proszę podejść i przypatrzeć się z bliska, jak tam pracują mięśnie, jak tam pracuje pierś. Gdy ktoś, nie oswojony z temi wrażeniami, widzi po raz pierwszy, jak grają w *football* systemem „Rugby“, robi mu się straszno. Kilkunastu młodzieńców, pochylonych głowami ku sobie, splątało się w wielki kłębek, trzymając się wzajemnie ramionami za karki,

a każdy stara się stopą zagarnąć ku sobie wielką piłkę, płaczącą się między nogami.

W Winchester, gdzie młodzież szkolna grywa w *football* na mniejszej przestrzeni, otoczonej dookoła siatką, mogłem się doskonale przypatrywać zapasom. Ile tylko w młodej duszy i w młodym ciele znajduje się siły, wytrwałość, ambicyi, tyle tryska jej z każdego ruchu, z każdego drgnienia. Każde z tych młodziutkich ciał jest już produktem wiekowej cywilizacyi, mającej za podstawę ćwiczenia fizyczne. Każde z nich przysposabia się tu do ciężkich zadań, jakie mu ojczyzna wynaczy czy w domu, czy w koloniach. Kto tam zgadnie, gdzie osiedziesz, którą wodą w świat popłyniesz...

Już rzeźbiarze starożytni wiedzieli, że inaczej rozwijają się mięśnie i inaczej formuje się klatka piersiowa u niewolnika, dobywającego ostatnich sił pod batem, a inaczej u wolnego syna Hellady, zaprawiającego się od dziecka do rzucania dyskiem lub oszczepem, i naciągania łuku. Rzeźba grecka uwydatnia tę różnicę wyraźnie. Wiedzą o tem Anglicy. Ci młodzieńcy, którzy zostali przysłani na naukę do uniwersytetów i konwiktów szkolnych, pojmują, że obowiązek ćwiczenia się w dzielności fizycznej jest równie ważny i święty, jak obowiązek ćwiczenia się w językach starożytnych, w prawie rzymskiem lub w naukach przyrodniczych; a naród, który przygląda się tak bacznie ich zapasom,

wie, że każdy lut tkanki mięśniowej, zdobyty w nieustannych wysiłkach, jest zadatkami przyszłych powodzeń całego plemienia, bo ta młodzież, to przyszli kierownicy narodu, przyszli wykonawcy zbiorowej jego woli, przyszli przedstawiciele jego majestatu wobec ludów Azji i Afryki.

By to zrozumieć, dosyć spojrzeć uważnie na te młode postacie. Wszystkie tchną pewnością siebie, odziedziczoną po pokoleniach dawnych, wszystkie tchną dobrobytem, swobodą, którą im dało dzieciństwo, spędzone bez troski, zdrowiem, którego nabrały w domu rodzicielskim, dostatnim i zasobnym. butą, której przysparza nadzieja, że życie im się potoczy szlakiem powodzeń i zwycięstw.

— Czy przy takim mocowaniu się nie bywa wypadków? — pytam jednego z młodych uczonych, towarzyszącego mi łaskawie.

— Bywają! Gdy pierwszy raz, jako mały chłopiec, grałem w szkole w football, jeden z moich kolegów dostał tak nieszczęśliwe kopnięcie w goleń, iż kość mu pękła.

— I zdarza się to często?

— Rzadziej, niż na polowaniach na lisa!

Nie zważa się na to. Naród, który chce rozkazywać Hindusom, Malajom, Kafrom, musi ponosić pewne ofiary. Za darmo nie zdobywa się przewagi nad nikim.

Naród wie, że musi być zdrow i silny, jeżeli

ma swej wyspie zapewnić i nadal takie stanowisko wśród wszystkich lądów świata, jakie sobie w ciągu czterech wieków zdobyła; a warstwa, rządząca dziś narodem, warstwa, na którą złożyły się i pierwiastki szlacheckie i zamożne mieszczaństwo i sfery naukowe — wie, że przestałaby być, czem jest, gdyby straciła zdrowie, siłę i przytomność umysłu w każdym niebezpieczeństwie.

Bo że Cambridge jest instytucją arystokratyczną, że jest jedną z podpór i twierdz ducha arystokratycznego, przenikającego dziś jeszcze Anglię mimo wszelkich reform i całego postępu, o tem nie wątpi nikt. Pamiętać tylko trzeba, że ten duch arystokratyczny nie objawia się w prawodawstwie, w krępowaniu wolności osobistej jednych, a obsypywaniu przywilejami drugich. Tegoby Anglik dzisiejszy nie ścierpiał. Państwo zdemokratyzowało się znacznie i demokratyzuje się dalej z szybkością zdumiewającą. Duch arystokratyczny objawia się w tem, co na skałach Albionu zawsze było silniejsze i trwalsze od praw pisanych, od woli rządu, od polityki państwa: objawia się w obyczaju, w tradycyi, w ustalonych formach życia społecznego i towarzyskiego.

Już pod koniec pobytu w Anglii zwiedzałem jedną z głośnych *public schools*. Był to konwikt szkolny, wychowujący przeważnie synów bogatego

mieszczanstwa. Dyrektor, rozmawiając ze mną, dał mi do przejrzania listę nauczycieli.

— Widzę — zauważyłem — że Cambridge i Oxford dostarczyły Panu niejednego kandydata.

— Jak to? Jeden tylko z naszego grona odbywał nauki gdzieindziej. Wszyscy inni kształcili się w tych dwóch uniwersytetach.

— Czyż inne uniwersytety nie dają swym wychowankom tej samej wiedzy?

— Wiedzę... może, ale tylko Oksford i Cambridge dają mi zupełną rękojmię, iż kandydat ma dobre maniery!

Tu i ówdzie sarkają na ten stan rzeczy. Zarzucają tym dwom uniwersytetom wyłączność, kastowość, życie zbyt koczownicze. Reformatorom nie podoba się, że studenci dają dla kolegów obiady, na które przychodzi się we fraku i białym krawacie, że się uważają za uprzywilejowanych, że się nie stykają z młodzieżą ubogą. Przeciw tym zarzutom występują przyjaciele uniwersytetów z gorącą obroną. Mr. Graham Balfour, znakomity znawca wychowania publicznego w Anglii, zapewnia, że od czasu, jak do wykładów uniwersyteckich dopuszczono studentów, niemieszkających w kolegiach, rzeczy zmieniły się na lepsze. Dziś 150 funtów wystarczyć może studentowi na całoroczne utrzymanie.

Tak jest! Biedaczysko, który ma 1.500 rubli

rocznego dochodu, a umie żyć oszczędnie, może się w Cambridge utrzymać.

Było to nad brzegiem Atlantyku, w Clifton-College w Bristolu. W prześliczny dzień słoneczny młodzież grała w football zawzięcie. Piłka szła wysoko, wysoko...

— Niechże mi Pan powie — rzekłem do profesora O. L., któremu niejedną informację zawdzięczam — niech mi Pan powie, co robi syn ubogiego robotnika angielskiego, jeżeli chce przejść przez wszystkie stopnie szkół i ukończy uniwersytet?

— O wypadkach wyjątkowych, w których taki biedak znajduje bogatego i szczodrego protektora, mówić Panu nie będę. W Anglii zdarza się to częściej, niż na lądzie stałym, nikt jednak liczyć na to nie może. Dojście do uniwersytetu nie jest mimo to w zasadzie rzeczą niemożliwą nawet dla młodzieży bardzo ubogiej. W praktyce...

— Praktyka nie zawsze z teorią się zgadza.

— Podobnie i w tym wypadku. W teorii mnóstwo instytucji popiera to dążenie ubogiej młodzieży do wyższych szczebli nauki. Przy pomocy stypendyów może on przejść przez wykształcenie średnie, następnie zaś ma możliwość korzystania z tak zwanych University Colleges, to jest z kursów uniwersyteckich, znajdujących się w wielu większych miastach. Mamy takie wykłady i w Bri-

stolu. Dla uzyskania świadectw musi atoli zdawać egzamin w Londynie. Wygląda to bardzo ładnie. W rzeczywistości jednak wypadki, o jakich Pan mówi, zdarzają się w Anglii daleko rzadziej, niż na stałym lądzie.

— Dlaczego?

— Jako filolog mogę Pana zapewnić, że niema rzeczy trudniejszej, jak Anglika, pochodzącego z gminu, nauczyć wymowy poprawnej. Syn ubożego robotnika czułby przez całe życie tę ogromną różnicę, jaka przez długie pokolenia wytworzyła się między jego sferą a sferą, otrzymującą wychowanie w uniwersytetach. Jeżdżąc po Anglii, przekonałeś się pan, że ludzie z wykształceniem uniwersyteckim mają tu, podobnie jak cały wogóle stan średni, mnóstwo skłonności i nawyknień, które w innych krajach uchodzą za arystokratyczne. — Pański robotnik, czy też syn robotnika czułby się pomiędzy tymi ludźmi nieszczęśliwym.

— Więc przedział, jaki jest dzisiaj, musi pozostać na wieki?

— O nie. Anglia przechodzi nieustannie przez wielkie przemiany społeczne, dzieje się to jednak nie zapomocą nagłych przewrotów, lecz zapomocą powolnej ewolucyi. Patrz Pan na tych chłopców. Żaden z nich nie jest synem robotnika, ale dziadowie i pradziadowie wielu z nich niezawodnie zarabiali pracą ręczną na chleb. Drugie pokolenie

posunęło się nieco naprzód; trzecie dojdzie do uniwersytetu.

To trzecie może się już kusić o wszystko.

* * *

W klubach studenckich przygotowuje się młodzież do rządzenia krajem. W Debating Union, równie w Cambridge, jak w Oxfordzie, odbywają się posiedzenia parlamentów. Studenci rozprawiają o sprawach, któremi się w danej chwili zajmuje naród.

Kolegia chlubią się wychowañcami, a „Union“ pamięta swych dawnych członków i dawne rozprawy. Cambridge i Oxford podobne są do siebie w tym względzie. Christ Church College w Oxfordzie wylicza z dumą siedmiu prezesów gabinetu, których w ciągu wieku dało ojczyźnie, a byli to tacy, jak: Liverpool, Canning, Peel, Derby, Gladstone, Salisbury i Rosebery. W Union Debating Society w Oxfordzie żyje pamięć pierwszej mowy Gladstone'a, który, jako dwudziestoletni młodzieniec, przemawiał równocześnie za emancypacją katolików, przeciw równouprawnieniu żydów, a za powolnem, stopniowem wyzwalaniem murzynów, których póty nie chciał obdarzać wolnością, dopóki nie odbiorą wykształcenia, przysposabiającego ich do korzystania z wolności! Gladstone był nie-

zmiernie czynnym członkiem tego stowarzyszenia młodzieży oxfordzkiej. Nie poprzestając na niem, założył w kole ściślejszem „Oxford Essay Club“, który koledzy od imion założyciela (William Ewart G.) ochrzcili mianem „Weg“. Unia obrała go prezesem. Po nim piastował ten urząd jego młodszy kolega, przyszedł kardynał Manning. Innym razem przyszedł przywódca demokracji angielskiej przemawiał jako student przeciw rozszerzeniu praw wyborczych.

Nie zapomniano tego Gladstonowi. Kiedy w Izbie gmin w roku 1866 toczyły się obrady nad reformą wyborczą, której Gladstone bronił imieniem gabinetu, Disraeli przypomniał mu owe jego wystąpienie młodzieńcze. Takimi sztuczkami nie pokonywało się takiego szermierza. Gladstone odparł cios zwycięzko, okrywając śmiesznością mowę, który dojrzałemu mężowi wypomniał, iż wątpi dziś o tem, w co wierzył jako studencik. Mowa, w której wyjaśnia, dlaczego zmienił zdanie, należy do najlepszych, jakie słyszano w parlamencie. Streścić da się ona w kilku słowach: „Byłem młody, więc powtarzałem zdanie cudze; dziś wyrobiłem sobie własne, więc bronię go całą siłą przekonania“.

Cambridge żyje z uniwersytetu. — Przemysłu w mieście niema. Życie płynie spokojnie. Wszystko tchnie pogodą, dostatkiem, pewnością siebie, poczuciem bezpieczeństwa. Do drzwi w mieszkaniu,

które zajmowałem, nie było klucza. Gospodyni sądziła, że to sprzęt zbyteczny.

Nieraz zapytywałem Anglików, dlaczego sławni złodzieje londyńscy tak rzadko wyjeżdżają kraść na prowincję. Zjawisko to da się wytłómaczyć w sposób bardzo prosty. Londyn ze swymi pięciu milionami mieszkańców jest światem odrębnym. Kto w Londynie jest jak u siebie, ten na prowincyi jest bezradny. Co krok może popełnić niezręczność, która go zdradzi natychmiast.

Niechno atoli w jakimś małym mieście zdarzy się kradzież, wzbudzająca podziw — z pewnością powiedzą wszyscy, że to przybysz ze stolicy dokazał tej sztuki.

Przed moim przyjazdem do Cambridge zdarzył się tam wypadek, o którym opowiadać będą długo.

Między trzecią a piątą popołudniu, gdy cała młodzież ugania po murawie, zajęta sportem i grą, do mieszkania bogatego studenta, noszącego nazwisko arystokratyczne, zakradł się gość nieproszony. Pora obrona była dobrze. Studenci, przebiegając się do gier, zostawiają najczęściej zegarki i pieniądze na opiece Boskiej. Wypadkiem zdarzyło się inaczej. Złodziej zawiódł się srodze: w mieszkaniu nie było nic, prócz niezapłaconego rachunku za wino. Człowiek, nie bity w ciemę, spożytkować potrafi wszystko. To też bohater naszej opowieści

włożył rachunek do kieszeni i jak niepyszny wyszedł.

Wieczorem, gdy młodzież uniwersytecka siedzi w refektarzach przy obiedzie, wszedł do sklepu korzennego jegomość niezumieinnie dystyngowany.

— Czem Panu możemy służyć?

— Chciałbym zapłacić rachunek mojego synowca!

Tak miła zapowiedź usposobiła kupca sympatycznie. Wymienienie arystokratycznego nazwiska ubez władniło go zupełnie.

— Ależ, Milordzie! Czyż ta drobnostka warta tego, żeby się Wasza dostojność dla niej trudziła.

— Och! chciałem chłopcu zrobić przyjemność. Nie wiem dobrze, ile to wynosi. Poszukaj Pan w książkach. Musiało to być w lutym, bo w tym miesiącu wypadają jego urodziny.

Kupiec wy dobył księgę, a tymczasem zabawił gościa rozmową.

Jego lordowska mość słuchał z pobłażliwym uśmiechem o wielkiej radości, jakiej całe miasto doznało na wieść o sukcesach, odniesionych przez młodą latorośl starożytnego rodu, gdy dwa bratnie uniwersytety poszły o lepsze w cricketa. Nareszcie poszukiwana pozycja się znalazła. Nie było poco przychodzić. Cały rachunek nie wynosił pięciu funtów. Cóż począć, skoro milord chce płacić koniecznie?

— Wolę poczekać u Pana w sklepie — powiada gość niezwykle — a Pan bądź łaskaw posłać subiekta do banku. Oto daję Panu czek na pięćdziesiąt funtów. Każ mi Pan zmienić.

— Cóż znowu! Czyż mogę pozwolić, Milordzie, żebyś Pan czekał tu razem z kucharkami. Wyplacę Panu czek gotówką, potrączę sobie, co mi się należy, a pieniądze odbiorę potem.

Arystokratyczny klient zaczął robić ceremonie. Ostatecznie uległ prośbom, kazał sobie pokwitować należytość za wino, włożył pozostałe pieniądze do kieszeni, skinął kupcowi ręką na pożegnanie i odprowadzony do drzwi, uśmiechnąwszy się łaskawie, wyszedł. Subjektowi powiedziano nazajutrz w banku, że czek był fałszywy.

Złodziej przepadł. Nazajutrz zadrwił jednakże z kupca jeszcze raz. Przysłał studentowi pocztą kwit, którym kupiec poświadcza, że pieniądze za wino odebrał.

Student rachunek oczywiście pomimo to zapłacił, ale kupiec stał się odtąd ostrożny w przyjmowaniu czeków.

* * *

— Musicie panowie mieć w Anglii wspaniałą literaturę pedagogiczną? — powiadam do p. Flet-

chera, lektora pedagogiki w Cambridge, gdyśmy w jego pracowni zasiedli do pogawędki.

— Co ważniejsze znajdzie Pan ot tam, na półkach.

— Wszystko?

— Pan zapomina, że to nie Niemcy. Niemiec, gdy się zdobędzie na nową ideę pedagogiczną, pisze zaraz książkę.

— A Anglik?

— Anglik zakłada szkołę. My nie mamy cierpliwości niemieckiej. Kto miewa nowe pomysły, chce widzieć, jak się one przedstawia w zastosowaniu.

— Przyzna Pan jednak, że nieraz łatwiej napisać książkę, niż stworzyć nowy zakład naukowy.

— Pan mówi o trudnościach materyalnych? Niezawodnie. Trzeba jednak pamiętać, że ludzi zamożnych jest tu więcej, niż w innych krajach.

— A jeżeli taka oryginalna idea, taki pomysł reformatorski zrodzi się w umyśle człowieka niezamożnego?

— To stara się on pozyskać dla swej idei ludzi zamożnych. Anglia zajmowała się oddawna wychowaniem młodzieży. Gdy idzie o zakładanie szkół, społeczeństwo nie ogląda się na rząd. Pedagog, przynoszący jakąś myśl świeżą, znajdzie życzliwych, którzy mu pieniędzy dostarczą.

— A jeżeli ich nie znajdzie?

— W takim razie urządza meetingi, miewa mowy, w najgorszym razie wolno mu stanąć na krześle w ogrodzie publicznym i wykladać swój system przechodniom. Jeżeli tylko zdoła zająć słuchaczy, może liczyć na powodzenie. Prasa znacznie poruszać tę sprawę, polemika się wywiąże, ostatecznie idea utoruje sobie drogę. Ktoś powie nareszcie, że trzeba przystąpić do czynu. Jeżeli próba się uda, dosyć będzie czasu na rozwijanie teorii. *Im Anfang war die That* — powiada Goethe. Całe życie angielskie jest wcieleniem tej myśli. Hasłem narodu jest czyn.

Przytoczyłem zdanie pedagoga. Oto przykład z tej samej dziedziny.

Mr Clement jest synem rodziców zamożnych. Dzieciństwo upłynęło mu wśród dostatków domowego życia, jakimi bogaty bankier angielski zwykł otaczać rodzinę. Chodzić uczył się w ojcowskiej galeryi obrazów, na kucu jeździł po najrozkoszniejszych trawnikach cieniściego parku, lata uniwersyteckie zbiegły mu w jednym z najarystokratyczniejszych kolegiów. Ostatecznie nadeszła pora obierania zawodu.

Mr. Clement postanowił służyć krajowi. Ponieważ zaś w podróżach po kontynencie nabral przekonania, że Anglia pod względem oświaty ludu pozostała w tyle, przeto powiedział sobie, że za-

daniem jego życia będzie podniesienie poziomu szkół ludowych w ojczyźnie.

Jakże się zabrał do dzieła? Czy może puścił w ruch pół batalionu ciotek, żeby mu wydeptały jakąś przyjemną synekurę w *Education Department*? Czy też, paląc wonne cygaro w eleganckim klubie na Piccadilly, zaczął rozprawiać o wadach i grzechach nauczycielstwa i kończył każdy wykład zwrotką: „Jabym tych lajdaków porozganiał“?...

Młody Anglik postąpił inaczej.

Wsiadł na okręt i popłynął do Niemiec. Przekonawszy się zaś niebawem, że nie dosyć jest przypatrywać się nauce z boku, udał się do jednego z miast, w których pedagogika stoi wysoko, wstąpił tam do seminaryum pedagogicznego i dla nabrania właściwej metody dydaktycznej, przyjął w szkole próbnej obowiązki nauczyciela języka angielskiego. Przez ośm miesięcy chodził nasz Anglik regularnie na swe godziny do klasy, nie skarżąc się ani na nudy małego miasteczka, ani na rygor szkolny, ani na pedantyzm przełożonych, ani na ironiczne spojrzenia kolegów, którzy w tym wykratkowanym, sztywnym, małomównym przybyśzu czuli przez skórę panicza i rzecz oczywista — darować mu tego nie mogli.

Proszę zaś nie wyobrażać sobie, że w całym tem opowiadaniu jest jakikolwiek dodatek dla

upiększenia. Każdy szczegół jest tu brany z życia. Rzeczy złożyły się tak, że w Anglii mogłem widzieć p. Clement'a w otoczeniu, wśród którego wyrósł, a w Niemczech — przy pracy.

Przypuśćmy nawet, że mój znajomy nie obrał najodpowiedniejszej drogi; przypuśćmy, że celu nie dopnie i nie zreformuje szkół w kraju rodzinnym. Nie o to tu idzie. Wspomniałem o tym przykładzie, ażeby pokazać czytelnikowi, jakie ideały mewają czasem w Anglii synowie milionerów i jak każdy idealny popęd łączy się tam odrazu z praktycznym ujęciem przedmiotu, z tem pragnieniem czynu, które Anglik posiada z krwi, z tradycji i z tego męskiego wychowania na trawnikach Winchesteru, Etonu, Oxfordu.

Przyjaciel nasz nie dumal, nie monologował, nie marzył w cieniu starych wiązów o sielance zawodu nauczycielskiego. Zrozumiał, że niczem nie trafi narodowi do przekonania tak, jak czynem. Na krytykę teoretyczną społeczeństwo ma odpowiedź gotową: „Żle w szkołach naszych uczą? Pokaż asan, jak się uczyć powinno!“

Takie jest dzisiejsze pokolenie Anglików; w takim też duchu wychowuje się pokolenie następne.

Pierwiastek ruchu, życia, zbiorowej pracy fizycznej przenika każdą wzorową szkołę, połączoną oczywiście z internatem i biorącą wobec rodziców odpowiedzialność za wszystko, co się stanie z ich

synem przez cały czas pobytu. To samo widziałem w Winchester, to samo w Clifton, to samo w Abbotsholme. Uczeń nie ma chwili na wałęsanie się bezczynne. Nawet w godzinach wolnych zupełnie od nauk, od przygotowań, od gier i od pracy w warsztatach, zdarzy się zawsze jakaś wycieczka, jakaś robota przygotowawcza do wielkiej uroczystości szkolnej, jakaś wspólna wyprawa w celu zwiedzenia kościoła, zwalisk, biblioteki, tak iż chłopcy są przez cały czas zajęci. Praca umysłowa i fizyczna rozłożona jest tak, żeby ani umysł ani ciało nie doznawały zbytniego znużenia. Nad wszystkim jednak panuje zasada, iż niema nic gorszego, jak próżniactwo.

Chłopiec nie ma czasu na rozmyślania, nie idzie w pustkowie, by dumać i śnić, nie oddaje się marzeniom w godzinę samotną, bo i na cóż to się Anglikowi przyda?

Jeszcze nie ucichł łomot na schodach po ostatniej godzinie szkolnej, a już ci, co wyprzedzili innych, wypadają na łąkę w wełnianych koszulkach, z odkrytą piersią, z rękami obnażonymi po łokieć, a niekiedy i z odsłoniętymi kolanami — gra się zaczyna.

Za trzy kwadransy niema ich już na łące. Poszli na śniadanie. Zajrzyjmy tymczasem do sypialni. Widzimy, że tu byli. Każdy z nich zdążył zrzucić z siebie kostyum sportowy, stanąć na chwilę

w swej małej łazience pod strumieniem zimnej wody, wdziać szybko ubranie zwykle i z wilczym apetytem zbiedz po schodach do jadalni. Szkoła — to życie.

Starą tę zasadę postanowił rozwinąć i w odmienny zastosować sposób młody pedagog angielski, znany ze swych reformatorskich dążeń i we własnym kraju, lecz daleko bardziej za granicą.

Mr. Reddie, założyciel i dyrektor „Nowej szkoły“ w Abbotsholme, może się poszczycić, że za wzorem stworzonym przez niego poszedł w Anglię p. Badley, dyrektor szkoły w Bedales, w Niemczech p. Herman Lietz w Ilseburgu w Górach Hercyńskich, a we Francji p. Demolins, przełożony szkoły des Roches pod Verneuil.

Wychowujemy dzieci nie dla własnej i nie dla ich rozrywki; wychowujemy je, żeby żyły w społeczeństwie, żeby mu były przydatne i poddając się prawom, którym każdy członek społeczeństwa ulega, umiały zdobyć sobie stanowisko materyalne i towarzyskie; wychowujemy je tak, żeby im nie zabrakło czci i chleba.

Jakże dopiąć tego celu?

Czy wystarczy dać uczniowi wiedzę, otworzyć mu oczy na świat, a resztę zdać na niego? Czy wystarczy powiedzieć mu: „Nauczylem cię patrzeć.

Idź więc, patrz, i sam wyrób sobie zdanie o tem, co dobre, a co złe?"

W drugiej połowie wieku XIX kierunek ten zaznaczył się dosyć silnie w niektórych krajach ładu stałego. Przeciwnicy nazywali go materjalizmem pedagogicznym. Uczono młodzież, ale jej nie wychowywano. Niejeden poszedł w świat, spojrział w głąb życia i powróciwszy, oświadczył, że już wie, co godziwe. Godziwą jest dla niego walka o byt, godziwe jest użycie; dla innych godziwe jest burzenie wszystkiego, co niezgodne z osobistym upodobaniem. Społeczeństwo zlekło się skutków systemu. Powiedziało, że trzeba nie tylko uczyć, ale i wychowywać.

Gdy mowa o wychowaniu, nie może być dla Anglika rzeczą wątpliwą, w jakich zasadach wychowywani mają być młodzieńcy, powierzeni jego pieczy. Zasady utrwaliła religia, a obyczaj narodu przystosował je do potrzeb plemienia, kraju i epoki. Idzie tylko o to, jak te zasady wszczepić w umysły i serca.

Czy może uczyć młodych moralności, jako osobnego przedmiotu szkolnego?

Teoria etyki nie podola temu trudnemu zadaniu. Można rozszerzyć jej zakres, można mówić o honorze, państwie, społeczeństwie, kwestyi socyalnej. Młodym nie przyda się to wcale. Młodzież jest przenikliwa i dowie się szybko, że to, co jej

szkoła podaje, nie jest uznane przez wszystkich. Dowie się, że nie na całym świecie panuje to samo pojęcie honoru, pojęcie czystości ducha i ciała, pojęcie rzetelności kupieckiej, pojęcie męstwa, używanego na dobre i na złe. Wykłady teoretyczne nie przemówią jej do uczucia i wyobraźni, nie uspią zwątpienia, nie usuną jej z przed oczu sprzeczności, które samo życie nastęcza.

Cóż więc pozostaje? W jaki sposób uzbroić ją przeciw pokusom, które na nią czekają? W jaki sposób oszczędzić młodemu pokoleniu tragicznej konieczności dźwigania się z upadku, na który niedoświadczenie je naraża?

Można obrać za hasło zasadę, że wychowanie powinno panować nad szkołą, a wiedza powinna być jego służebnicą. Można każdą lekcję dziejów lub historii naturalnej przykrawać do wymagań etyki. Wyniki tego systemu nie zawsze bywają świetne. Młodzież pozna się rychło na tendencyjnym zabarwianiu nauk. Gdy zaś raz zacznie podejrzewać szkołę o tendencyjność, przestanie jej wierzyć i w tych wypadkach, w których nauka będzie wolna od tendencyi.

Próbowano sposobów innych. Rousseau, wielbiciel przyrody, gromiący ludzi nieustannie za to, że tylko psują jej dzieła, stwarza dokoła swego Emila świat sztuczny, który ma przed dzieckiem udawać życie. Czyż mamy naśladować jego przy-

kład? Czyż mamy, jak on, grać z uczniem komedję i wprowadzać go niby przypadkiem — w szkołę, gdzie na niego, niby przypadkiem, wpada ogrodnik, któregośmy tam wysłali poprzednio?

P. Reddie rozwiązuje ten odwieczny problemat w sposób odmienny.

Niech chłopiec przysposabia się do życia przez życie. Jeżeli chcemy wiedzieć, jak się nasz wychowaniec później zachowa wobec świata i bliźnich, to wprowadźmy go w to realne życie zawczasu, póki go mamy w rękach. Niechaj to jednak nie będzie świat teatralny, udany, sztuczny, ale rzeczywisty i prawdziwy, pełen obowiązków i wymagań.

Internat w Abbotsholme jest czemś więcej, niż zakładem wychowawczym. Jest on wielką rodziną, której członkami są nauczyciele, równie jak uczniowie. Jest on zarazem domem pracy, jest przedsiębiorstwem, w którym nauczyciele i uczniowie pracują razem nad rozszerzeniem i przyozdobieniem szkoły i nad przysporzeniem jej dochodów.

Uczniowie przywiązali się do dyrektora i do szkoły. Młode serca umieją czuć gorąco. O własnej przyszłości niejeden może nie myśli, ale żaden nie chce wyrządzić szkody szkole. Tu właśnie zaczyna się wpływ systemu.

Zakład bierze warzywa z własnego ogrodu. — Cała praca w ogrodzie spoczywa na uczniach.

Gdy nauczyciel powiada uczniowi: „Dla swego

własnego dobra musisz posiedzieć całe popołudnie nad gramatyką grecką“ — chłopiec bierze to za zwykły frazes pedagogiczny, słyszy w tem bowiem głos bakalarza; ale jeżeli nauczyciel mu rzecze: „Dla dobra zakładu ziemniaki muszą być dzisiaj przed wieczorem złożone w piwnicy, boby do jutra zmarzły“ — to chłopiec czuje, że temi słowy przemawia do niego życie, chłopiec wie doskonale, że to nie jest zwrot mowy podyktowany względami pedagogicznymi, lecz najistotniejsza prawda.

Zakład p. Reddie ma własny wodociąg i połączoną z nim pompę parową. Całą maszynę obsługują uczniowie, ucząc się przytem zimnej krwi, rozważli, ostrożności.

Jeżeli nauczyciel powiada uczniowi: „Nie mogę uwolnić cię na niedzielę dla twego własnego dobra“ — to uczeń uważa to za obłudę i nauczycielowi nie wierzy. Ale jeżeli mu przełożony mówi: „Jeden z was trzech jest chory, drugi dostał pozwolenie na wyjazd, gdybym i ciebie uwolnił, maszyna by stanęła“ — to uczeń widzi w tem najzupełniejszą szlachetność. Gdyby szło tylko o niego samego, poczytywałby sobie za punkt honoru, wydobyć się z zakładu pod jakimkolwiek pozorem. Ponieważ tu jednak idzie o cały zakład, o dobro dyrektora, którego wszyscy kochają, o dobro nauczycieli i kolegów, więc chłopak spaliłby się

ze wstydu, gdyby go zdjęła pokusa zejść ze stanowiska i zdać maszynę na łaskę losu.

P. Reddie postanowił rozwiązać jedno z najtrudniejszych zadań pedagogicznych, postanowił usunąć sprzeczność między szkołą i życiem. Sposób, w jaki to uczynił, poddaje najchętniej krytyce całego świata. Szkoła jego jest przez cały rok otwarta dla gości. Każdy, kto ją zwiedzał, zachowa na długo wspomnienie gościnności, cechującej zresztą wszystkie zakłady naukowe w Anglii; jakiegokolwiek zaś wywiezie zdanie o metodzie p. Reddie'go, przyzna, że zakład jego bardzo blizki jest pierwowzoru, istniejącego w duszy założyciela.

Uczniowie pomagają dyrektorowi w prowadzeniu ksiąg rachunkowych, uczniowie odwożą pieniądze do poblizkiego banku i załatwiają sprawunki, uczniowie mają zarząd apteki domowej, uczniowie sporządzają w warsztacie szkolnym mnóstwo sprzętów i przyrządów. Gry narodowe nie zniknęły mimo to z zakładu. Zajmują tylko mniej czasu, niż w innych szkołach.

Zakład w Abbotsholme daje uczniom nie tylko atmosferę prawdziwego życia, daje on im nadto atmosferę życia rodzinnego. Uczniowie są braćmi młodszymi, nauczyciele starszymi. Ogólną zasadą, że praca i ruch są niezbędnymi warunkami higieny ciała i ducha, stosują do siebie nauczyciele i uczniowie w równej mierze. Chłopcy widzą, że

uleganie mądrym prawom nie jest niewolą, lecz aktem rozumu.

Ale w rodzinie tej młodzież stanowi kółko ściślejsze. P. Reddie chce, żeby się tu uczyła nie tylko słuchać praw szkolnych, ale także rządzić się autonomicznie. Niejedną sprawę, niezwiązaną ściśle z lekcjami szkolnymi, uczniowie załatwiają samodzielnie. Obradują jawnie, głośno, wiedząc na przód, że skoro p. Reddie powierzył im jakieś zadanie, to słowa nie odwoła, a to, co uchwalą, będzie im wolno wykonać.

Szkoła w Abbotsholme rozwinęła się z ogólnych zasad wychowawczych w Anglii. Kształci ona nie tylko umysł, ale i ciało. Z wyjątkiem kilku godzin w tygodniu, zatrudnia ucznia nieustannie. Czuwa nie tylko nad karnością wychowawców, lecz także nad rozwojem samodzielności. — Ale obok tego podobieństwa są także różnice.

Inne szkoły angielskie rozwijają dzielność, karność, siłę i wytrzymałość chłopca przez sport; p. Reddie wie, że praca pochłania czasu wiele. — Chcąc, ażeby nauki nie cierpiały na tem, powiedział sobie, że na lekcjach należy używać metody dydaktycznej, podającej uczniowi największy zasób wiedzy w najkrótszym czasie. I on zatem udał się do Niemiec. Dziś w Abbotsholme panuje metoda Zillera-Reina. Wykłady zastąpił dialog na wzór wielu szkół niemieckich.

Przez dwa dni bawiłem w tej szkole. P. Reddie wiele poświęcił mi czasu. Niejednokrotnie określał w rozmowie swój system, jako połączenie nauki niemieckiej z wychowaniem angielskiem.

Z wychowaniem angielskiem, bo wychowanie to, choć odbiega od typu powszechnego, angielskiem być nie przestało. Wiemy już, co robi pedagog angielski, gdy mu w umyśle błysnie myśl świeża: zakłada szkołę. Zrobił to także p. Reddie. W szkole angielskiej młodzież zaprawia się do życia. Dzieje się to samo i w Abbotsholme. Młodzież uczy się tam żyć nie wśród zabaw, lecz wśród realnego życia, wśród angielskiego życia wiejskiego.

* * *

— A nie będę Pani przeszkadzał?

— Ależ nic a nic. Przedstawię Pana dyrektorowi. Zwiedzi Pan klasę moją i klasy moich koleżanek.

— Będę Pani niezmiernie wdzięczny.

— Niech Pan sobie nie obiecuje zawiele. Zwiedzał Pan uniwersytety i szkoły średnie i nabrał Pan korzystnego wyobrażenia o wychowaniu w Anglii. Inaczej przedstawi się Panu szkoła ludowa. O trudnościach, z którymi walczymy, wiele można mówić...

— *Tell me the story simply. As to a little child...*

— Cóż Panu powiem? Przyjdź Pan i zobacz.

Poznałem szkołę ludową w mieście stotysięcznym. Dzieci, w ogromnej większości urodzone i wychowane w ubóstwie, trochę butne i niesforne, nie napróżno chodzą na naukę. Z zeszytów można się przekonać, że pracowano nad nimi sumiennie i systematycznie.

Nie to jednak nauczycielka miała na myśli. Zobaczyłem coś, czego nie widziałem dotąd w życiu. Zobaczyłem trzy klasy, mieszczące się w jednej sali. Trzy klasy, w których trzy nauczycielki uczą równocześnie. Salę przedzielono w tym celu płóciennymi frankami na trzy oddziały.

A miasto, w którym się to dzieje, liczy sto tysięcy mieszkańców. A kraj, w którym to się dzieje, ma najwytworniejsze i najzbytkowniej urządzone kolegia dla synów rodzin bogatych.

Szkoły ludowe nie odpowiadają dziś w Anglii wymaganiom ludzi, którzy widzieli Niemcy, Holandję, kraje skandynawskie, a pragnęliby, żeby Anglia przodowała światu. Zwolennicy reformy żądają atoli nie tylko nowych budynków, nowych metod i nowych, inaczej do swego zawodu przygotowanych nauczycieli, ale chcieliby przede wszystkim, ażeby państwo ujęło ster oświaty ludu, chcieliby, ażeby *the board schools*, t. j. szkoły publiczne, szkoły

pozostające pod władzą okręgowych komitetów szkolnych, a nie stanowiące dziś nawet połowy ogólnej liczby szkół, rozszerzyły się po całym kraju. Większość młodych nauczycieli ludowych pragnie, ażeby szkoła publiczna zastąpiła czemp prędzej szkołę kościelną.

Reforma taka nie jest łatwa. Zgromadzenia religijne rozporządzają dziś znacznymi funduszami. W razie zamienienia tych szkół na szkoły publiczne, trzeba by zastąpić te środki pieniężne wydatkami, płynącymi z kieszeni opodatkowanych. Nie każdy śmiały reformator zdobędzie się na krok tak stanowczy.

W r. 1900 uczęszczało w Londynie 450.000 dzieci do szkół ludowych publicznych, a 175.000 do szkół kościelnych, utrzymywanych przez najrozmaitsze wyznania. Na utrzymanie szkół publicznych wypłacili mieszkańcy stolicy w roku ubiegłym 2 miliony funtów. Suma ta rośnie z każdym rokiem. Do jakiejże odrazu urosłaby wysokości, gdyby w szkołach publicznych chciano pomieścić jeszcze 175.000 dzieci, uczęszczających dzisiaj do szkół kościelnych.

W każdym razie prąd ku reformie w kraju jest. Gdyby atoli reformę wykonano za jednym zamachem, padłby znowu w otchłań kawał starej Anglii.

Państwo broni się samo przeciw roli, jaką mu część prasy chce narzucić. Rząd dzisiejszy, rząd

konserwatywny, nie pragnie monopolu w dziedzinie oświaty. Wszewładzę, którą go częstują, uważa za podarek Danaów.

Zapytywałem o to p. M. E. Sadlera, urzędnika w ministeryum oświaty, dyrektora biblioteki pedagogicznej w Londynie. Chciałem wiedzieć, czy ministerstwo pragnęłoby zastąpić szkoły kościelne szkołami powszechnymi, a radom okręgowym narzucić jednocześnie ścisłejsze przepisy, dotyczące budynków, urządzeń i życia wewnętrznego.

— Wiesz Pan, co to jest? — pyta p. Sadler, rozpoczynając rzecz metodą poglądową.

— Pudelko od papierosów.

— Bardzo dobrze! A to? Pudelko na biszkopty! Nieprawdaż? Otóż Pan wyobraża sobie zapewne, że ja tu powkładam biszkopty, a tam papierosy. Widzi Pan, byłby to system francuski, system belgijski, system niemiecki. System angielski jest inny. Widzi Pan, co ja robię? Wkładam tu i papierosa, i kawałek biszkopta, i łyżeczkę, i okruszynę cukru. To jest po naszymu. Co to znaczy? To znaczy, że my nie chcemy, żeby wychowanie średnie było zbiorowiskiem samych biszkoptów, czy też samych łyżeczek, a wychowanie wyższe zbiorowiskiem samych papierosów lub sucharków. Nie! My chcemy, żeby Oxford zachował swoją indywidualność, a Cambridge swoją. My nie chcemy, żeby kolegium w Eton było takie, jak w Winche-

ster. My nie chcemy zmuszać Croydonu, żeby zaprowadzał u siebie szkoły ludowe, całkiem podobne do tych, jakie ma Bristol. Niech miasta, kolegia, uniwersytety współzawodniczą ze sobą. Będzie to prawdziwą rękojmią postępu.

— A rząd, a państwo?

— My w ministeryum znajdziemy zawsze sposobność służenia krajowi bez naruszania samodzielności szkół i nauczycieli. My możemy nawet tym szkołom wielkie oddawać usługi. Możemy studyować postęp oświaty za granicą, możemy z większą, niż ktokolwiek inny, łatwością robić próby i doświadczenia, możemy na żądanie dawać wyjaśnienia szkołom, położonym tuż pod Londynem, jak również, gdyby się do nas zwróciły, szkołom położonym w Afryce południowej...

Jakże w tych słowach znać tradycje dawnej Anglii! Jaka przebija z nich troska o to, by w powodzi reform nie zaginęło to, czem się naród odróżniał od innych.

V.

Misyonarz i jego słuchacze. — Żarliwość sekt. — Katolicyzm w Anglii. — Prąd Oxfordski. — Tolerancja i jej granice.

Pierwsza połowa października zaznaczyła się ożywionym ruchem w kościołach dyssydenckich w Croydon. Zapowiedziano przyjazd misyonarza. Obiecał przyjechać na cały tydzień. Co dzień miał kazać w kościele innej sekty.

Gipsy Smith posiada dziś w Anglii ustaloną sławę znakomitego kaznodziei. Sam uważa się za narzędzie, obrane przez Opatrzność ku nawracaniu zbłąkanych.

Urodził się w namiocie wędrownych cyganów. Był jeszcze małym dzieckiem, gdy ojciec jego, rodowity cygan, ochrzcił się i poświęcił szerzeniu Słowa Bożego. Starsi bracia poszli tą samą drogą.

Gdy Gipsy Smith przemawia, kościół bywa pełny. Słuchacz dziwi się z początku. Ani postawa, ani głos mowcy nie odpowiadają oczekiwaniom.

Trwa to dopóty, dopóki kaznodzieja nie wzniesie się do ekstazy, przejmującej cały kościół szmerem, drżeniem, łkaniem. Dokoła słyhać to przejmujące łkanie tłumy, które chwytą za szyję i dławi.

Odtąd mowca rządzi już samowolnie całym tłumem słuchaczy. Gdy po skończonem kazaniu wzywa tych, co się czują w stanie łaski, by się zgromadzili w zakrystyi, pod magnetycznym wpływem jego wzroku podnosi się z ławek jedna postać po drugiej i drżąc od płaczu, idzie przez kościół.

Żadne drwiny nie obalą faktu. W tym narodzie jest silne uczucie religijne. Objawia się ono i w łonie każdego wyznania i w współzawodnictwie różnych kościołów.

Że przy wielkiej gorliwości religijnej trudno o zupełny spokój i zgodę, domyśleć się łatwo. Między kościołem anglikańskim a sektami protestanckimi, czyli tak zwanymi dyssydentami, nie zniknęły jeszcze ostatnie ślady niechęci i niedowierzania.

Anglia, jak wiadomo, nie posiada dotąd statystyki wyznań.

— Jakże to być może — zapytuję jednego z młodszych historyków w Cambridge — żeby państwu angielskiemu nie zależało na zebraniu odpowiednich liczb ?

— Poznaję cudzoziemca! Odrazu widać, że Pan nie zna naszych dyssydentów. To oni nie chcą dopuścić do obliczenia, ilu która religia ma wyznawców.

— Dlaczego?

— Bo sumienna statystyka odkryłaby przed światem ich niemoc. Póty wszystkie ich narzekania i żale mogą na kimś robić jakie takie wrażenie, póki świat nie wie, ilu ich jest naprawdę. Statystyka przekonałaby Anglię, jak ta cała nasza *nonconformity*, jak to całe sekciarstwo jest słabe.

Musiałem to przyjąć do wiadomości.

W parę tygodni potem zjechałem się w domu wiejskim z młodym, bardzo wykształconym pastorem dyssydenckim. Chciałem wiedzieć, co on myśli o tem.

— Dlaczego — pytam — tak wiele dyssyden-
tom zależy na tem, żeby świat nie wiedział, jaki jest liczebny stosunek wyznań w Anglii?

— Domyślam się z tych słów kilku, że Pan nie zna anglikanów. Jakaż wartość mógłby mieć taki spis, skoro oni wszystkiemi rządzą? Przekonałby się Pan, jakby to wyglądało w praktyce. W szkołach, w których oni rej wodzą, w szpitalach, w więzieniach, w *workhouseach*, statystyka nie wykazałaby ani jednego dyssydenta. Na to się narażać nie chcemy.

Nie zapomniano więc dawnych swarów. Trzeba tylko dotknąć struny, a odezwie się natychmiast.

Walka między wyznaniem obok największej tolerancji, wielki pozytywizm w nauce obok niewykorzenionej skłonności do rozmyślań teologicznych, wielka żarliwość religijna obok częstych wypadków przechodzenia z jednego wyznania na drugie: wszystko to sprawia, że życie religijne w Anglii roztacza się przed nami, jako obraz zawily, pełen rażących sprzeczności i jaskrawych plam.

Ażeby się w tym zawilym obrazie przynajmniej o tyle zorientować, o ile to jest możebne dla podróżnego, bawiącego tylko przez jedne wakacje na ziemi angielskiej, trzeba się przedewszystkiem pozbyć wielu wyobrażeń, któreśmy sobie o Anglii wyrobili w domu na podstawie wiadomości dziennikarskich, anegdot, branych z trzeciej ręki, conceptów z *Fliegende Blätter* i karykatur z *Journal Amusant*. Trzeba postępować według metody indukcyjnej, zapomnieć o sądach, jakieśmy może sami przedtem wydawali *a priori*, a polegać na tem, co widzimy i co słyszymy.

Nie da się zaprzeczyć, że gdy patrzymy na Anglię z daleka, doznajemy mimowoli wrażenia, iż jej życie religijne z przesadnym święceniem niedzieli, z kazaniem i miewaniami po ogrodach przez ludzi świeckich, z podziałem na tyle rozmaitych

wyznań, nie jest zjawiskiem poważnem. Niektóre objawy tego życia rozśmieszają nas.

Na brzegu angielskim dowiadujemy się, że to, co nam się wydawało śmiesznem, tu brane jest na seryo, że na straży tego życia religijnego, na straży tych zwyczajów i tradycyi stoją nie tylko stare dewotki angielskie, ale także ludzie bardzo praktyczni i bardzo pozytywni, ludzie o wielkiem wykształceniu i wielkiej energii.

W miarę dłuższego pobytu dowiadujemy się rzeczy innych, niemniej dziwnych: dowiadujemy się, że to, co tych ludzi dzieli na wyznania i sekty, stanowi także między nimi łącznik niewidzialny. Dzieli ich żarliwość religijna, ale ta sama żarliwość łączy ich także. Każda sekta, każde wyznanie walczy z dogmatami sekt i wyznań innych, ale w każdej sekcie i w każdym wyznaniu są ludzie, umiejący cenić w innowiercach szczerść przekonania i gorącość uczuć.

„Jeden jest tylko przedział — mówi Gladstone w swym sławnym liście otwartym z dnia 1 czerwca 1896 r. — przedział, wobec którego, według mego najgłębszego przekonania, nikną wszelkie inne przedziały; jest to przedział między wiarą a niewiarą“. Na innem zaś miejscu ten sam mąż stanu, objawiający przez całe życie silną, niezachwianą wiarę, wyraża się temi słowy, charakteryzującemi Anglika: „Jestem przekonany, że im bardziej poje-

dyncze wyznania chrześcijańskie będą poznawały i badały prawidła wiary i zasady życia, wyznawane przez inne wyznania, tem bardziej wzmocni się całe chrześcijaństwo“.

Pamiętać atoli trzeba, że powiedział to jeden z najdoskonalszych przedstawiceli typu anglosaskiego, i że nie wynika stąd jeszcze, iżby poglądy te podzielali w równej mierze wszyscy członkowie kościoła anglikańskiego, którego on był gorliwym wyznawcą.

Gorliwość jest w Anglii cechą wszystkich wyznań.

Oto weźmy kościół kongregacyonistów w West-Croydon. Kongregacyoniści stanowią sektę, liczącą w Anglii i Walii półtora miliona miejsc w ławkach kościelnych. Gmina ich, jak wszystkie gminy dyssydenckie, ustępuje pod względem zamożności parafiom anglikańskim. Mimo to wybudowała wspinały, ogromny kościół gotycko-romański, wynagradza wcale dostatnio pastora, a nadto składa się nieustannie na mnóstwo instytucyi i przedsięwzięć, połączonych z kościołem.

Co w Croydon robić w niedzielę po południu, jeżeli deszcz pada?

— Chodź Pan z nami do kościoła. Byłeś Pan rano na mszy katolickiej, teraz zobaczysz, jak to wygląda u nas.

— Czy to nieszpory?

— Gdzież znowu! Na nieszpory pójdziemy dopiero po herbacie. Teraz może się pan przysłuchać nauce religii.

— Chodźmy.

Obok kościoła wybudowali parafianie ogromną hallę, przy niej kilka pokoi mniejszych. W tej halli i w przyległych pokojach urządził osobny komitet niedzielną naukę religii. Udzielają jej w części nauczyciele i nauczycielki szkół miejscowych, należący do gminy, w części ludzie dobrej woli. Prezes komitetu mr. Pym robi mi honory. Po lekcji wdaję się w rozmowę z nauczycielką, którą już znałem poprzednio.

— To zajęcie pozbawia Panią w niedzielę do dwóch godzin wolnego czasu.

— Robimy to chętnie dla kościoła.

— Czy koszta tej nauki ponosi cała parafia?

— Kosztów prawie nie ma. Na cóż tu pieniędzy? Te same śpiewniki i książki służą raz na zawsze?

— A któż wynagradza Pani czas stracony?

— Nikt z nas nie przyjąłby wynagrodzenia. Jako należący do gminy, poczytujemy to sobie za obowiązek. Zresztą komitet daje nam dobry przykład. Mr. Pym, nasz *chairman*, zajmuje się tak gorliwie tą nauką.

— Uważałem, że go dzieci dobrze znają. Musi być często na lekcjach?

— Nie opuszcza prawie żadnej niedzieli. Ma on wogóle wielkie zasługi. Jest jednym z „dziekanów“ parafii. Interesa swe urządza tak, by w niedzielę być zawsze w Croydon ze względu na nasze lekcye.

— A jakiż jest jego zawód ?

— Jest agentem ubezpieczeń.

Życie gminy kościelnej jest więc czemś więcej niż czczą formułką. Kongregacyoniści, jako sekta dyssydencka, jako nonkonformiści, nie mają gminy zorganizowanej przez ustawy państwa. Cała organizacya polega na dobrowolnem zobowiązaniu. Mimo to siła dośrodkowa, skupiająca rodziny koło kościoła, jest tak znaczna, iż jednostki ulegają jej chętnie i poddają się bez szemrania uciążliwym nawet obowiązkom.

Chciałbym ile możności unikać w tem opowiadaniu liczb. Niekiedy jednak nie mogę ich sobie i czytelnikowi oszczędzić. Ażeby dać pojęcie o tem, do jakiego stopnia kościół bywa w Anglii ogniskiem życia społecznego, zwrócę uwagę na wysokość dobrowolnych składek, darów i zapisów, płynących na cele kościoła anglikańskiego. Nadmieniam wyraźnie, że jest tu mowa wyłącznie o kościele rządowym w Anglii, z pominięciem wszystkich sekt, z pominięciem kościoła narodowego w Walii, kościoła prezbjteryjańskiego w Szkocyi, kościoła episkopalnego w Irlandyi.

Przez ćwierć wieku, od r. 1860 do 1884, dobrowolne te dary wyniosły razem 81 milionów funtów.

W sumie tej mieściło się 35 milionów funtów na budowę kościołów, 22 miliony na szkoły kościelne, 10 milionów na misye zagraniczne i t. d.

Ofiarność na te cele wzrasta stale. W r. 1899 kościół anglikański otrzymał tytułem dobrowolnych datków i zapisów 7,500.000 funtów, w roku następnym 7,700.992 funtów.

Siedmdziesiąt ośm milionów rubli w ciągu roku! A stale utrzymanie pastorów i świątyń nie wchodzi w tę sumę wcale.

Kościół anglikański nie osłabł wskutek tolerancji, jaką ostatnia epoka przyniosła Anglii w dazie. Czy i nadal zachowa swą potęgę? Pamiętajmy, że wyznania religijne nie żyją w Anglii w spokoju i zgodzie. Rywalizacya między niemi nie ustała. Najwyraźniejszym zaś jej znakiem jest niesłychany wzrost katolicyzmu, jest niesłychany zwrot ku katolicyzmowi w łonie samego anglikanizmu.

Katolicyzm ma na ziemi angielskiej historję krwawą. Dopiero pod koniec wieku XVIII mógł odetchnąć swobodniej. Katolicy uzyskali dopiero w r. 1793 prawo odprawiania nabożeństw w całym państwie, prawo nabywania nieruchomości we wszystkich gminach i prawo zakładania szkół; rok 1829 dał im prawo piastowania urzędów,

a w r. 1869 zniesiono nareszcie urzędowy charakter kościoła episkopalnego w Irlandyi, zniesiono ciążący na ludności katolickiej obowiązek utrzymywania duchownych obcego wyznania.

Z oswobodzeniem katolicyzmu przybyło mu wyznawców. Liczba katolików, która przed stu laty nie dochodziła ośmdziesięciu tysięcy, oceniona jest dziś nawet przez nieprzychylnych na półtora miliona z górą.

Równocześnie dały się między anglikanami dostrzec objawy pewnych skłonności ku katolicyzmowi. W początkach nadawano tym objawom nazwę prądu oxfordzkiego. Ów prąd oxfordzki (*the Oxford movement*) jest zjawiskiem, sięgającym dosyć odległej przeszłości. Narodził on się, zdaniem kardynała Newmana, w dniu 14 lipca 1833 r. W dniu tym pastor Keble miał w kościele uniwersyteckim w Oxfordzie pamiętne kazanie, w którym dowodził potrzeby zwrotu ku pojęciom kościelnym z przed reformacyi. Prąd szerzył się szybko, a młody Newman, wówczas kaznodzieja anglikański, stanął zrazu częściowo, następnie bez zastrzeżeń w obronie zwrotu ku przeszłości, w obronie zbliżenia do Rzymu.

Newman przyjął religię rzymsko-katolicką w roku 1845, a w r. 1879 otrzymał z rąk Leona XIII kapelusze kardynalski. Przejście Newmana na katolicyzm nazwał Gladstone największym nieszczęściem,

jakie spadło na kościół anglikański od wieku XVI. Stu kilkudziesięciu znakomitych członków kościoła państwowego, częścią duchownych, częścią świeckich, poszło w przeciągu roku za tym przykładem.

Następne dziesięciolecie przysparzało również nawróconych, a jednym z najznakomitszych między nimi był Manning. Punktem przełomowym dla tego kierunku była rozgłośna sprawa „święceń anglikańskich“.

Wiadomo, że Kościół rzymsko - katolicki zapatrjuje się w dwojaki sposób na święcenia kapłańskie, udzielane przez biskupów, należących do innych wyznań chrześcijańskich. — Są wyznania, w których od epoki oddzielenia się kościołów istnieje nieprzerwana „sukcesya“ władzy biskupiej, a duchowni tych wyznań, przechodząc na katolicyzm, stają się odrazu kapłanami rzymsko - katolickimi. Są atoli wyznania, w których ta sukcesya została przerwana, a duchowny, porzucający takie wyznanie i przyjmujący wiarę katolicką, zostaje kapłanem rzymsko - katolickim dopiero wtenczas, gdy otrzyma święcenie ponowne, gdy się podda reordynacyi.

Według nauki Kościoła rzymsko - katolickiego, sukcesya władzy biskupiej przerwała się w kościele anglikańskim w r. 1559, w dniu konsekracyi Parkera na arcybiskupa i prymasa Anglii, a zatem duchowni, wyświęceni bądź przez biskupów, któ-

rych on konsekrował, bądź przez ich następców, nie posiadają święceń, uznanych przez Rzym, a przeszedłszy na katolicyzm, muszą być reordynowani.

Gdy więc papież Leon XIII zwrócił się do narodu angielskiego, wzywając go w swej gorącej odezwie do połączenia się z Kościołem rzymskim, znalazła się w Anglii grupa ludzi, która ułożyła cały plan połączenia obu kościołów, żądając na wstępie, by kurya rzymska uznała ważność święceń anglikańskich. Gladstone popierał tę myśl gorliwie, a lord Halifax, prezes anglikańskiego stowarzyszenia „Church Union“, udał się do Rzymu, by tam sprawę zjednoczenia popierać.

Dalszy przebieg wypadków jest w świeżej pamięci. Kurya rzymska nie odstąpiła od tradycji, uświęconej wiekami. Rzym nie przyznał duchownym anglikańskim charakteru kapłańskiego. — Sprawa zjednoczenia kościołów nie weszła na tę drogę.

Nie przycichła jednak mimo tego. Zmieniły się tylko w latach ostatnich jej zewnętrzne objawy. Duchowni anglikańscy, szukający zbliżenia ze Stolicą Apostolską, starają się obecnie nie tyle o dalsze rozpowszechnianie dogmatów kościoła katolickiego, ile o ujednostajnienie liturgii. Przewodniczy im myśl, że unia mniejsze kiedyś napotka trudności, jeżeli lud angielski oswoi się poprzednio

z obrzędami katolickimi, jeżeli do nich przywyknie, jeżeli je pokocha.

Przedstawicielom tego kierunku nadano imię rytualistów.

Czy „rytualizm“ ma rzeczywiście znaczenie realne? Czy ma przyszłość przed sobą? Czy może oddać usługi Rzymowi, a osłabić anglikanizm?

Posłuchajmy, co mówi o tem kardynał Vaughan, arcybiskup westminsterski¹⁾, najwyższy dostojnik Kościoła rzymsko-katolickiego w Anglii.

W kazaniu wypowiedzianem dnia 18 czerwca 1899 r. w kościele Franciszkanów w Londynie, rzekł on, że „duchowni rytualistyczni są prawdziwymi rybakami dusz, którzy powracają Anglię prawdziwej wierze, a zjawisko to jest odpowiedzią na modły świętych angielskich w ciągu ostatnich trzech wieków“.

Słowa te zniewalają nas do zwrócenia uwagi

¹⁾ Papież Pius IX, wkrótce po wstąpieniu na Stolicę Apostolską, nadał biskupom angielskim tytuły, odpowiadające ich okręgom dycieczalnym. Kardynał Wiseman, biskup melipotamski, otrzymał wówczas tytuł arcybiskupa westminsterskiego. Tytuł ten nie ma realnego związku z opactwem westminsterkiem, które jest świątynią anglikańską. Przeciw nadaniu tych tytułów biskupom, starano się wywołać protest Izby gmin. Gabinet wniósł nawet do Izby odpowiedni projekt. Większość jej zajęła atoli stanowisko najzupełniej tolerancyjne. Po stronie katolików stanęła również królowa.

na rytualizm. Iluż jest tych rytualistów w kościele anglikańskim? Co zrobili? Do czego dążą?

Niesłychanie zacięta walka, jaką obrońcy protestantyzmu toczą z rytualistami, zapelnia kolumny pism i miesięczników, zasypuje Anglię deszczem broszur, objawia się na nieustannych wiecach, zebraniach, prelekcyach. Na starej ulicy księgarskiej w Londynie, na Pater Noster Row, istnieje osobny sklep, utrzymywany wyłącznie dla rozpowszechniania tej literatury polemicznej. Autorowie tych broszur dzwonią na alarm. Żaden krok rytualistów nie ujdzie ich uwagi. Każdy wywołuje natychmiast szereg gromów. A wszystko, co o tym przedmiocie powiedzieć można, wypowiedane jest z tem przejęciem się, które opanowuje Anglika, gdy idzie o sprawy religijne.

Rzecz jest niesłychanie realna. Rytualiści mówią wyraźnie, czego chcą. Co chwila odzywa się z ich koła głos jakiś, niosący postrach i przerażenie w szeregi prawdziwych anglikanów.

Świeżo ogłoszono listy zmarłego niedawno Dra Butlera, dziekana kapituły anglikańskiej w Lincoln. W czasach, gdy był jeszcze pastorem na prowincyi, pisał do swego wikarego: „Niedosyć staramy się o spełnienie naszego zadania, polegającego na zdeprotestantyzowaniu (*to deprotestantise*) narodu, który w rzeczywistości jest niewierzący, a czuje instynktowo, że protestantyzm odpowiada

temu usposobieniu i właśnie dlatego obrał tę religię*. Któż się nie domyśli, jaką burzę wywołuje każda taka publikacya?

Nie mniejszą burzę wywołuje wiadomość o każdej nowej korporacyi kościelnej, mającej za zadanie powołać a nieustanną pracę, w celu zacieraania różnic liturgicznych.

Liczba takich stowarzyszeń jest znaczna. Są między niemi korporacye tak potężne, iż mogą wyzywać do walki całą organizacyę kościoła anglikańskiego.

Najdawniejsza z tych korporacyj: „Towarzystwo Krzyża świętego“, powstało w r. 1855. Z biegiem lat powstało „Bractwo Przenajświętszego Sakramentu“, do którego ma należeć 1800 duchownych anglikańskich. Od r. 1873 istnieje „Związek wszystkich dusz“, mający na celu rozpowszechnianie nabożeństw za dusze zmarłych, na wzór kościoła katolickiego. Ze sprawozdań tego związku dowiadujemy się, że w r. 1895 liczba mszy za zmarłych anglikanów, które odprawiano z jego inicjatywy po kościołach anglikańskich, wynosiła po tysiąc miesięcznie. Żadne stowarzyszenie rytualistyczne nie napelnia jednak obrońców kościoła rządowego takim oburzeniem, jak „The Order of the Corporate Reunion“. Celem jego jest wyjednywanie swym członkom święceń kapłańskich od biskupów, posiadających święcenia, uznane przez Kościół ka-

tolicki. — Pismo rzymsko-katolickie *The Roman Catholic Standard and Ransomer* doniosło już w r. 1894, że ośmset duchownych anglikańskich posiadało wówczas takie święcenia kapłańskie.

Zapał, jaki ogarnia szerokie, bardzo szerokie koła inteligencji angielskiej, skoro na porządek dzienny wchodzi kwestya, czy to dogmatu, czy to rytuału, czy też organizacyi kościelnej, wprawia przybysza w zdumienie. Spotyka się ludzi, których zawód niezmiernie jest odległy od teologii, a którzy mimo to z niekłamaną przyjemnością zapuszczają się w wykład o subtelnościach liturgii i z wielką znajomością historii kościelnej wydają wyroki bądź na korzyść jednej, bądź drugiej strony.

Dowiadujemy się więc, że rytualiści, zamiast „stołów pańskich“, urządzają w kościołach „oltarze“ i to w jednym kościele po kilka. Dowiadujemy się, że „ministrów“ nazywają „kapłanami“. Dowiadujemy się, że zawieszają w kościołach obrazy, że zdobią swe oltarze rzeźbą i polichromią, że używają nie prostych krzyżów, ale krucyfiksów, że zapalają w kościele świece w biały dzień, że urządzają procesye, a w dni uroczyste zdobią kościół w kwiaty i flagi.

Jeżeli podróżny zdumiewa się, odkrywając na ziemi angielskiej tę wielką walkę duchów, której echa bardzo słabo odbijają się z tej strony cieśniny, to niekiedy zdaje mu się znowu, gdy we-

źmie do ręki jakąś namiętną broszurę polemiczną, że nagle ocknął się wśród sporów i rozpraw wieku XVI. Oto w tysiącach egzemplarzy rozchodzi się po Anglii broszurka, zwiastująca narodowi nowe niebezpieczeństwo. Dwóch pastorów w Yorkshire ustawiło Mękę Pańską. Jeden z nich usunął niebawem krucyfiks wobec agitacyi, którą rozpoczęto natychmiast. Ale drugi oparł się, nie ustąpił — i oto Męka Pańska stoi na cmentarzu anglikańskim w Hicklston. Obrońcy tradycyji protestanckich widzą w tem zamach na czystość liturgii anglikańskiej. — To też, czy kto chce, czy nie chce, jeżeli tylko bacznie rozgląda się po Anglii i nadśluchuje, o czem ludzie mówią, musi się o tem dowiedzieć. Dzieło pastora z Hicklston w fotografiach, drzeworytach, cynkotypiach rozchodzi się po wyspie, by podniecać oburzenie, budzić ospałych, zachęcać do nowych protestów, nowych dysput, nowych dociekań teologicznych.

Jak szerokie kręgi zatoczył rytualizm? Przeciwnicy rytualistów krzątają się pilnie, by o każdym nowym objawie tego prądu zawiadamić czempredziej naród cały. Już w r. 1885 obliczono, że na 953 kościołów anglikańskich, które posiada Londyn, w 268 zdobiono ołtarze kwiatami, w 95 zapalano świece w biały dzień, w 706 używano komży przy kazaniach, w 14 palono kadzidła. Nie jest to jeszcze cały poczet grzechów. Rytualiści

dzwonią podczas konsekracji, myją kielich podczas nabożeństwa, dolewają wody do wina. Są to zmiany czysto liturgiczne. Daleko donioślejszy jest fakt, iż w wielu kościołach anglikańskich w ciągu lat ostatnich zaczęto przystępować do spowiedzi według form przyjętych w Kościele rzymsko-katolickim.

Spowiedź uszna jest dziś najwyraźniejszym symbolem rytualizmu i najdzielniejszym środkiem zjednywania mu zwolenników między ludnością.

Niejeden duchowny anglikański stacza wśród tych rozterek ciężkie walki ze sobą. Jedni z nich wolą nie rozstawać się z ludem, powierzonym swej pieczy i sądzą, że w ten sposób większe mogą oddać usługi wielkiej idei zjednoczenia kościołów. Inni natomiast upatrują w takim postępowaniu rodzaj kompromisu, na który im sumienie pozwala, i przechodzą jawnie na wiarę katolicką. Z tych walk wewnętrznych spowiada się w liście do swych byłych parafian Charles Thynne, jeden z pastorów anglikańskich, którzy przyjęli katolicyzm. Kapłan ten, członek wpływowej rodziny w Bedfordshire, powiada w tym liście, że przekonanie zniewalało go już oddawna do przystępowania do spowiedzi usznej, a okoliczności zewnętrzne nakazywały mu zachowywać to w tajemnicy. Długo znosić tego nie mógł. Dopiero

zmiana religii wyzwoliła go z położenia, które było męczarnią.

Postępy katolicyzmu w Anglii, objawiające się bądź przyrostem owczarni, bądź przenikaniem ducha katolickiego w głąb anglikanizmu, stanowią jeden z największych przewrotów w życiu religijnym czasów najnowszych. Ruch staro-katolicki w Niemczech, którym się niegdyś cała Europa tak pilnie zajmowała, nie może nawet iść w porównanie z siłą, rozciągłością i skutkami ruchu rzymsko-katolickiego w Anglii. Jeżeli ta „duchów wojna“ toczy się bez wrzawy bojowej, jeżeli odgłosy walki zrzadka tylko dochodzą aż na kontynent, to jedną z przyczyn tego objawu jest niewątpliwie ogromna wyrozumiałość i tolerancja, z jaką katolicy angielscy odzywają się o rodakach, należących do kościoła anglikańskiego.

Przytoczyłem już jedno zdanie kardynała Vaughan. Innym razem, dnia 28 września 1896 r., powiedział ten książę Kościoła rzymsko-katolickiego na rocznem zebraniu stowarzyszenia „Catholic Truth Society“, co następuje:

„Nie jest to winą naszych ziomeków, iż znajdują się poza obrębem Kościoła. Są tam, gdzie są, gdyż zostali wydziedziczeni. Wychowano ich w atmosferze tradycyjnych uprzedzeń do Kościoła rzymskiego. Każdego katolika wszakże, który poznał bliżej wiernych płci obojej, należących do

rzędu zwykłych członków obcego wyznania, a nadto poznał wielu z ich duchownych, zastanowić muszą dowody ich żarliwości, dowody ich dobrej wiary, ich przejęcia się, ofiarności, pobożności, oddania się Panu. Miłe muszą być Bogu modlitwy i prace nasze w sprawie tych dusz, które same tylełożą starań, które same się wysilają nieustannie na tyle wzniosłych zasług męskich i niewieścich i zawstydzają nas często przykładem gorliwości i zapalu“.

Tak mówi kardynał, członek kolegium świętego o innowiercach.

Nikt nie zgadnie, jaką kolejną pójdą te sprawy w wieku XX.

Jedno tylko nie ulega wątpliwości. Nie ulega wątpliwości, że ta Anglia, która myśli i za siebie i za masy ludu, nie chce wciągania państwa w wir walk religijnych. Wojujmy ze sobą na terenie kościelnym, ale niech państwo się do tego nie miesza, bo włączając się, stanęłoby mimowoli bądź po jednej, bądź po drugiej stronie, a tem samem wyrzekłoby się tej tolerancji, która jest chwałą Anglii dzisiejszej! Zdanie to słyszy się często i często się czyta. Ale zdanie to, w razie zaostrożenia się walki, prowadzi do następstw sięgających daleko. Wszak idzie tu o kościół anglikański, o kościół państwowy, o kościół, wyposażony wielkimi przywilejami i złączony ściśle z orga-

nizmem państwowym. Zupelna neutralność, na wypadek rozdwojenia w kościele, musiałaby prowadzić do przzerwania węzła, łączącego anglikanizm z urzędowym ustrojem państwa. Na ostatecznym krańcu tej ewolucyi ukazuje się *disestablishment*.

Są ludzie, i to ludzie bardzo poważni, którzy utrzymują, że do tego szybkim krokiem idzie. — Zniesienie kościoła rządowego, a raczej odebranie kościołowi anglikańskiemu charakteru „państwowości“, byłoby ogromnym przewrotem w kraju i przewrót ten pociągnąłby za sobą wiele reform mniejszych; państwo musiałoby rozstrzygnąć kwestyę, jak się ma zachować wobec mnóstwa instytucyj, związanych z kościołem anglikańskim. Wszystko to atoli nie przeraża światłego Anglika tak, jak myśl, że państwo w razie zupelnego rozdwojenia w kościele anglikańskim, musiałoby jednych bronić, drugich potępiać, jednych zostawić na posadach, drugich usuwać, jednych uznać za wyznawców prawdziwej wiary, drugich za odstępców.

Lepiej wyrzec się wszelkiej interwencji. Lepiej nie mieszać się wcale. Lepiej zrobić to, co zrobiono w Irlandyi: uznać, że kościół i religia znajdują się poza sferą państwa i rządu. Anglia truchleje dziś jeszcze na wspomnienie lat, w których państwo szerzyło jedną religię, a tępiło inne. Anglia woli zmniejszyć, albo nawet znieść całkowicie

wpływ państwa w rzeczach wiary, niż dać temu państwu możność ponownego wejścia na drogę prześladowań.

Widzieliśmy, jak Anglicy chodzą do kościoła, jak się modlą, jak słuchają kazań.

Czy cała Anglia jest taka?

Możnaż się nawet pytać? Nie zapominajmy, że to jest kraj, w którym żyli Bacon, Hobbes, Hume, James i John Stuart-Mill; nie zapominajmy, że dźwiękami mowy angielskiej przemawiają do nas bohaterowie Byrona i Shelley'a. Zwątpienie nie jest nieznaną duszy narodu, którego wyobraźnia stworzyła takie postaci, jak Kain, Manfred i Prometeusz Rozkuty. Żaden poeta lądu stałego nie wzywał tak hardo gromu z nieba. Żaden nie rzucił tak śmiało ku błękitom pytania, dlaczego Miłość wszechpotężna przeznacza stworzeniom swoim ból w udziale? Ci dwaj nauczyli wieszczów ziem innych wyrażać słowami skargę duszy dociekającej, czy nad tą Miłością najdoskonalszą niema potęgi wyższej, zimnej, nielitościwej, która w wir świata spogląda, „jak w zawile zrównanie rachunku“.

Nie brak w Anglii umysłów idących na przebój. Posiadała je zawsze, posiada je i dzisiaj. Kto jednak powróciwszy z tej wyspy, chce sobie sumiennie zdać sprawę z wrażeń doznanych, musi przyznać, że o życie religijne ocierał się tam co

krok, że religijne przekonania i obrzędy, ćwiczenia i dysputy, religijne obowiązki i antagonizmy odbijają się nieustannie na życiu rodzin, z którymi się spotykał, na ich stosunkach towarzyskich; na ich stanowisku wobec społeczeństwa, na ich zwyczajach, rozmowach i zabawach.

Skąd to pochodzi?

Przyczyn jest oczywiście wiele. Kościół rządowy, opanowawszy po reformacyi pole bitwy, położył swą żelazną prawicę na sumieniach narodu. Szala ważyła się przez długie wieki między uciskiem religijnym a wolnością sumienia. Epoka wielkiej rewolucyi angielskiej obfituje w uchwały parlamentu, tchnące żądzą prześladowania. W roku 1661 wypędzono z miast całą ludność innowierczą, nie przystępującą do komunii według rytuału anglikańskiego; w trzy lata potem wydano ustawę, zabraniającą innowiercom, pod ciężkimi karami wszelkich nabożeństw, w których bierze udział więcej niż pięć osób, nienależących do tej samej rodziny; rok następny zaznaczył się ustawą, zabraniającą duchownym nieanglikańskim uczyć w szkołach lub zbliżać się do miast na odległość pięciu mil angielskich pod karą dożywotniego więzienia.

Kary i obostrzenia mnożyły się. Odcięto niebawem innowiercom dostęp do urzędów i parlamentu. W wieku XVIII ogłoszono artykuł prawa, nakładający karę na dyssydentów, którzy, powróciwszy

na łono kościoła anglikańskiego przed objęciem jakiegoś urzędu, popadają potem ponownie w błędy dyssydenckie; zakaz obejmowania posad nauczycielskich rozszerzono na wszystkie dyssydenckie sekty. Stan ten zmieniał się powoli, ale skutki takich ustaw nie zniknęły odrazu. Wszak dopiero w latach 1845 i 1846 zniesiono ogłoszone za rządów Elżbiety artykuły prawa karnego, mocą których nieuczęszczanie do kościoła w niedzielę i nieuznawanie nadziemskich początków wiary chrześcijańskiej, poczytywane było za zbrodnię. Dopiero na krótko przedtem, bo w r. 1836, nadano metrykom i aktom ślubnym, wystawionym przez duchownych nieanglikańskich, znaczenie dokumentu prawnego. Społeczeństwo trzymane przez kościół anglikański w takich klubach, ukształtowało się ostatecznie na modłę pojęć kościelnych, a że według wiekuistego prawa społecznego każda akcja wywołuje reakcyę, przeto inne wyznania, broniąc się od ucisku, zaprowadziły u siebie rygor jeszcze większy.

Ale ta jedna przyczyna nie wytłómaczyłaby tak skomplikowanego zjawiska.

Jest to jedną z właściwości umysłu angielskiego, iż ma on niezmiernie mało pociągu do spekulacyj filozoficznych. Brzmi to dziwnie, a jednak tak jest w istocie. Naród ten miał wielkich filozofów, ale ogół narodu nie ulegał nigdy czarowi

filozofii. Poza światem realnym istnieje dla Anglika tylko teologia. Wykształcony młodzieniec weźmie z rozkoszą udział w przedstawieniu Edypa w oryginalnym tekście greckim, będzie z zapalem robił doświadczenia z telegrafem bez drutu, wolny zaś czas spędzi na koniu lub na łodzi. — Gdy go atoli trapią jakieś wątpliwości, których ludzkość nigdy pozbyć się nie zdoła, siada do biurka i pisze traktat na temat, wzięty z listu św. Pawła. Na filozofię niema miejsca. „W Anglii — powiada Fr. Jodl — chcianoby koniecznie dowieść, że między światem, który się da mierzyć i ważyć, a światem 39-ciu artykułów wiary, nic już więcej niema“.

Rozwój społeczeństwa angielskiego pojmujemy lepiej, gdy go porównujemy z rozwojem, przez jaki przechodziły społeczeństwa nowożytne na lądzie stałym. Rewolucya francuska wydała wojnę nie tylko królom i arystokracji, ale także kościołowi i wierze. Prądy demokratyczne łączyły się na kontynencie z prądami antyreligijnymi. Zupelnie inaczej było w Anglii. Warstwy średnie, warstwy mieszczańskie nie potrzebowały tam buntować się przeciw istniejącemu porządkowi. Były one silną podporą tronu i państwa, ale w równej mierze były także silną podporą kościoła.

Mieszczaństwo angielskie nie zaznało wstrząsających przejść, które miały stanem średnim w innych krajach w wieku XIX. Nie biło się na bary-

kadach, nie jęczało pod uciskiem reakcyi. — Urok romantyzmu politycznego, którym upajały się inne ludy, musnął ziemię angielską zlekka zaledwie. Anglik nie zdobywał Bastylli, jak Francuz, nie widział na swej rodzinnej ziemi zwycięskiego Korsykanina, jak Niemiec lub Hiszpan, nie zrywał się do boju z żoldactwem austriackiem, jak Węgier lub Włoch. Nie marzył on o uzyskaniu konstytucyi, o zniesieniu poddaństwa, o zapewnieniu jednostce swobód, bo skarby te posiadał oddawna i roztkliwiać się nad nimi nie potrzebował. Myśl jego krążyła w innych sferach, pieściła inne ideały.

Bez porównania więcej niż gdzieindziej, zaprzętała się ona sprawami etycznymi. Filozofia przybierała na ziemi angielskiej postać odmienną, stawała się nauką praktyczną. Etyka rozwijała się kosztem innych działów wiedzy. W tej zaś dziedzinie spotykamy się znowu z rysem charakterystycznym. O tem, czy czyn ma uchodzić za dobry, czy za zły, rozstrzyga w pojęciu Anglików jego użyteczność społeczna. Probierzem, którym mierzą cnotę, nie jest jakieś pojęcie abstrakcyjne, nie jest wola sama w sobie, nie jest idea dobrego i złego, niezależna od realnych warunków bytu.

Probierzem czynu są w pojęciu Anglików jego skutki. Nie kategoryczny imperatyw narzuca jednostce prawa. Narzucają je potrzeby ogółu. Utylitaryzm stał się podstawą etyki angielskiej. Ten po-

stępek uchodzi tam za najcnotliwszy, któremu największa liczba jednostek zawdzięcza największą pomysłność. *The greatest happiness* jest osią poglądów angielskich na zadanie człowieka i na cele życia społecznego.

Ludzie, zajęci temi myślami, a żyjący z kościołem w zgodzie, nie szukali nowego punktu oparcia. Oparli się o kościół. Dobroczynność, rozgależona, przedsiębiorcza, pomysłowa, niestrudzona, stała się jednym z objawów życia religijnego, a zarazem silną jego podporą.

Szeregiem pokoleń wrastało społeczeństwo w ten kierunek dążeń, pragnień, ideałów. Kiedy gdzieś śpiewano „Marsylianę“, stawiano barykady lub zdzierano orły austriackie, Anglia modliła się i budowała szpitale. Kiedy gdzieś rozstrzelano jednych, a drugich więziono po Kufsteinach, Spielbergach, w kopalniach, Anglia myślała o chorych i kalekach. Poezya barykad, spisków, wygnań jest dla Anglika zjawiskiem bardzo zajmującym, ale zjawiskiem cudzoziemskim, obcym. Chcąc ją zrozumieć do głębi, musi wsiąść na okręt i popłynąć na ląd stały lub do Irlandyi. W kraju jej nie odczuwa.

Młoda Angielka wieku XIX — to nie towarzyska wygnańców, to nie pocieszycielka zwyciężonych, to ani Roza, ani Lilla Weneda. To typ inny. Gdy w młodą pierś zaczerpnęła powietrza

rozkołysanego wiatrami od morza, gdy na rasowym koniu w otoczeniu czerwonych fraków nasycała się szaloną pogonią za lisem, przypasuje białą zapaskę i idzie do szpitala obmywać rany, rozdać lekarstwa i asystować przy operacjach.

* * *

Wracamy gromadnie z wycieczki. Towarzyszka moja, obciążona ogromnym pękiem ziół, zaczyna mię rozpytywać o ląd stały. Nie była dotychczas po drugiej stronie cieśniny, a chciałaby jechać daleko. Dziewczynie roją się plany studyów uniwersyteckich. Marzy o Genewie, o wykładach, laboratoriach, bibliotekach.

— Niechże mi Pan powie, czy wielka jest różnica między lądem stałym a Anglią?

— Ogromna!

— W czymże ją Pan widzi?

— We wszystkim. Ot, dziś zwiedzałem właśnie tutejszą czytelnię publiczną. Jest to już trzecia czy czwarta z kolei. Wszystkie są pod kierownictwem ludzi bardzo religijnych, a jednak w każdej między książkami, leżącymi na półkach do użytku wszystkich, znajdują się na miejscu widocznym dzieła Darwina!

— Cóż w tem dziwnego?

— Znam wiele krajów na lądzie stałym, w któ-

rym ludzie, zaliczający się do obozu religijnego, pousuwaliby te książki.

— Dlaczego? Dlaczego Darwina nie mają czytywać wszyscy?

Zacząłem jej tłómaczyć. Jestem pewien, że mi się nie powiodło.

Na inne pytanie musiałem odpowiadać raz młodemu profesorowi matematyki, socjaliście z przekonań. Był to oczywiście socjalista angielski, nie miotający się, nie szastający obelgami, nie bryzgający żółcią. Chciał się dowiedzieć, co to są antysemita. Rozmawialiśmy długo. Mówiliśmy po kolei o antysemityzmie we Francyi, w Niemczech, w Austrii, w Polsce. Wyszedłem z jego domu późnym wieczorem, wynosząc wrażenie, że w Anglii, w sto niespełna lat po ustaniu prześladowań religijnych, ludziom tym równie trudno zrozumieć nienawiść do żydów, jak oburzenie na Darwina.

Tolerancya dla wyznań innych jest dziś w Anglii niezawodnie ogromna, ale ta tolerancya, jak wszystko w tym kraju, ma swe właściwe tradycyjne znamiona, ma pewien odrębny charakter, ściśle związany z przeszłością kraju, ze zwyczajami narodu, z organizacją domu i rodziny.

W obrębie swej zagrody, w szkole, której jest kierownikiem, w parafii, której jest pastorem — Anglik bynajmniej nie bawi się w tolerancję. Ma on bardzo dokładnie określone przekonania i żąda,

aby się do nich stosowano. Natomiast pojmuje doskonale, że ktoś, komu te przekonania ciężą, zakłada sobie tuż obok inną szkołę, inną parafię, inną rodzinę, i zaszczenia tam przekonania inne. Żaden nie wyobraża sobie takiego stanu społecznego, w którymby wolnemu obywatelowi Anglii nie wolno było założyć tej innej szkoły, innej parafii, innej zagrody. W starych, konserwatywnych kolegiach szkolnych każdy nauczyciel, każdy bez wyjątku, musi uczęszczać do kaplicy. W niektórych kolegiach odbywa się to dwa razy w każdy dzień powszedni, a trzy razy w niedzielę. Co więcej, w kaplicy jest osobne miejsce dla dam, a nauczyciel, którego żona, matka i siostry nie przychodziłyby pilnie na nabożeństwo i nieszpory, przekonałby się wkrótce, że stanowisko jego w zakładzie staje się niezmiernie przykre.

Młody Anglik, starający się o posadę nauczyciela w którejś ze starych szkół angielskich, wie, że go przelozony przedewszystkiem zapyta, czy jest confirmowany według rytuału anglikańskiego i czy przystępuje do komunii.

Ale też za to Anglikowi, którego na nauczyciela przyjąć nie chciano, wolno założyć tuż obok starej szkoły, nowe kolegium o charakterze bezwyznaniowym.

Gdy w niedzielę po południu wejdziemy do Hyde Parku, widzimy o paręset kroków od wej-

ścia zaperzonego Anglika w wytartym tużurku i czerwonym krawacie, który stojąc na krześle, prawi ludowi kazanie. Anglik unosi się, gestykuje, podskakuje, przysiada. Zachrypl już prawie, a wydobywa jeszcze ostatki głosu, by go słyszano jak najdalej. Z lubością opisuje wieczyste męki piekielne i grozi niemi każdemu, kto nie podziela jego zapatrywań na transsubstancjację, predestynację lub absolucję. Jest to objaw nietolerancji.

Ale nasz Anglik nie ma nic przeciw temu, że drugi taki sam Anglik, w takim samym tużurku i krawacie, postawi sobie równocześnie w tym samym Hyde-Parku takie same krzeselko o pięćset fuków dalej i stojąc na niem, będzie takimi samymi karami piekielnymi groził wszystkiemu, którzy w nauce o transsubstancjacji, predestynacji i absolucji idą za zdaniem pierwszego Anglika. Żadnemu z nich nie przejdzie przez myśl, że w państwie idealnym jakaś władza policyjna czy duchowna, powinnaby niebezpiecznego współzawodnika wyprowadzić z ogrodu. Każdy wie, że tak bywało już od lat kilkudziesięciu, każdy wyobraża sobie, że tak będzie zawsze. To jest tolerancja angielska.

Wolność słowa w sprawach religijnych jest zdobyczą stosunkowo późną. W sprawach świeckich chlubi się nią Anglik oddawna.

Od r. 1693 dziennikarstwo angielskie cieszy się

prawie najzupełniejszą swobodą, od r. 1792 podlega sądom przysięgłych. Nic dziwnego, że wolność słowa stała się z czasem dla Anglika artykułem wiary.

Dochodzi to niekiedy do dziwactwa. Przecho-
dząc ulicą, kupuję sobie *Pall Mall Gazette*. Było to we wrześniu. Artykuł wstępny roztrząsa kwestyę chińską. Autor zastanawia się nad pytaniem, co lepsze dla Anglii: okupacja, podział, czy też gwarancya ze strony Chin, że morderstwa już się nie powtórzą. Zdaniem autora, najlepszem będzie to ostatnie. Wylicza zatem gwarancye, których Anglia ma od Chin żądać, a jako punkt ważny, wymienia między niemi zupełną wolność prasy chińskiej. Anglik, który to pisał, jest przekonany, że obdarzenie dziennikarzy chińskich najzupełniejszą swobodą, zapobiegnie spiskom i napadom bokserów!

Podobnie jak autor artykułu, i ja też nigdy w Chinach nie byłem. O skuteczności zalecanego środka powątpiewam silnie. Nie mogłem atoli powstrzymać się od przytoczenia poglądów, które odsłaniają przed nami głębię duszy angielskiej.

Wolno mówić wszystko, o ile ten, który mówi, nie dopuszcza się przez to zwykłej kryminalnej zbrodni. Na straży tej wolności stoi przedewszystkiem wszechpotężna opinia publiczna, gotowa całą wyspę napelnić ogromnym wrzaskiem, gdyby wol-

nemu słowu groziło niebezpieczeństwo. A jednak, i to jest właśnie najbardziej godne podziwienia, ta opinia publiczna wie, że są chwile, w których trzeba od reguły odstąpić.

Wolno wszystko, a jednak nie wszystko. Oto przykład.

Gdy opuściłem Anglię, głośny misjonarz amerykański bawił właśnie w Londynie. Na konferencyach, które co dzień gromadziły słuchaczy, występował nieraz z krytyką urządzeń Kościoła katolickiego. Niewiele zwracano na to uwagi.

Głosy protestu odezwały się dopiero, gdy mówca pozwolił sobie na rubaszny koncept. Razu pewnego powiedział z kazalnicy, że księża katolicycy powinni pożenić się z zakonnicami. Wszystkie poczytniejsze pisma londyńskie oświadczyły mu na zajutrz stanowczo, że Anglia takiego tonu nie ścierpi. To poskutkowało.

Są więc granice swobody, ale w obrębie tych granic pole jest rozległe.

Posłuchajmy głosu socjalistów angielskich, a przekonamy się o tem.

Istnieje tam towarzystwo pod nazwą „The Fabian Society”, towarzystwo, z którego członkami zetknąłem się bliżej.

Któż to są ci „Fabianie” ?

Ci Fabianie, którzy imię zapożyczyli od rzymskiego cunctatora, dążą spokojnie i powoli do zu-

pełnego zniesienia produkcji prywatnej i do zastąpienia jej przez produkcję państwową i gminną. Środkami, których używają, są broszury i odczyty.

Fabianie nie kryją światła pod korzec. „Traktatami“ swymi zasypują świat, a czego chcą, stoi tam wyraźnie. Traktat 70-ty zawiera program polityczny. „Socyalizm“ — czytamy tam — „pojmovany tak, jak go „Fabian Society“ pojmuje, oznacza zorganizowanie i objęcie w zarząd wszelkiej niezbędnej wytwórczości w kraju, oraz przywłaszczenie sobie przez cały naród wszelkich dochodów z ziemi i kapitału za pośrednictwem władz parafialnych, miejskich, prowincjonalnych i państwowych“.

Sądzę, że wyraźniej nie można. Taki jest cel. Jakże się atoli Fabianie zapatrują na dzisiejsze państwo angielskie, które przecież nie jest państwem socyalistycznym?

Bezpośrednio po zdaniu powyższem idą słowa następujące:

„Socyalizm, którego „Fabian Society“ broni, jest wyłącznie socyalizmem państwowym. Zagraniczni nasi przyjaciele, chcąc zrozumieć to oświadczenie nasze, muszą uwzględnić fakt, że odkąd Anglia posiada zdemokratyzowaną machinę państwową, obejmującą wszystkie stopnie od zakrystyi do parlamentu, a opartą o system wyborczy, który war-

stwom pracującym daje przewagę nad innemi, oddając przeciwieństwo, jakie na lądzie stałym istnieje między państwem a ludem, nie ma nic ponętnego dla socyalistów angielskich. Różnica, jaka między socyalizmem państwowym, a demokracją socyalną istnieje w Niemczech, gdzie robotnicy nie zasiadają w radach gminnych i innych władzach lokalnych, nieznana jest w Anglii. Trudność, jaką widzimy przed sobą, wynika nie z chęci zdobycia dla ludu angielskiego większej władzy politycznej, ale z chęci nakłonienia go, by władzy, którą ma, w inny sposób użył“.

Fabianie nie pragną dla ludu ani większych praw, ani większych swobód. Każdy Anglik przekonany jest dzisiaj, że za to co mówi, nic złego mu się nie stanie. Policya mogłaby się zapomnieć i poturbować mówcę, ale ponad policyą jest sąd, a ten stanie w obronie wolności słowa. A jeżeli policya, nie pytając, co sąd kiedyś orzecze, będzie arestowała jednego mówcę po drugim?

I na to jest sposób.

B. Shaw, który się zna na tych sprawach, zapewnia, że kto znajdzie dwunastu obywateli, gotowych dać się zamknąć w odstępach tygodniowych do kozy, ten wojnę z policyą wygra. Po upływie dwóch miesięcy zapanuje w kraju takie oburzenie, iż każdy gabinet zmięknie.

VI.

Nocleg u krawca. — Proletaryat i mieszczaństwo. — Wulkan na wyspie — Workhouse. — Wrodzona dzikość i wpływ otoczenia.

Wypadło mi zatrzymać się na krańcach Derbyshire, w miasteczku Rocester, mniejszem niż Piaseczno. W gospodzie pod „Złotym Lwem“ ani mówić z człowiekiem nie chcą. Dziś dzień wyborów, wszystko przepelnione, o noclegu mowy niema.

Przeklinam w duszy wybory, ale nie ustępuję z placu. Nagle kucharka, widząc, że mnie odmowa gospodyni nie zraża, wpada na pomysł genialny:

— Może ten gentleman zechce mieszkać u krawca?

— Niczego więcej nie pragnę. Chodźmy do krawca.

Krawiec w miasteczku, oddalonem od wszystkich ognisk życia, w miasteczku, nie posiadającym

ani fabryk, ani kopalń, ani starożytnej katedry, ściągającej turystów! Jakże u takiego krawczyny wygląda?

Zwyczajem angielskim rodzina zajmuje cały dom. Na dole sklep, warsztat i kuchnia ze staroświeckim kominem: na półpiąterku salonik, z którego po schodach zejść można do ogrodu; na piętrze sypialnie. Mnie odstąpiono komnatę małżeńską z łóżkiem angielskim, rozłożystym, głębokim, z umywalnią marmurową, z szafą zwierciadlaną, z gotowalnią w firankach. Pościel cienka, świeża, wonna. Nigdzie pyłka, nigdzie śladu zużycia, zbrukania, starzyzny.

Zapominając, w jakim jestem kraju, wydobywam z kuferka kalamarz, papier, pióro i zasiadam do pisania. Gospodyni, wchodząc, stanęła na ten widok, jakby rażona piorunem. Gdybym na lądzie stałym przybił w pokoju sypialnym ćwiartkę papieru do ściany i zaczął strzelać do celu, osłupienie pani domu nie mogłoby być większe. Według pojęć angielskich, jest rzeczą nieprzyzwoitą zasiadać do pracy w pokoju, w którym stoi łóżko. Kto się w tym kraju szanuje, musi mieć dwa pokoje. Tu rozumiało się samo przez się, że pani krawcowa, odnajmując mi sypialnię, odnajęła mi równocześnie salonik do zajęć dziennych.

Schodzimy więc do saloniku. Na ścianach nie oleodruki, ale prawdziwe akwarele. Gospodyni

otwiera drzwi do ogrodu i pokazuje mi małą oranżeryjkę.

Właśnie kończyłem pisać listy, kiedy mi podano herbatę i gazetę. Skłamałbym, gdybym nie przyznał, że porcelana była bardzo gustowna.

Gospodyni, rozstawiwszy przybory na stole, nie wychodzi z pokoju. Zaczyna się rozmowa:

— *Nice morning.*

— *Very nice, indeed.*

Po tym uroczystym wstępie, którego ominąć niepodobna, przechodzimy na pole polityczne.

Komuż pani życzy zwycięstwa w dniu dzisiejszym?

— Ob, myśmy wszyscy konserwatyści. Byłoby wielkim nieszczęściem dla kraju, gdyby liberalni uzyskali większość w parlamencie. Ale Panu może przykro, że ja tak mówię?

— Cóż znowu! Przecież jestem cudzoziemiec i chciałbym się dopiero dowiedzieć, po czyjej stronie słuszność. Dlaczegoż Pani powiada, że zwycięstwo liberalnych byłoby nieszczęściem dla kraju?

— Bo gdybyśmy mieli gabinet liberalny, ustałby zaraz wszelki handel.

— A to jakim sposobem?

— Ja Panu tego nie wytłómaczę, ale musi to być prawda, skoro wszyscy tak mówią.

Czyż można sobie wyobrazić atmosferę bardziej konserwatywną? Nie dlatego, że pan majster

głosuje tym razem na kandydata, popieranego przez rząd, a pani majstrowa truchleje na samo wspomnienie liberalizmu — ale dlatego, że ta rodzina, posiadająca salon z akwarelami, porcelanową zastawę do herbaty i ogród z oranżeryą, hołdująca zwyczajom i obyczajom, przyjętym przez zamożny świat angielski, zadowolona z tego, co jest, a obawiająca się zmian — zrosła się wszystkimi włóknami swego jestestwa z tem, co stanowi jądro i siłę starej Anglii. A pamiętajmy, że takich rodzin, stojących na straży stanu obecnego, nie pragnących reform i przewrotów, są w Anglii miliony. Czyż to dowodzi, że niema tam, jak gdzieindziej, proletaryatu głodnego, zawistnego, niecierpliwego? Bynajmniej. Proletaryat ten jest i nie zniknie w oczach kilku najbliższych pokoleń. Ale ponad tym falującym tłumem rozciąga się warstwa osiadła, syta, zdrowa i napojona pojęciami zachowawczemi.

Drobne mieszczaństwo, drobni dzierżawcy, wykształceńsi robotnicy tworzą razem podstawę, na której się wznosi gmach społeczny. Każda z tych rodzin — to kamień ciosowy, a z tych kamieni zbudowano sklepienie szczelne, twarde, wiecznotrwale. Pod sklepieniem w bezdennych czeluściach lawa wre i kipi. Od czasu do czasu słyhać huk z podziemia. To wybuch lawy. Gdyby sklepienie było słabsze, gdyby eksplozja przebiła granity,

świat miałby na tej wyspie widowisko wspaniałego wulkanu. Dotychczas wszystkie przepowiednie zawodziły. Sklepienie nie drgnęło. Każdy słup lawy, strzelając w górę, odbił się od ciosu.

Czy kiedyś nie pęknie?

Wszystko przemawia za tem, że sił starczy mu na długo. Bo też granit angielski, z którego to sklepienie powstało, ma własności, nie napotykanę w innych formacjach geologicznych. Wierzchnie warstwy lawy, stykając się z granitem, twarzoneją, zrastają się z nim, stają się samą częścią sklepienia, dodają mu siły i wytrzymałości.

Temperatura lawy może się podnieść, mogą napłynąć podziemnym strumieniem nowe jej fale; dopóki jednak sklepienie ciągle i ciągle grubieje, wzmacnia się, narasta, dopóty niewiele jest nadziei, żeby wybuch wulkanu przestraszył jednych, ucieszył drugich, zadziwił wszystkich. Lawa zamienia się w kamień, ale dzieje się to powoli.

Trudno wyobrazić sobie większą różnicę, jak ta, którą widzimy między najniższą warstwą społeczną Anglii, a tem, co trzeba nazwać proletaryatem. Tak wielkiego przedziału nie spotykamy gdzieindziej. To dwa odrębne narody, dwa odrębne światy.

Kontrast, jaki widzimy, nie da się porównać z niczem. Proletaryat jest wszędzie, ale w Anglii

wygląda on tak, jak gdyby wyrósł z innego szczepu i na innej ziemi.

Anglik, przyjechawszy do Drezna, oburza się na widok praczki, która, zaprząglszy się razem z psem do wózka, ciągnie własną piersią ogromny stos bielizny do wioski na pobliskich wzgórzach. Anglik ma słuszość. Ta Niemka pracuje ciężko, pracuje, jak kobieta w społeczeństwie idealnem nie powinna pracować. Ale ta praczka jest mimo to żywą częścią swego narodu. Ta Niemka jest tak samo Niemką, jak ta, która jeździ powozem i chodzi w brylantach. Ta praczka skończyła szkołę ośmioklasową, w której czytała Wilhelma Tella i słyszała o najważniejszych wypadkach historycznych, o bitwach i traktatach, o odkryciach i wynalazkach. Mówiono jej, co się działo pod Jeną i pod Lipskiem, a co pod Sedanem. Jest Niemką z temperamentu i z przekonań, z upodobań i z przesądów; jest Niemką, gdy się cieszy i gdy się smuci, gdy pracuje i gdy się bawi.

W wielkich miastach angielskich spotykamy tysiące i tysiące jednostek, wyglądających tak, jak gdyby je jakaś siła niewidzialna przyniosła z krajów o odmiennej cywilizacji i rzuciła na ziemię angielską, jako przykład odstraszający. Inny obyczaj, inne skłonności, inne nawyknięcia.

Anglik jest schludny, schludny do najwyższego stopnia, schludny we wszystkich drobiazgach. Gdy

go nie stać na wykwintne mieszkanie i wykwintną odzież, stać go jeszcze zawsze na czystą podłogę, na czyste ubranie i na czystość ciała. Proletaryat angielski jest natomiast niechlujny i niedbały. Jest to owa niechlujność rażąca i natrętna, wyzywająco rzucająca się w oczy, jak gdyby chciała mówić bogatym: „Odebrać wam waszych milionów nie mogę, ale widokiem brudu i wonią łachmanów zatruję wam wasze przejażdżki po parkach“.

Anglik jest skromny. Jest skromny w mowie, w gestach, w conceptach. Łatwo się domyśleć, iż skromność ta bywa często pozorna, iż pod jej osłoną kryją się nieraz wyuzdane żądze i zakorzenione nałogi, ale całe społeczeństwo, o ile przejęło się wspólnym obyczajem narodowym, przedstawia się nazewnątrz jednakowo: dba o przyzwoitość i ukrywa wszystko, co przeciw niej wykracza. Zasady te nie obowiązują proletaryatu. Proletaryat jest cyniczny. Namiętności nie kryje tu maska. W mieście, w którym mężczyzna dobrze wychowany nie obejrzy się na kobietę, przechodząc ulicą, w mieście, w którym mężczyzna, chcąc obcej kobiecie ustąpić miejsca, lęka się, żeby to nie było wzięte za zuchwałą chęć zbliżenia się — w tem samem mieście, w dzielnicach niezbyt odległych, w parę godzin po zachodzie słońca, pijana dziewczyna z butelką w rękę tańczy na środku ulicy,

a wtóruje jej śpiewem dwóch malców, rozkładających się w rynsztoku.

W społeczeństwie angielskiem jest silny, na lądzie stałym nieznany prąd ku trzeźwości. Każdy, kto ma trochę doświadczenia w sprawach ludzkich, domyśli się, że prąd ten jest silniejszy między nauczycielami szkół ludowych, niż między studentami uniwersytetów, silniejszy między duchowieństwem niż między amatorami wyścigów konnych. Bądź co bądź, prąd ten uderza każdego przybysza. — Jest w nim zdrowie i siła, jest w nim przyszłość narodu. Na dziesiątki tysięcy liczyć trzeba rodziny, nie znające alkoholu zupełnie. Proletaryat natomiast pije, pije w sposób wstrętny, pije po szynkach, w których się schodzi, żeby się upijać.

Anglik zamyka się w domu. Nie dopytuje się o cudze sprawy, ale nie cierpi, żeby mu zaglązano przez płot do wnętrza zagrody. Proletaryat angielski żyje na ulicy, rozprawia o swej niedoli, klóci się, obrzuca przezwiskami, niekiedy bierze się za łby w oczach całego świata.

Między żoną robotnika, mającą w oknach białe franki i doniczki z kwiatami, częstującą gości herbatą, chodzącą z mężem i dziećmi do kościoła, a tą kobietą z najniższych głębin społecznych, która, rozwaliwszy się na trawie, pod drzewami Regent-parku, rozpasuje się w oczach publiczno-

ści, by robactwo wytrząsać z zanadrza, jest odległość taka, jak między mieszkankami dwóch planet.

Sklepienie, o którym mówiłem, jest arcydziełem architektury społecznej. Budowały je wieki, a materyał miały niezrównany. Ale kto lubi doznawać jedynie wrażeń estetycznych, niech nie zagłębia się, niech nie patrzy na to, co się dzieje pod sklepieniem.

— Czy Państwo przypuszczacie, iż służąca wazsa słyszała kiedy o tem, że Karol I-szy był ścięty?

Pytanie proste i naturalne. — Zadawałem je w kilku domach. Za każdym razem wywoływało zdziwienie.

Któż miał mówić jej o tem? Dzieciństwo zeszło jej w zapadłym kącie któregoś z najuboższych hrabstw. Naukę pobierała w szkółce przy kościele. Kto wie, jak niedbale bywa w Anglii przestrzegana ustawa o przymusie szkolnym, nie zdziwi się, że przestała chodzić na naukę po kursie czytania i pisania. Cóż dopiero, jeżeli jest Irlandką! W Anglii, lat temu dziesięć, 70% kobiet nie umiało się podpisać, w Irlandyi — 20%.

Linia graniczna między warstwą, która już weszła w skład rzeczywistego społeczeństwa i przejęła się jego tradycjami, jego sympatjami, jego ambycją narodową, a tym biednym tłumem, przebiega drogę inną, niżbyśmy przypuszczali. Doróż-

karz londyński, tragarz na dworcu kolei, świątlejszy robotnik, znajdują się powyżej tej granicy; uboga dziewczyna, będąca na służbie w domu pastora lub nauczyciela wiejskiego, nie dorosła do niej jeszcze.

— Gdy byłem pastorem w Lancashire — mówi mi Mr. Wills, pastor Kongregacyonistów w West-Croydon — parafia moja składała się prawie wyłącznie z robotników, zajętych w fabrykach tkanin bawelnianych. Raz, gdy trzeba było dać pieniądze na szkołę, parafianie złożyli we dwa tygodnie 2300 funtów. Innym razem zebrałem w niedzielę po nieszpórach, przemówiwszy do obecnych, 300 funtów na tacę.

Na tych ludzi Anglia może liczyć w potrzebie.

A tamci, najbiedniejsi?

— To są dobrzy ludzie — mówi mi młoda Angielka w stroju półzakonnym, należąca do jednej z licznych korporacyj kobiecych, walczących w wielkiem bagnisku londyńskim z nędzą, występkiem, chorobą i ciemnotą. — To są dobrzy ludzie. Trzeba tylko umieć do nich przemówić. Ja chodzę czytywać biblię chorym. Gdy przyjdę, zdarzy się zawsze sposobność oddania jakiejś usługi, zajęcia się dziećmi, kuchnią, gospodarstwem. Nie spotkało mnie nigdy nic przykrego. Z towarzyszek moich jedna tylko miała powód do skargi, ale było w tem trochę jej winy. Gdy weszła, nim się

przywitała, już zaczynała dawać nauki. Oni tego nie lubią.

— Pani pracuje w dzielnicy bardzo ubogiej?

— Teraz jestem przydzielona do parafii za-
możniejszej, ale przez dwa lata byłam wśród wiel-
kiej nędzy na prawym brzegu Tamizy.

— Spotykała się Pani z pijakami?

— Tam pili bardzo. Znałam takich, co odda-
wali żonie i dzieciom piątą część zarobku, a resztę
przepijali w gospodzie.

— Jakież na to sposób?

— Trudno coś poradzić. Wielu rozpija się
przez brak pracy. W tamtej okolicy mieszkało wielu
robotników z fabryk *jam'u* (powidel). Byli tacy,
którzy nieraz nie dostawali się na robotę. Nieje-
den zamiast wracać do domu, gdzie nie było co
jeść, szedł za ostatni grosz do szynku.

— Czy to ludność religijna?

— Mnie się zdaje, że tak. Lubią, żeby im czy-
tać Pismo święte.

— A cóż mówią o polityce?

— Wojna im się nie podoba.

— Czy przez sympatyę dla Boerów?

— Nie, ale dlatego, że zginął tam już niejeden
syn ubogich rodziców.

Dłuższego trzebaby pobytu na ziemi angielskiej,
żeby się tej warstwie przypatrzeć zblizka. Turysta,
zwiedzający kraj pobieżnie, może przyjrzeć się nę-

dzy tylko tam, gdzie ona staje przed jego wzrokiem gromadnie.

Zbiorowiskiem takim jest *workhouse*.

Dom pracy! Ileż treści mieści się w tej nazwie. *Workhouse* — to wewnętrzne dzieje Anglii, to symbol stosunku jednostki do państwa, to symbol autonomii angielskiej.

Parlament angielski nie uchwalał podatków ani pożyczek na takie wojny, jak podbój Indyi, parlament nie ustanawiał przymusowej rekrutacyi, parlament wtrącał się jak najmniej do spraw uniwersyteckich, a z prawdziwą niechęcią uległ narreszcie konieczności zajęcia się szkołami ludowymi. Parlament nie uchwalał budowy kolei żelaznych, bo to jest rzeczą towarzystw akcyjnych, ani budowy gościńców, bo to było rzeczą związków drogowych, — natomiast parlament angielski zajmował się już przed wiekami niejedną sprawą, nad którą rządy innych państw nie zastanawiały się wówczas wcale.

W wieku XVI parlament zajmował się między innymi losem żebraków. Postanowiono załatwić kwestyę tę ostatecznie. Parlament przyjął zasadę, że w Anglii nie powinno być — dziadów.

Ustawa z r. 1601 miała temu raz na zawsze zapobiedz.

Trzy zasadnicze cechy wyróżniają prawodaw-

stwo angielskie w sprawach dobroczynności publicznej.

Nakłada ono na parafian przymusową składkę na rzecz ubogich; nakłada na ubogich obowiązek przymusowej robocizny w domu pracy; jednoczy w tej instytucji wszystkie rodzaje miłosierdzia, łącząc z domem pracy ochronę, szpital, schronisko dla starców, a nawet niekiedy przytułek dla nieuleczalnych.

Historia *workhouse'u* — to historia nieustannego dążenia do doskonałości przez szereg błędów, zaślepień i złudzeń. Bywały czasy, w których zasada przymusowej daniny, posunięta do przesady, ciążyła na parafianach, jak jarzmo żelazne. Składki dochodziły do takiej wysokości, iż niektórym parafiom groziła emigracja ludności.

Niekiedy brała natomiast górę zasada druga. Dom pracy stawał się kaźnią. Wiemy z powieści Dickensa, jakiem przerażeniem myśl o zamknięciu w *workhous'ie* napelniała biedaków.

Workhouse trzeba zatem zwiedzić koniecznie.

Dom pracy w C., to zakład imponujący. Zaspokaja on potrzeby okręgu dobroczynności liczącego 150.000 mieszkańców. Dochody tego okręgu, którego głównem zadaniem jest utrzymywanie *workhouse'u*, wynosiły w roku ostatnim 80.000 funtów. Bywały już lata, w których 30.000 włóczęgów przesuwano się przez zakład; obecnie liczba

ta spadła do połowy. W roku ostatnim zakład miał (pominąwszy włóczęgów) 3000 mieszkańców stałych, opiekował się przeciętnie 107 dziećmi, miał na swym koszcie 277 obłąkanych i wspierał 2425 biedaków, mieszkających poza domem pracy.

O tem wszystkim mówi nam sprawozdanie, które, jak wszystkie prawie rachunki ciał autonomicznych, liczy rok od dnia 25 marca, od dnia Zwiastowania Najświętszej Panny. Tak było w wiekach średnich; tak zostało po dzień dzisiejszy.

— Jeżeli Pan chce to wszystko zobaczyć — powiadają mi znajomi — uprosimy naszą kuzynkę, żeby Pana oprowadziła po *workhous'ie*. Należy ona do opiekunek. Nikt panu nie da lepszych objaśnień.

— Nie śmiałbym się narzucać.

— Pan nawet nie wie, jaka ona dobra. Ona tylko tem żyje. Jej tam wszyscy słuchają.

— Ale ma także i energii dużo — dodaje siostra mego przyjaciela.

— Dobroć z energią! Czegóż można pragnąć więcej!

Nie zawiodłem się też, i o przechadzce po *workhous'ie* myślę dotąd z wdzięcznością.

Nazajutrz w południe czekałem przed domem pracy. Z uderzeniem godziny dwunastej opiekunka osadziła bicykl przed bramą.

— Pani pozwoli, że się zajmę welocypedem...

— Bicykl mój prowadzę zawsze sama.

Trzeba się więc ubrać w pokorę. Cichy, jako ci Atrydzi, wchodzę na obszerny dziedziniec.

Więc to tak wygląda! Rzecz oczywista, że wszystko jest tu połączone, ale jak połączone! Trawniki, klomby, ogrody, gaje. Dużo zieleności i dużo powietrza. Pawilony wielkie, małe i jeszcze mniejsze, a tam dalej domki z ogródkami, przeznaczone dla najmniejszej dziatwy. Kto wydaje rocznie kilkakroćtysięcy rubli, może się rozgospodarować szeroko.

Więc taki dom pracy to całe miasteczko? Nie, taki dom pracy to raczej cała wieś.

Zaczynamy od staruszek. Wejście mej przewodniczki rozjaśniło wszystkie twarze. Te biedne stworzenia umieją być wdzięczne. Obiad właśnie się kończył. Jużciż w Soplicowie jadano lepiej. Pan Wojski skrzywilby się może na taki *pudding* i czupryna owego kuchty, co to „krzywdzące chartów wieści szerzył“, byłaby w robocie, ale za to życzyłbym ze szczerego serca każdej pani Wojskiej, ażeby przez całe życie używała gwoli ochędóństwu tyle wody i mydła, ile jej z musu używa codziennie każda mieszkanka *workhouse'u*, ażeby zawsze miała tak czystą pościel i bieliznę, jak one.

Wypada coś powiedzieć. Zdobywam się na najpiękniejszą angielszczyznę, na jaką mię stać.

— Jak one tu Panią kochają.

Widocznie wykroczyłem przeciw regulaminowi.

— Wiedzą, że wszystko, co im się każe, jest dla ich dobra.

Idźmy dalej.

— Niech Pan nie myśli, że wszystkim dzieje się tak dobrze, jak tym. Włóczęgom każemy pracować ciężko, bardzo ciężko.

— Poddają się temu chętnie?

— Muszą. Gdyby nie to, garnęłoby się ich tylu, iż *workhouse* nie pomieściłby wszystkich. Dla silnych i zdrowych nie ma tu względów. Kto może, niech pracuje, albo niech się wynosi.

Na ścianach wiszą przepisy. Praca przymusowa ujęta jest w stałe prawidła. Kto nie spełnia obowiązków, kto nie piluje należycie drzewa, nie skubie wełny, kto nie odda wieczorem roboty w ilości przepisanej, podlega karze. Leniwych oczekuje post, twarde łóżko i inne rozkosze.

Jednego tylko, wody, wody źródlanej do mycia i prania nie żalują tu nikomu. Nigdzie brudu, nigdzie niemilej woni. Trzeba przypuścić, że za czasów Dickensa musiało to wyglądać inaczej.

Karność panuje tu pod każdym względem. Napoje wyskokowe zakazane najsurowiej; tak samo gra w karty. Wychodzić nie wolno, przyjmowanie odwiedzin dozwolone tylko w wyjątkowych wypadkach.

— A gdy któremu za ciężko, cóż robi?

— Jeżeli sądzi, że dostanie przyjemniejszą robotę poza *workhous'em*, wychodzi; jeżeli nie, musi zostać.

— A nie próbują dostać się do innego *workhouse'u*?

— To się nikomu nie uda. Każda Unia dba o swych ubogich. My mamy w *workhous'ie* miejsce tylko dla swoich. Inni tak samo. Kto chce, żeby go karmiono gdzieindziej, naraża się na to, że go odstawią na miejsce.

— Więc dla biedaka nie ma innej rady? Musi albo sam sobie radzić, albo znosić to, co go tu spotyka?

— A cóż my możemy zrobić dla niego więcej?

— Jeżeli jednak nie podoła tym surowym przepisom?

— Ha! to niech szuka szczęścia w koloniach.

Te słowa w ustach Angielki, to nie banalny frazes. Żebrać nie wolno. Śmierć głodowa nie grozi. Drogę do żebrania równie, jak drogę do śmierci głodowej, zagradza Anglikowi *workhouse*. Tych, którym się te prawa wydają nieznośne, przyjmą każdej chwili kolonie.

Wszystko składa się na walkę z żebractwem. Anglia właściwa obejmuje 648 okręgów dobroczynności, a wszystkie razem stanowią wielkie Towarzystwo przeciwżebracze. Kogo nie zdołają po-

mieścić w domach pracy, tego społeczeństwo angielskie wszystkimi siłami wypycha za morze.

Przewodniczka moja chce mię oprowadzić po całym swoim państwie. Przechodzimy do domków dla dzieci. Tu surowość znika. Dom, do któregośmy weszli, przeznaczony dla dziatwy, oddawanej do *workhose'u* na dzień. Dla sześciorga bębnow grzeje się na typowej kuchni angielskiej, mającej kształt staroświeckiego komina, ryż na słodko. Dzieci te chodzą już na naukę. Wszystko rude, pyzate, dobrze obrośnięte ciałkiem. Zaczynają mojej towarzysze opowiadać coś z zapalem. Kto nie przemieszkał kilku lat w Anglii, nie zrozumie z tego ani słowa.

Nie obeszlśmy jeszcze wszystkiego.

Workhouse ma własne gospodarstwo. Zwiedzamy więc ogrody warzywne, zmiierzamy ku chlewni.

Moja przewodniczka zatrzymuje się nagle.

— Ja tam nie wejdę.

— Dlaczego?

— Widział Pan tych dwóch?

— Widziałem. Któż to taki? Agnostycy? Ludozercy? Synowie Beliala?

— Niech pan nie żartuje.

— Cóż to więc za jedni?

— Rzeźnicy, panie, rzeźnicy! Przyszli po nierogaciznę. Wolę nie być przy kupnie.

Żegnamy się więc, nie zwiedzivszy tej gałęzi

gospodarstwa, a przy pożegnaniu czuję tę wdzięczność prawdziwą i głęboką, jaką uczuwamy, gdy ktoś słowem lub czynem utrwalił nas w przekonaniu, umiłowaniem przez nas oddawna. Wynoszę z *workhouse'u* wiarę w skuteczność pracy, podjętej w imię wielkiej idei; wychodzę z niego przejęty silniej, niż przedtem, tą dawną prawdą, że prawa i instytucje martwe są, gdy ich miłość nie ogrzeje, a praca nie tchnie w nie życia.

W *workhous'ie* widzieliśmy włóczęgów, widzieliśmy starców, widzieliśmy i dziatwę drobną. Pierwszych i drugich dostarcza proletaryat. Działwa wychowuje się na to, żeby się kiedyś z proletaryatu wydobyła. *Workhouse* mieści na swym obszarze obraz ewolucji społecznej.

Gdy patrzymy na to społeczeństwo, rozpryskujące się pozornie na miliony osobników, luzem chodzących, a w rzeczywistości przedstawiające nam posąg z jednej bryły i taki silny, że w gromach nie pęknie, skłonni bywamy do przypuszczenia, że niejedną, co nas w podziw wprawia, tkwi od stworzenia świata w krwi angielskiej. Powiadamy sobie, że Anglik jest takim, jakim go widzimy, bo go Pan Bóg takim stworzył. Zapominamy, że społeczeństwo to kształciło się z niesłychanym wysiłkiem przez wieki, zapominamy, że rozwijało się stopniowo, że się samo pilnowało nieustannie.

Wyjdźmy z miasta na wieś. Przy drodze rozłożyła się typowa angielska ferma. Przed fermą na owsisku uciecha. Potomstwo stangreta, gumienego, karczmarki i ogrodnika, urządziło sobie na łanie *cricket*. Przypatrzmy się malcowi, który objął nad innymi komendę. Co za przepyszny typ John Bulla! Rudy, kościsty, dobrze osadzony w biodrach, pewny siebie, przejęty ważnością zadania. Co z niego będzie? Przypuszczać można, że którąkolwiek rzeką w świat popłynie i jakąkolwiek broń w rękę weźmie, nie będzie mu się działo gorzej, niż dzisiaj u macierzy. Patrząc na tę gromadkę, mówimy sobie w duchu: Tak musiało tu być zawsze od czasów niepamiętnych!

Rzeczywiście. Z rachunków dworu królewskiego dowiadujemy się, że następca tronu grywał w *cricket*'a już w r. 1300, ale też za to w wieku XVI ogłoszono ustawę, pozwalającą sługom i czeladzi rzemieślniczej grywać w *cricket*'a jedynie w okresie Bożego Narodzenia. Przez resztę roku był to owoc zakazany. Prawo to szło zwolna w zapomnienie, ale oficjalnie zostało zniesione dopiero w r. 1845. A dziś? Dziś ci, co rządzą krajem, pragnęliby, żeby w *cricket*'a grywał naród cały, żeby grywali ci, co zamiast biegać po murawie, siedzą w szynku, żeby grywali ci, co się wylegają bezmyślnie w rysztołach wielkomiejskich.

I do tego powoli idzie. *Cricket* nie był grą ca-

łego narodu, lecz tylko warstw uprzywilejowanych. Gra ta zatacza atoli coraz szersze kręgi i staje się grą narodową w najpowszechniejszym znaczeniu.

Przykładów takich przytoczyć można więcej.

Oto siedzimy w wagonie klasy trzeciej. Na małej stacyjce wsiada dwóch robotników. Narzędzia idą pod ławkę, jeden dobywa gazety i zaczyna się rozmowa o ostatnich zajściach w parlamencie. Obaj poinformowani są niezłe. Wiedzą, kto ostatnimi czasy przemawiał i w jakim duchu. Obaj mają zadeklarowane sympatye i antypatye.

Podróżny nie dziwi się temu. Wyjeżdżając z domu, wiedział, że jedzie do kraju, w którym naród od wieków żyje życiem politycznym, glosuje, zgromadza się i radzi. Podróżny zapomniał tylko o jednym. Zapomniał, że tacy, jak ci dwaj, należą dopiero od bardzo niedawna do tego, co my na lądzie stałym nazywamy narodem angielskim, że od niedawna mają prawo głosowania. Nawet szczegółowe obznajamianie ludu z tem, co się dzieje w parlamencie, nawet ogłaszanie wyczerpujących sprawozdań z posiedzeń jest dopiero zdobyczą epoki ostatniej. Dziadowie tych dwóch robotników nie byli wyborcami, nie czytawali zapewne dzienników, nie wiedzieli, jak się grupują politycy angielscy na terenie politycznym. Ich budzono do-

piero do życia politycznego zapomocą meetingów, broszur i elektryzujących przemówień.

Stan dzisiejszy jest skutkiem ewolucyi powolnej i nieustannej. Naród angielski, naród w znaczeniu politycznym, naród, z którego wolą liczyli się królowie, przyswajał sobie zwolna coraz szersze kręgi ciemnego i obojętnego gminu, urabiając je na swe podobieństwo. Typ prawdziwego Anglika, z zamiłowaniem do sportu, z poczuciem godności osobistej, z dbałością o przyzwoite formy codziennego domowego życia, rozpowszechnia się coraz bardziej, staje się powoli nie tylko typem garstki, rządzącej krajem, ale typem całego plemienia.

Plug angielski z każdą nową koleją płodozmiianu brał coraz głębiej i głębiej. Za każdym razem wydobywał na wierzch coraz nowe pokłady, spulchniał je, użyźniał i mieszał z wyższymi pokładami gleby rodzajnej. Praca ta nie skończyła się jeszcze. Pod warstwą drobnego mieszczaństwa, pod warstwą sytego, odzianego, obutego robotnika, jest jeszcze warstwa proletaryatu. Przychodzi kolej na nią.

Zamożność warstw średnich urasta w okresie ostatnim tak niepomierne, iż warstwy te czują w sobie siłę, która może popchnąć Anglię znowu o spory kawał naprzód. Energia, właściwa plemieniu, a spotęgowana wychowaniem, dodaje im ochoty i budzi wiarę w powodzenie, a etyka społeczna,

stanowiąca nieodłączną cząstkę cywilizacji angielskiej, skierowuje te zasoby sił i mienia ku warstwom upośledzonym. Nadeszła pora, w której orka ma się znowu pogłębić. Nadeszła pora, w której kultura, wzbierająca ponad brzegi, ma rozlać się szerzej i zapłodnić obszary, leżące dotychczas odlegiem. Tak, jak szlachta wciągnęła w krąg swego życia zamożniejsze i światlejsze mieszczaństwo, a ono porwało znowu za sobą mniej zamożne koła, tak dziś nadchodzi pora na proletaryat. Kontrast między dostatkiem i nędzą razi estetyczne i humanitarne poczucie Anglika; to rażące przeciwieństwo napelnia go niekiedy i obawą. Interes własny idzie tu w parze z uczuciami obywatelskimi, egoizm z altruizmem. Zespolenie tych popędów, sprzecznych napozór, jest szczęściem dla kraju.

A praca będzie ciężka. Trzeba zmienić nie tylko zewnętrzną szatę proletaryatu. Trzeba zmienić jego duszę, jego gusta, jego temperament.

Wszystko przemawia za tem, że cel będzie dopięty. Wszak tylko dzięki wiekowej pracy udało się wychować i zespolić te warstwy, które dotąd reprezentują naród.

Niech nam się nie zdaje, że ten Anglik, nie czujący nad sobą pięści policyanta, prefekta, landrata, jest już z urodzenia istotą tak spokojną, flegmatyczną i karną, iż może się obejść bez nad-

zoru, bez komendy i bez przepisów policyjnych. Ten ład społeczny, który tam widzimy, to nie jest zasługa jakiejś wrodzonej natury angielskiej: to zasługa narodu, który pozostawiony sobie, twardo i ciężko nad sobą samym pracował.

Przypatrzmy się małemu Anglikowi z ludu. Przypatrzmy się malcowi, nie ujętemu w karby dobrego wychowania domowego, a nie ugiętemu jeszcze pod rygor życia kościelnego i szkolnego, nie oswojonemu jeszcze z karnością, do której nawyknie kiedyś na zielonej murawie, wśród gier zbiorowych. Przypatrzmy się mu. Nie jest to cherubinek. Mały Anglik, to stworzenie krnąbrne, dzikie i drapieżne. Szczuć dwa psy na siebie, aż się pogryzą, szczuć je dopóty, aż im skóra w krwawych strzępach będzie wisiała z karku, złapać w sidła kota sąsiadki, boksować się, aż jednemu oko spuchnie, a drugiemu słabo się zrobi od uderzeń przeciwnika: to dla nich rozkosz, to dla nich zabawa. Taki jest materyał, z którego obyczaj narodowy, wypielegnowany przez pokolenia, wytworzył ostatecznie społeczeństwo zgodne, solidarne, przejęte miłością bliźniego.

Wstąpmy do szkółki we wsi lub w miasteczku. Przypatrzmy się tym rudowłosym, kościstym, krępy malmom. Jaka w tem hardość i buta! Pedagogowie angielscy, którzy zwiedzali szkoły w Niemczech i Francyi, opowiadają po powrocie ze zdu-

mieniem o potulności małych Niemców i Francuzów, W porównaniu z Anglikami, Niemcy wydają się im mazgajami, niesłychanie skłonnymi do łez. Cóżby dopiero powiedzieli, gdyby podróż zawiodła ich dalej ku Wschodowi.

Nauczyciel ludowy w Anglii ma zadanie nadludzkie. Utrzymanie spokoju w klasie wymaga tam całkiem innych wysiłków niż gdzieindziej. Miesiące mijają, zanim syn ludu angielskiego pojmie narzeczcie, że szkoła, to nie Izba gmin, i że na lekcjach nie siedzi się w czapce.

Dopiero przypatrzwszy się temu tłumowi rozhukanej dziatwy, uczymy się cenić żelazną siłę tradycji, wiary, spójni rodzinnej, która z takich natur robi statecznych obywateli kraju, nie odbierając nikomu możliwości wyrażania myśli, nie ograniczając nikogo w swobodzie nauczania.

Materyał musiał być przedni, skoro takie zdumiewające tej wiekowej pracy są wyniki. Materyału nie przerobiono dotąd całkowicie. Zostało go jeszcze tyle, iż kilka pokoleń będzie musiało męczyć się nad dokończeniem zadania.

VII.

Miłe sąsiedztwo. — Wielbiciel Boskiej Komedy. — Polityka bieżąca. — Większa Brytania i Mali Anglicy. — Obrona oceanów i przyszła wojna.

— Zasłużyłam sobie na wdzięczność Pańską — mówi mi pani domu. — Nie domyśla się Pan nawet, jakie sąsiedztwo przeznaczyłam Panu przy stole.

— Cóż to za piękność tajemnicza?

— Na złym Pan tropie...

— A więc?

— Będzie Pan miał obok siebie członka parlamentu.

— To przechodzi moje oczekiwania! Niechże mi Pani powie coś o moim sąsiedzie.

— Jest to p. William Jones, Walińczyk, członek Izby gmin.

Rzecz oczywista, że gdyśmy zasiedli do śniadania, całą uwagę poświęciłem sąsiadowi.

P. William Jones, człowiek trzydziestokilkoletni, reprezentuje wybornie typ celtycki. Gęsty, ciemno-blond zarost, żywe, przenikliwe oko, nieco nerwowe ruchy i błyskawiczny uśmiech w połączeniu z szybkim tokiem mowy, wyróżniają go w gronie Anglików.

P. Jones włada kilkoma językami. Rozmowa schodzi na pole filologiczne.

— Nigdy w życiu nie widziałem książki polskiej — mówi mój sąsiad.

— Za chwilę, gdy Panie wstaną, pokażę Panu jedną z tych, które mam ze sobą.

Gdy ruszono od stołu, p. Jones przypomniał mi obietnicę. Poszedłem i przyniosłem.

— Cóż to za utwór?

— Tłómaczenie *Boskiej Komedy*.

— To u was tłumaczą Dantego? To dowód cywilizacji. I któż to tłumaczy?

— P. Edward Porębowicz.

— Nielatwe nazwisko. Pozwól Pan. Co za szczególny język. Co chwila głoska „z“. Trudno wpaść na jakiś wyraz zrozumiały. Ale patrz Pan: „Mistrzu!“ to oczywiście: „Maestro“. Tak jest. — Czwartą tercyną pieśni trzeciej: *Per che maestro il senso lor m'e duro?* Ostatecznie można się zorientować.

— To Pan *Boską Komedyę* umie na pamięć?

— Ach, gdzież tam! Myślałem, że do tego

dojdę. Polityka stała na przeszkodzie i musiałem poprzestać na *Piekle i Czystcu*.

— To nie drobnostka!

— Czyż Pana to naprawdę dziwi?

— Jeżeli mam być szczerzy, to wyznam, że taką znajomość języków rzadko spotykamy w Anglii.

— W Anglii co innego, ale nie w Walii. Anglosasom trudno się uczyć obcej mowy, ale my, Celtowie, uczymy się języków z łatwością.

— Czy taka wielka pod tym względem zachodzi różnica?

— Ogromna. Anglik nie nauczy się nigdy wymawiać obcych wyrazów. Słyszał Pan, jak oni mówią po łacinie? *Intidżer wajti!* Coby Horacy na to powiedział! *Intidżer wajti!*

— Cóż to ma znaczyć?

— To ma być: *integer vitae*. Sądzi Pan, że Rzymianinby zrozumiał o co Anglikowi idzie?

Rozmowa się ożywia. Wychodzimy do ogrodu.

— Cóż Pan zwiedza?

— Potroszę wszystko. Dziś widziałem Armieę zbawienia. Zdziwiło mię, że wiele osób poważnych nie traktuje jej wcale w sposób lekceważący.

— Jakto? Ależ dziś nie lekceważy jej w Anglii nikt. Nie wiem, czy Pan spotka rozumnego człowieka, któryby nie uznawał wielkich jej zasług.

— Więc tu nie powitano jej żartami i śmiechem?

— Z początku oczywiście. Te czasy minęły jednak dawno. I dziś widzimy wszystkie jej śmieszności, ale nie zważamy na nie. Armia zbawienia oddziaływa swymi hałaśliwymi obrzędami, swymi mundurami, swymi koncertami pod gołym niebem na wyobraźnię ludu i przykuwa go do siebie. Pod tą osłoną kryje się zdrowa treść. Armia zbawienia walczy z pijaństwem, próżniactwem, rozpustą. Każdy musi to przyznać.

P. Jones należy do wielbicieli walijskiej mowy i walijskiej poezji. Podczas mego pobytu w Anglii, jeździł do Liverpoolu, by tam prezydować na wielkim turnieju bardów walijskich. — Ach! — mówił mi parę razy — gdybyś Pan mógł poznać walijskie tłumaczenie Biblii, zrozumiałbyś dopiero, jaki skarb posiadamy w naszej mowie.

Nie przeszkadza mu to oczywiście być dobrym patriotą angielskim.

— Czyż między Walią a Anglią niema ani śladu niesnasków narodowych?

— Niesnaski ustały zupełnie.

— Dawno?

— Od czasu Tudorów. Przecież Tudory to walijska krew!

Jako prawdziwy Walińczyk, jest demokratą. Wierzy niezłomnie, iż Irlandya otrzyma samorząd zu-

pełny, a z zasady przeciwny jest wszelkiemu ograniczaniu samorządu kolonii.

O sprawach kolonialnych, będących na porządku dziennym, mówiliśmy parę razy.

Biedni to byli królowie, którym szlachcic wienien był „tytuł na pozwie, dwa grosze z lanu, a pospolitą wojnę“, poza tem zaś nic. Myli się atoli, kto sądzi, że rząd angielski ma ze swych kolonii (a mówimy tu oczywiście o koloniach rządzących się autonomicznie) tyle, co ów król ze swego państwa.

Tytuł na pozwie! Tego kolonie ziemi macierzystej nie żałują. I król i jego rodzina będą w każdej kolonii przyjmowani z wszelkimi honorami. Daleko gorzej rzecz się przedstawia dla króla, gdy idzie o dwa grosze z lanu, lub o pospolitą wojnę.

Co do podatków, sprawa prosta. Kolonia płaci do Londynu zazwyczaj małą sumę ryczałtową na dyplomację i wojsko, a poza tem nie wie o żadnych podatkach na rzecz wspólnego skarbu. Każda z nich pokrywa sama swe niedobory; każda zatrzymuje swe nadwyżki u siebie. Budżet każdej kolonii jest jej sprawą wewnętrzną. Rząd angielski nie kontroluje go, nie podnosi, nie obniża. Króla przyjmą wszędzie z czcią bez granic, ale do jego listy cywilnej nie dopłacają nic. Utrzymanie dworu, apanaże książąt krwi, wszystkie pensye

wypłacane ze skatuly królewskiej, obciążają jedynie ludność, reprezentowaną przez swych deputowanych w Westminsterze, ludność dwóch wysp, przedzielonych cieśniną św. Jerzego.

Ale nie dość na tem. Kto zna dzieje Anglii, ten wie, że olbrzymie wojny, jakie to państwo toczyło w ciągu trzech ostatnich wieków, miały na celu rozszerzenie i utrzymanie posiadłości kolonialnych. Jeżeli Anglia sprzymierzała się przeciw Burbonom, a potem przeciw Bonapartemu z Austryą, z Prusami, z Rosyą, to nie uczyniła tego ze względu na sprawy ładu stałego, lecz ze względu na swe interesa kolonialne. W tej wszechświatowej polityce angielskiej szukać trzeba źródła olbrzymich długów państwa, które doszły już do 600 milionów funtów. Otóż procenty od tych długów płaci obecnie Anglia sama; kolonie o nich nie wiedzą.

Wspomniałem, że jedyną bezpośrednią opłatą, jaką kolonie wnoszą do skarbu angielskiego, jest niewielka suma ryczałtowa. W wykazach budżetowych z przed lat kilku, które mam w tej chwili przed sobą, jest ona wymieniona szczegółowo. Ile też to wynosi?

Oto na marynarkę i wojsko wszystkie kolonie razem płacą do skarbu państwa w Londynie 213 tysięcy funtów; na kosztą wspólnej reprezentacji dyplomatycznej 395 tysięcy funtów; na akcyę prze-

ciw handlowi niewolnikami 23 tysiące funtów. Ponieważ odtrącić od tego trzeba sumę 213 tysięcy funtów, które Anglia płaci kolonom ze swego budżetu, przeto danina, którą ludność kolonii (z pominięciem Indyi) płaci do skarbu angielskiego, wynosi 418 tysięcy funtów rocznie. Ludność, nie mniejsza od ludności Włoch, płaci razem 4 miliony rubli. Wobec olbrzymiego budżetu angielskiego, wynoszącego na rok ubiegły 108 tysięcy funtów, jest to prawie nic.

A doprawdy trudno się powstrzymać od uśmiechu, gdy widzimy, z jakich części owa danina się składa. Kolonie, administrowane bezpośrednio przez rząd londyński, płacą przeważną część tej sumy. Kolonie rządzące się samodzielnie, nie płacą prawie żadnych danin. Kanada, która pod osłoną kilku własnych okrętów nie mogłaby spać spokojnie, płaci ryczałtem marynarce angielskiej za obronę brzegów swoich 3 tysiące funtów!

Tak wyglądają dwa grosze z lanu. Jestem pewien, że Prusacy, którzy tak lubią rozpisywać się o egoistycznej polityce angielskiej, urządziliby się o podobnym wypadku trochę inaczej.

Zobaczmy teraz, jak wygląda pospolita wojna.

Kolonie nie płacą na utrzymanie armii i marynarki angielskiej, bo w teoryi każda kolonia, rządząca się autonomicznie, powinna utrzymywać wła-

sną siłę zbrojną. W praktyce wygląda to trochę inaczej.

Obowiązek bronienia tych niezmiernych obszarów, rozrzuconych po wszystkich kontynentach świata, spada faktycznie na armię angielską, na armię, utrzymywaną kosztem Anglii, Szkocji i Irlandyi. Indye wschodnie utrzymują swą własną, dosyć kosztowną armię, która, ze względu na olbrzymie obszary tych ziem, prawie ruszyć się stamtąd nie może. A kolonie?

Gdy którykolwiek rozumny Anglik rozgadał się szczerze o wojnie z Boerami, przytaczał zawsze jedną okoliczność na dowód, że położenie Anglików jest lepsze, niż Europa przypuszcza; powoływał się mianowicie na udział, jaki w tej wojnie biorą kolonie. Mówił o ułanach australijskich i strzelcach kanadyjskich i kończył uwagą, że skoro wojna wydana Boerom przez Wielką Brytanię, wywołała taki zapal w całej Większej Brytanii, to Anglicy mają wszelki powód do moralnego zadowolenia.

Udział Kanady i Australii był zupełnie dobrowolny. Nie są one obowiązane stawać pod bronią, gdy Anglia dobywa oręża. Nikt nie może narzucić im tego obowiązku. Prusacy, wylewający lzy współczucia na ludami jęczącymi pod jarzmem angielskiem i w tym punkcie postąpiliby praktycznej.

Kolonie przysłały więc z dobrej woli do Afryki

tysiąc kilkaset ludzi i paręset koni. Przysłały tyle, bo na więcej niełatwo byłoby im się zdobyć.

O Indjach wspomnieliśmy wyżej. Mają one organizację własną i nie wchodzi tu w rachubę.

Pozostałe kolonie obdarzone autonomią większą lub mniejszą, mają dzisiaj wraz z krajowcami ludność dwudziestokilkomilionową. Obszar ich przetrasta wszystko, do czegośmy przywykli w Europie, a bogactwo niektórych kolonii australijskich nie da się również mierzyć miarą średniej zamożności. I oto te państwa kolonialne utrzymują własnym kosztem około 20.000 regularnego żołnierza i około 50.000 milicyi. Jest to już niemal idealny stan rozbrojenia.

Przez cały wiek XIX, to jest od wojny ze Stanami Zjednoczonymi i od wyprawy Bonapartego do Egiptu aż do ostatniej rozprawy w Afryce, toczyła Anglia jedną tylko większą wojnę w swych posiadłościach pozaeuropejskich, mianowicie wojnę ze zbuntowanymi oddziałami wojsk indyjskich. Na Indyje ma ona stale zwrócone oko i dokłada wszelkich starań, aby armia indyjska, złożona ze 140 tysięcy krajowców i garstki Anglików, była na każde zawołanie do użycia.

Poza tem wojny kolonialnej w większym stylu nie było. Były tylko wyprawy przeciw dzikim lub półdzikim sąsiadom, a wyprawy te nie mogły wycieńczyć ani wojskowej, ani pieniężnej siły po-

tężnego Albionu. Anglia radziła sobie doskonale o własnych siłach i nie potrzebowała uciekać się do pomocy Kanady, Kraju Przylądkowego, kolonii australskich lub Nowej Zelandyi.

Dziś atoli postać rzeczy się zmienia. Dziś Anglia nie jest już jedyną potęgą kolonialną. W ciągu ostatnich lat trzydziestu powstały nowe potęgi. Francya zagospodarowała się w Afryce i Azji. Kolonie niemieckie rozwijają się w tempie szybkim. Stany Zjednoczone wychyliły się także poza wybrzeża Ameryki i sięgnęły po Kubę i wyspy Filipińskie. Współzawodnictwo tych państw może przybrać lada dzień charakter ostrego zatargu, a wobec tego polityk angielski musi zadać sobie pytanie: czy stara Anglia może podolać nowemu zadaniu, lub innymi słowy, czy ludność Anglii, Szkocyi i Irlandyi będzie mogła w danym razie bronić owych ogromnych państw kolonialnych, jeżeli te państwa nic ze swej strony ku wspólnej obronie nie przedsięwzją?

Drobny przykład objaśni rzecz lepiej.

Kolonia Przylądkowa, która wciągnęła Anglię w wojnę z Boerami, jest sama w sobie młodem i zdrowym państwem. Otóż siły zbrojne tego państwa składały się na parę lat przed wojną z 5000 ochotników i z wojska regularnego, liczącego 838 ludzi. (Tak jest: 838 głów!).

Oprócz sumy na utrzymanie tych 838 wojowni-

ków, nie ponosiła kolonia Przylądkowa stałych wydatków wojskowych. Pocóż to miała robić, skoro wiedziała, że ma za sobą w rezerwie armię angielską? W razie potrzeby mogła zresztą dostać każdej chwili załogę angielską, jeżeliby zechciała ponosić koszt utrzymania. Spuszczając się na to, kolonie nie myślały wcale o wojsku.

Co będzie dalej?

Nie ulega wątpliwości, że kraj macierzysty ulepszy swą siłę zbrojną. Czy jednak ta armia wystarczy na to, ażeby w razie jakiejś wszechświatowej zawieruchy bronić nie tylko Indyi, ale i ziemi ojczystej, i Kanady, i Australii, i przylądka Dobrej Nadziei, i tysiąca wysp? Pamiętajmy, że o ile przedmurzem Starej Anglii jest morze, o tyle Indye, Kanada, posiadłości afrykańskie, mogą być zaatakowane od lądu.

Pytanie: co będzie dalej? — nabiera zatem znaczenia.

Co będzie w razie jakiejś wielkiej wszechświatowej wojny? Jaka przyszłość oczekuje w takim razie kolonie?

Pytanie to zadaje sobie każdy myślący obywatel Anglii.

Przed narodem angielskim otwierają się dwie drogi. Jedna i druga ma dziś zwolenników.

Jedni, zwani *imperyalistami*, głoszą ewangelię wielkiej wspólnej armii, wielkiej wspólnej

marynarki. Kolonie, które na siłę zbrojną lądową
łożą bardzo mało, a na siłę zbrojną morską nie
łożą prawie nic, muszą dać się nakłonić do opo-
datkowania na wspólne cele. Zamiast dzisiejszej
armii angielskiej i drobniutkich oddziałów kolonial-
nych, powstanie armia wielko-brytańska, dość
silna, by bronić całego imperyum, a kiedyś
obok niej powstanie wielko-brytańska marynarka.
Wielka ta reforma może się atoli odbyć jedynie
w połączeniu z szeregiem reform innych. Żaden
Anglik, czy to zamieszkały w ojczyźnie, czy w ko-
loniach, nie da dobrowolnie grosza do rządowej
skrzyni, jeżeli nie ma prawa obierać posłów, ma-
jących kontrolować tego, kto tym groszem zarzą-
dza. Obok wspólnego skarbu musi zatem powstać
jakiś wspólny parlament, jakaś władza obieralna,
przypominająca delegacye austriacko-węgierskie.
Ministrowie angielscy, a przynajmniej niektórzy
z nich, dostaliby się pod kontrolę jakiegoś ciała
parlamentarnego, obieranego w bardzo znacznej
części przez wyborców, którzy starą Anglię znają
tylko z imienia, którzy pozbyli się już w części
nawyknień i przesądów angielskich. — Ileż nieprze-
widzianych komplikacyi może z tego wyniknąć!
Nie dziw, że do takiej reformy Anglia nie przy-
stępuje z pośpiechem.

W tym kierunku idzie jeden odłam myśli an-

giejskiej. Nie jest to jednak cały naród. Inni rozumują inaczej.

„Po co nam — powiadają — tej wielkiej armii, która w dodatku nie da się może utrzymać bez przymusowej rekrutacji! Jeżeli której kolonii grozi jakieś niebezpieczeństwo, niechaj ponosi dobrowolne ofiary na zapewnienie sobie pokoju. Nie wynika z tego jeszcze, byśmy mieli dla jej dobra obarczać nowymi ciężarami cały nasz świat kolonialny. Bo i cóż nam grozi w najgorszym razie? Strata tej lub owej posiadłości? Ależ to jest naturalny bieg rzeczy. Ludność kraju macierzystego nie na tem nie straci. My nie gospodarujemy w koloniach, jak Hiszpanie. Nie zaprowadzamy tam takich rządów, jak Niemcy w krajach zdobytych. Kolonie nie płacą nam podatków do wspólnego skarbu, nie dają rekruta, nie karmią i nie odziewają urzędników, przysyłanych z Londynu, nie stanowią dla nas obrony od obcego najazdu. Rządzą się one same, a nadto, jak tego dowiodła wojna z Boerami, bywają powodem krwawych i kosztownych starć. Nie osłabiło nas oderwanie Stanów Zjednoczonych i nie osłabi też w przyszłości odpadnięcie jakichś obszarów w Afryce lub w Australii“.

Do takiej ostateczności dochodzą najskrajniejsi przeciwnicy imperyalizmu. Imperyalisci nazywają ich za to „małymi Anglikami“.

Czy rzeczywiście kolonie nie mają dla Anglii wartości? A jeżeli mają — na czym zasadza się ta wartość?

Najlepsze głowy angielskie męczyły się nad rozwiązaniem tej kwestyi.

Pożytek z kolonij jest dwojaki. Stwarzają one odływ dla proletaryatu angielskiego i nabywają wyroby fabryk angielskich.

Emigracya stanowi niesłychanie ważną stronę życia społecznego w Anglii. Kogo znudziły już nocegi pod gołym niebem, kto w żadnym szynku nie dostanie ani kropli na kredyt, kto po kolei zwiedził workhouse'y we wszystkich miastach i miasteczkach — idzie do kolonii. Łatwo zrozumieć, że idą tam nie tylko biedacy, zdolni jedynie do pracy fizycznej, ale także liczna rzesza ludzi wykształconych, a niezadowolonych z losu.

Ten wielki zbiornik, ściągający ku sobie żywioty, na które w kraju miejsca niema, uważany jest za nieocenione dobrodziejstwo. Myśl, iż żywioty te nigdy nie nagromadzą się w ilości nadmiernej, napelnia Anglika otuchą i spokojem. Anglia powierza tych wydziedziczonych tem chętniej swoim koloniom, iż wie, że nie idą tam na przepadle. Emigrant angielski, wylądowawszy w kolonii, nie czuje się tam obcym. Znajduje się odrazu wśród ludzi, mówiących jego językiem, rozumiejących jego żądania. Znajduje zaraz po przybyciu kościół i pa-

stora. Znajduje szereg instytucji dobroczynnych, gotowych zaopiekować się nim w razie nieszczęścia. Anglik, stanąwszy na ziemi kolonialnej, nie potrzebuje oswajać się z obcym systemem sądów, z nowymi przepisami prawa. Nie jest on już w domu, a jednak prawie jak w domu. To też w Anglii przyjęto zasadę, że każdemu, kto się kwapi do kolonii, należy to ułatwiać. Objasnienia, wskazówki, rady, cenniki, plany jazdy, porozwieszane w urzędach parafialnych, w bibliotekach publicznych, w klubach ludzi ubogich, powiadają każdemu, co go tam czeka, co mu grozi i czego będą od niego żądali.

W rodzinach angielskich rozmowa często potrąca o kolonie. Ten pojechał, ów się wybiera, od tamtego była wiadomość. Nie brak i takich, co wrócili.

Bo wracają. Wracają oczywiście nie tacy, którym tam źle, bo jeżeli Anglikowi nie udało się w koloniach na chleb zarobić, to wie, że w kraju o to trudniej jeszcze. Wracają tacy, którzy się tam dorobili czegoś. Wracają jedni z większymi, drudzy z mniejszymi zasobami. Wracają tacy, co mają za co kupić pałacyk w Reigate, ale wracają też tacy, których chlubę stanowi to, że będą mogli nająć sobie skromny domek na przedmieściu.

W Wielkiej Brytanii i Irlandyi przybywa co trzy lata milion ludności. W domu niema miejsca na tę całą masę. Każdy czuje, że Anglia musi

czuwać nad tem, by dla wychodźców droga zawsze była otwarta. Z utratą kolonii mogłoby się to zmienić. I to jest właśnie jeden z powodów, dla których nawet ludzie, bardzo miłujący pokój i bardzo szanujący dzisiejszą autonomię kolonialną, przychylają się do zdania, że skoro Anglia ze Szkocją i Irlandyą nie mogą stale utrzymywać siły zbrojnej, któraby starczyła na obronę wszystkich posiadłości kolonialnych, to trzeba czynić przygotowania do nowej organizacji sił lądowych i morskich, obejmującej całe imperyum.

Drugą ceną korzyścią, jaką kolonie dają ziemi macierzystej, są zyski handlowe.

My, mieszkańcy lądu stałego, nie zdajemy sobie dostatecznie sprawy z tej niezmiernie ważnej okoliczności, że handel wszechświatowy, handel, łączący półkule globu ziemskiego i przeciwległe brzegi oceanów, nie jest to handel międzynarodowy. Nie, to jest handel angielski. Statystyka wielkich parowców handlowych z przed lat pięciu wykazywała, że w ciągu roku przewożono ogółem na tych statkach 10 milionów ton. Z tej ogólnej ilości przypadało 7 milionów na Anglię. Oceany są faktycznie w rękach Anglików. Dlatego też nie tak bardzo niedorzecznie brzmi ów paradoks, który przed kilku laty obiegał prasę: „Gdyby ocean wyschł, Anglia umarłaby z głodu“.

Niezmiernych bogactw, nagromadzonych na

ziemi angielskiej, bronią fale mórz, broni flota wojenna, bronią warowne przystanie. Jeżeli jednak ocean „ciemnowłosy“ jest dla Anglików taką studnią złotodajną, to trzeba zapytać, kto broni oceanu? Czy obmyślono tam za morzami dla handlowych okrętów angielskich odpowiednie schronienie na wypadek jakiejś wielkiej burzy wojennej? Czy na wybrzeżach tych dalekich ziem są twierdze, najeżone spiżami Armstronga, Kruppa, Skody? A jeżeli tych twierdz niema, to któż może je wznieść, jeżeli nie zjednoczone siły Wielkiej Brytanii z koloniami?

Tak rozumują ci, którym kolonie przedstawiają się nie jako jakiś skarb urojony, ale jako realne, dotykalne, widome bogactwo narodu.

Użyłem na wstępie wyrażenia, że kolonie angielskie dają rządowi mniej, niż tytuł na pozwie, dwa grosze z lanu i pospolitą wojnę. Wyrażenia mego gotów jestem bronić. Rządowi, jako naczelnej władzy państwa angielskiego, nie dają kolonie wiele, a gdybyśmy policzyli to, co Anglia, jako potęga kolonialna, wydaje na marynarkę i gdybyśmy dodali do tego procenty, które płaci od pożyczek, zaciągniętych niegdyś na politykę kolonialną, pokazałoby się może, że Anglia do swych kolonii dopłaca. Kto chce atoli mówić o koloniach angielskich, nie powinien pytać, czem są one dla rządu i państwa, lecz powinien się zastanowić nad

tem, czem są dla społeczeństwa angielskiego. Państwo do nich dopłaca, ale społeczeństwo ma z nich korzyści ogromne. Kolonie nie płacą podatków na potrzeby Anglii, ale też za to Anglia nie mogłaby ani w części pokrywać tych potrzeb, które dziś pokrywa, gdyby kolonie nie wzbogacały jej mieszkańców. Jest to krąg zamykający się ściśle. Rozzerwać go trudno.

A jednak myśl, że nie godzi się krępować samorządu tamtych ziem, miła jest sercu Anglika.

Posłuchajmy, co William Morris „artysta, poeta, dekorator, rękodzielnik, drukarz i reformator społeczny“, odnowiciel smaku artystycznego w Anglii, powiedział lat temu dwadzieścia w ratuszu w Burslem:

„Gdy w mieszkaniu mojem w Hammersmith siedzę przy pracy, dolatują mnie często przez otwarte okna dzikie i wyuzdane zwroty, miotane przez przechodniów. Ostatnimi czasy wspomniano nawet w dziennikach o tym objawie. Gdy słyszę ten wrzask i przekleństwa, będące hańbą dla mowy Szekspira i Milтона, gdy widzę na twarzach przechodniów brutalność i ciemnotę, czuję, że i we mnie budzi się złość brutalna i gniew mię zaczyna ogarniać. Zwolna dopiero przychodzi mi na myśl, że tylko dzięki urodzeniu i majątkowi znajduję się w tej sferze, wśród książek i dzieł sztuki, a nie tam, na ulicy, między szynkiem, pełnym woni

wódczanej, a brudnem i nędznem mieszkaniem. Jakże tę różnicę wyrazić w słowach? — Nie jest to tylko zwrot krasomówczy w mych ustach, gdy powiem, że zastanowiwszy się nad tem wszystkim, uczuвам gorące życzenie, by ta wielka ojczyzna nasza pozbyła się zatargów z innymi krajami, by się również pozbyła swych kolonii, a całą siłę swego, tak przez wszystkich cenionego ludu, tę siłę, której nie na świecie nie dorówna, obróciła na obudzenie ludzkich uczuć i ludzkich uciech w dzieciach tych biedaków“.

VIII.

Pan minister przed wyborcami. — Panowie w sali i panowie na estradzie. — Czego dokonał wiek ubiegły?

Plakaty zapowiadają, że Right Hon. Ritchie M. P. stanie w sobotę, dnia 6 października wieczorem, przed wyborcami miasta Croydonu, by się im ponownie przedstawić, jako kandydat do Izby gmin. Sposobności takiej omijać podróżnemu nie wolno. Mr. Ritchie był wówczas ministrem handlu. Niebawem miał zostać *the Home Secretary*.

Nie mogłem podczas pobytu w Anglii widzieć posiedzenia Izby. Warto przynajmniej usłyszeć mowę kandydacką ministra.

Więcej niż mowy, byłem ciekaw ogólnego wrażenia. Jak wyglądają wyborcy? Jaki ton panuje na zebraniu? Do kogo właściwie taki kandydat przemawia?

Zebranie wyglądało tym razem bardzo jednolicie. Kilka cylindrów zniknęło na sali w oceanie czapek. Natomiast około trzydziestu gentlemanów, ubranych elegancko, a stanowiących komitet miejscowy, popierający kandydaturę ministra, zasiadło na estradzie.

Nim prezes zagaił zebranie, jakiś młodzieniec o wytwornej powierzchowności, zeszedłszy z estrady, obszedł salę i prosił owych kilku panów w cylindrach, by zajęli krzesła tam, między komitetowymi. I tu zatem zauważyć można ów rys arystokratyczny, cechujący społeczeństwo angielskie.

Pan minister jest tym razem jedynym kandydatem w Croydonie. Wybory odbędą się więc bez walki. Głosowania nie będzie. Według ustaw angielskich wyborcy głosują tylko w takim razie, jeżeli o mandat ubiega się przynajmniej dwóch kandydatów.

Mr. Ritchie, mężczyzna silnie zbudowany, o energicznym wyrazie twarzy, przemawia spokojnie, przyspieszając niekiedy dykcję i podnosząc głos. Ton mowy świadczy o wielkiej pewności siebie. Mówca nie wątpi, że słuszność jest po jego stronie.

Było to właśnie w chwili, gdy wojna zbliżała się pozornie do końca. Pan minister stanął przed wyborcami, by zbierać laury. „Powiadają, że to rząd wybrał tę porę do rozwiązania Izby. Nie! To lord Roberts zwycięstwami swemi zdecydował

kiedy parlament ma być rozwiązany. Wojna skończona. Teraz niech kraj nas sędzi*.

Cała mowa to wielki okrzyk tryumfu. Apoteoza narodu, apoteoza armii, apoteoza Chamberlain'a. Pan minister z dumą wspomina, że jest pułkownikiem ochotników croydońskich, którzy tam, w Afryce chwałą okryli miasto rodzinne.

Jest mowa i o niewdzięcznych, nieoceniających zasługi rządu. Jest mowa i o tych, bardzo zresztą nielicznych Anglikach, którzy powtarzają za dziennikami paryskimi i berlińskimi oskarżenia, zwrócone przeciw charakterowi Chamberlain'a. „Jak nas mają szanować zagranicą — woła p. Ritchie — skoro my nie szanujemy się sami“. Wolne żarty, panie ministrze. Wybierz-no się waszmość do Warszawy.

Od czasu do czasu dają się slyszec glosy zaprzeczenia, głuchną jednak natychmiast w powodzi oklasków. Zwolna cała sala wpada w nastrój wojowniczy. Minister mówi o prześladowaniu osadników angielskich w Transvaalu, o niedoli Murzynów, z którymi tam postępowano, *as if they were dogs*, o obowiązkach Anglii, która nie może pozwolić, ażeby to trwało dłużej, i musi kres położyć uciskowi swych synów.

„Coby świat o nas powiedział, gdybyśmy się dali ponieierać, *if we permitted men of British*

origin to be trodden down and trampled under foot?"

Gdy nareszcie minister zakończył swą mowę zapewnieniem, że werdykt, który dziś wyborcy croydońscy wydadzą, będzie potwierdzony przez cały naród, w zebraniu panowała już harmonia zupełna. Rezolucyę, wyrażającą radość, wdzięczność, zaufanie, uchwalono wszystkimi głosami przeciw dwom.

Teraz zaczęły się podziękowania. Wnioskodawca, którego rezolucya tak wielkie miała powodzenie, dziękował ministrowi, minister dziękował przewodniczącemu, przewodniczący zapewniał, że choć w swoim życiu kierował obradami na niejednem zebraniu, nigdy pełnienie tego obowiązku nie sprawiało mu tyle radości, co dzisiaj.

Zgromadzeni rozeszli się w nastroju arcy-przyjemnym. Nikt nie przypuszczał, że za rok naród jeszcze będzie czekał zakończenia wojny.

Uspodobienie wyborców croydońskich podzielała wówczas Anglia w ogromnej większości. To zaś usposobienie narodu odbiło się nietylko na polityce zagranicznej, ale i na wewnętrznej.

W wielkim pochodzie od ustroju patryarchalnego ku ustrojowi demokratycznemu zatrzymała się Anglia na czas dłuższy. Zatrzymały ją dwie ważne sprawy. Przed ośmiu laty kwestya irlandzka, w której naród nie poszedł za głosem Gladstone'a,

obecnie zaś kwestya transwaalska. Obie te sprawy były przyczyną, że społeczeństwo, które dokonało olbrzymich reform w ciągu wieku, stanęło teraz na czas dłuższy po stronie zachowawców, odkładając dalsze przeobrażenia wewnętrzne na później.

Reformy, które wiek XIX przyniósł Anglikom w darze, można rzeczywiście nazwać olbrzymiami.

Anglia, która odprowadzała królowę Wiktoryę do grobu, nie była już tą Anglią, którą politycy ładu stałego za wzór sobie obierali w początkach wieku XIX. Zmieniły się jej ustawy, nowe czekają ją zadania. Została tylko tradycyjna, dziedziczna część dla dawnych zwyczajów politycznych, dla ducha dawnych praw, który pozostał, choć zeń zzuto dawną powłokę.

Zmieniło się przede wszystkim ciało wyborcze, wysyłające deputowanych do Izby gmin.

Parlamente, które sto lat temu uchwalały szalone sumy na wojny z Napoleonem, były to parlamente szlacheckie, parlamente ziemiańskie. Prawo obierania posłów związane było z własnością ziemską. Niektóre miasta przemysłowe nie były reprezentowane w Izbie; natomiast małe gminy, będące bawidelkiem w ręku potężnego lorda, miały własnego przedstawiciela.

Reforma z roku 1832 podwoiła w Anglii i Walii liczbę wyborców i, osłabiwszy przemożny wpływ najbogatszej warstwy ziemiańskiej, złożyła część

tych wpływów w ręce zamożnych i oświeconych warstw średnich. Ze szlacheckiego stał się parlament szlachecko-mieszczańskim. Bądź co bądź reprezentował on i w dalszym ciągu tylko najświetlejszą i najbogatszą część narodu.

W r. 1867 sięgnięto głębiej. Ta reforma rozszerzyła prawo głosowania na mniej oświecone warstwy mieszczaństwa, na wsi zaś wprowadziła na widownię życia politycznego całą rzeszę drobnych dzierżawców.

Dopiero rok 1884 był świadkiem reformy, stwarzającej prawdziwie demokratyczną podstawę pod gmach konstytucyi. Nie ogłoszono wprowadzie głosowania powszechnego, nie zrobiono każdego Anglika wyborcą, lecz faktycznie nadano prawo obierania posłów wszystkim osiadłym ojcom rodziny, wszystkim robotnikom, mającym mieszkanie stałe i, z wyjątkiem ruchomego proletaryatu, dopuszczono cały naród do udziału w życiu politycznym.

Przed epoką wielkich reform liczba wyborców wynosiła około 200 tysięcy. Ta drobna cząstka narodu rozstrzygała o tem, kto ma Anglii nadawać prawa, kto ma rozporządzać majątkiem kraju. I ci atoli uprzywilejowani nie byli niezawisłymi panami, gdy przyszło głosować na wyborach. Wskutek dziwnego podziału kraju na okręgi wyborcze, rządzili głosami, wyborców potężni lordowie. Obliczano, że 160 wielkich panów rozdawało według

woli 306 mandatów poselskich. Księżę Norfolk miewał do rozdania jedenaście, lord Lonsdale dziewięć miejsc w Izbie. W świecie politycznym powtarzano, że wszyscy posłowie z hrabstwa York obierani bywają na obiedzie u lorda Rockingham'a. Tak wyglądało ciało prawodawcze tej Anglii, która zachwycała się wierszami lorda Byrona, która popierała Greków w walce o wolność, a Belgię wzięła pod opiekę.

Dzisiaj liczba głosujących dorasta pięciu milionów. Dzisiaj ten tylko nie jest wyborcą, kto niema stałego dachu nad głową. Dzisiaj w ogólnej liczbie wyborców mają większość ludzie, żyjący z pracy rąk.

Minęły czasy, kiedy kierownicy opinii publicznej truchleli na myśl, co się stanie z Anglią, jeżeli do udziału w wyborach dopuszczeni zostaną ludzie, którzy gramatyki łacińskiej nigdy nie mieli w ręku i nie czytali Cyserona w oryginale.

Zmienił się zasadniczo stosunek między narodem a jego władzą prawodawczą, ale oprócz tej zmiany zaszły w politycznym ustroju Anglii jeszcze zmiany inne. Równoległe z przeobrażeniem władzy prawodawczej, przeobraziły się także władze administracyjne w kraju.

Odwieczną jednostką administracyjną była w Anglii parafia. Pastor, prawem patronatu osadzony na probostwie przez lorda, był pierwszym jej urzę-

dnikiem; każdy mieszkaniec, opłacający składkę na kościół, był zarazem członkiem zebrań parafialnych. Okręg parafii (*ecclesiastical parish*) był równocześnie okręgiem podatkowym (*land tax parish*), okręgiem cmentarnym (*Burial act's parish*), okręgiem dobroczynności (*poor laws parish*), okręgiem drogowym (*high way parish*). Niegdyś w zakrystyi (*vestry*), a potem w halli parafialnej, odbywały się pod przewodnictwem pastora zebrania komitetów: cmentarnego, drogowego, dobroczynnego. Każdy z nich był osobnem ciałem, niezależnem od innych, każdy miał osobne dochody, osobne rachunki, osobne wydatki.

Wyższą władzę administracyjną reprezentował wobec parafii sędzia pokoju. Łączył on w swej osobie władzę sądową z władzą administracyjną i posiadał bądź osobiste, bądź łącznie z całym grobem sędziów pokoju, prawo kontrolowania władz parafialnych.

Sędzia pokoju, mianowany przez króla z pomiędzy ziemian okolicznych, nie bywał urzędnikiem fachowym. Zrosnięty atoli ze stronami, w których miał urzędować, posiadał pewną znajomość spraw i radził sobie, jak umiał. O potrzebach mieszkańców nasłuchiwał się w domu od dziecka. Jeżeli nie jego ojciec lub stryj, to z pewnością któryś z blizkich sąsiadów bywał przed nim sędzią. Całe wychowanie domowe przysposabiało go do tego

urzędu. Gdy jako malec wyjeżdżał na kucu, a potem, jako młodzieniec, polował na lisa, interesował go każdy budujący się most lub szpital; każda nowa droga lub ochrona zwracała jego uwagę.

Liczba osób, z pomiędzy których król wybierał sędziego pokoju, była szczupła. Gdy wybór padł na jednostkę o mniej rozwiniętych zdolnościach, gentleman, zaszczycony nominacją, czerpał otuchę w odziedziczonym po przodkach przeświadczeniu, że urządzenie angielskiego hrabstwa i angielskiej parafii jest najdoskonalszą rzeczą na świecie i że, skoro dziad po mieczu i pradziad po kądzieli zdolali być dobrymi sędziami pokoju, to i on wstydu rodzinie nie zrobi.

Władza sędziego była rozległa. Wchodził on w czynności władz parafialnych, czuwał nad dobroczynnością, więzzeniami, rozkładem podatków, miał pod rozkazami policję, wydawał w wypadkach, przez prawo przewidzianych, rozkazy aresztowania, udzielał pozwoleń na otwieranie szynków i gospód, był opiekunem obłąkanych, sądził przytem drobniejsze sprawy, częścią sam, częścią jako członek ławy sędziowskiej.

Cały ten ustrój, którego filarami byli pastor ze swym kolatorem oraz sędzia pokoju, miał charakter niezmiernie patryarchalny i konserwatywny.

Władza spoczywała stale w rękach pewnej warstwy, spoczywała w nich przez nieprzerwany ciąg

pokoleń. Nabierała przez to niezaprzeczenie znamion przywileju.

Ustrój ten miał jednak równocześnie wybitną cechę autonomiczną. Parafianie, zgromadziwszy się w zakrystyi, czy to jako członkowie parafialnego związku drogowego, czy też jako członkowie związku dobroczynności, opodatkowywali się sami i sami decydowali o tem, jak ich grosz ma być użyty. Dwie potęgi, którym i parafianie i ich pastor ulegali, były to potęgi miejscowe. Jedną z nich był lord, właściciel całego obszaru, na którym się parafia mieściła. Kierował on się własnem zdaniem, i czy postępował źle, czy dobrze, nie troszczył się wiele ani o politykę gabinetu londyńskiego, ani o upodobania pojedynczych ministrów. Drugą potęgą był sędzia pokoju. Sędziego mianował wprawdzie król, ponieważ jednak sędziami pokoju mianowani być mogli tylko *possesionati*, posiadający własność ziemską w danej okolicy, przeto i na to stanowisko dostawali się ludzie, patrzący na świat z miejscowego punktu widzenia i niezbyt skorzy do ulegania poglądom, któreby im chciano narzucić ze stolicy.

Cały ten świat prowincjonalny rządził się sam w sobie. To, co się w innych krajach nazywa rządem, dawało jak najrzadziej uczuwać mieszkańcom swą wolę i swą siłę. Jak najrzadziej też uczuwali ją urzędnicy. Gdy ludność nabrała przekonania że

sędzia pokoju dopuszcza się nadużyć, że przysługujących sobie praw kontroli i nadzoru używa na złe, nie szła ze skargą do ministra. Byłaby to droga długa i niepewna, a według pojęć angielskich — zupełnie niewłaściwa.

Ludność radziła sobie sama. Zapozywała niesummiennego urzędnika przed właściwy trybunał. Wytaczała mu proces, o nadużycie władzy, o naruszenie praw, o kierowanie się prywatą, i uzyskiwała przeciw niemu wyrok, który go mógł w danym razie pozbawić urzędu.

Przez długie wieki opierała się parafia angielska wszelkim nawałnicom.

Wiek XIX poczynił w tej twierdzy szczyby nielada.

Już w pierwszej połowie stulecia parlament odebrał parafiom opiekę nad ubogimi. Dawne prawodawstwo, zachęcające niemal do próżniactwa i żebraniny, uległo całkowitej przemianie. Parafialne związki dobroczynności zniknęły z powierzchni ziemi, jako nieudolne i słabe, a miejsce ich zajęły okręgi zbiorowe (*unions*), obejmujące po kilkanaście dawnych związków. Zarazem zaś stworzono w Londynie osobny departament, z prawem ścisłego kontrolowania komitetów okręgowych.

Z kolei nastąpiła zmiana druga. Zniesiono przymusową składkę, którą mieszkańcy parafii opłacali dawniej na cele kościelne. Reforma ta miała na-

stępstwa donośne. We wszystkich sprawach świeckich, załatwianych w parafii, mógł dawniej zabierać głos tylko ten, kto opłacał ową składkę kościelną. Parafia duchowna i parafia świecka (*civil parish*) były wskutek tego ściśle ze sobą złączone. Składały się z tych samych członków, zajmowały ten sam obszar. Zniesienie składki przymusowej rozerwało ten odwieczny węzeł. Mieszkaniec, który dziś składki kościelnej nie płaci, nie wyrzekł się przez to chęci korzystania z parafialnych dróg, mostów, czytelń i studzien, jak również nie zrzucił z siebie obowiązku opłacania podatków parafialnych na te świeckie cele.

Parafia świecka musiała się urządzić samodzielnie, pozostawiając parafię duchowną jej własnym losom. Dzieła tego dokonano ostatecznie w r. 1894.

Ustawa, uchwalona w owym roku, uwieńczyła dzieło reformy wewnętrznej. Z Anglii feudalnej zrodziła się Anglia nowa, Anglia wieku XX, mająca silną podstawę demokratyczną u dołu, a jednolitą i skoncentrowaną władzę rządową u góry.

Pod toporem reformatorów padło przedewszystkiem to, co stanowiło najwyraźniejsze znamię średniowieczny: padła władza administracyjna sędziów pokoju. O ile wogóle można mówić o sprawach angielskich, posiłkując się terminologią, przyjętą na łądzie stałym, o tyle powiedzieć można,

że sędzia pozostał sędzią, a przestał być piastunem feodalnej władzy administracyjnej.

Na gruzach wzniesiono gmach nowy w stylu nowożytnym.

Parafia świecka, odłączona zupełnie od parafii kościelnej, stała się sama dla siebie podstawą nowego ustroju. Parafii kościelnej pozostawiono możliwość utrzymywania i nadal zakładów dobroczynnych i wychowawczych, jeżeli jej członkowie chcą to uczynić z dobrej woli. Natomiast sekularyzacya parafii świeckiej zamieniła ją w to, cośmy przywykli w innych krajach nazywać: gminą.

Ustrój tej parafii, tej gminy angielskiej, jest zupełnie demokratyczny. Najwyższa władza spoczywa w łonie Zgromadzenia gminnego (*parish meeting*), które w gminach rozleglejszych składa tę władzę w ręce obieralnej Rady gminnej (*parish council*). Równie jak dawna parafia, nie obejmuje i nowa gmina wszystkich dziedzin administracyi. Sprawy szkolne, drogowe, zdrowotne i piecza o ubogich nie leżą w jej zakresie działania. Zarządza ona natomiast tą częścią majątku parafialnego, który służyć ma celom świeckim: zajmuje się oświetleniem, wodociągami, groblami, czytelniami publicznymi i tymi tysiącnymi drobiazgami, które pociąga za sobą wzorowa gospodarka gminna.

Obok parafii, która stała się faktycznie „gminą“ w znaczeniu kontynentalnem, mamy u dołu

trzy inne ciała zbiorowe: „dystrykt“, zajmujący się utrzymywaniem dróg i wszelkimi funkcjami sanitarnymi, „unię“, mającą pieczę nad dobroczynnością publiczną, a wreszcie „okręg szkolny“, dostarczający ludności szkół i nauczycieli, o ile potrzebie tej nie uczynią zadość szkoły kościelne i prywatne.

Każdy z tych trzech organizmów rządzony jest, podobnie jak parafia świecka, przez władzę obieralną. *District council, board of guardians i school board*, trzy ciała obieralne, czuwające nad środkami komunikacyi, nad zdrowiem, nad losem ubogich, nad oświatą, są z natury swej ogniskami, w których skupiają się, podobnie jak w Radzie parafialnej, żądania i pragnienia mas demokratycznych. Ślady organizacyi feodalnej pozostały w nazwach, formalnościach urzędowych, poniekąd w podziale funkcyi publicznych. Istota władzy przeszła w ręce ludu. *Parish council, guardian board, district council, school board* obierane są na tych samych zasadach, na których oparte są wybory do parlamentu. Z tych samych więc powodów, z których demokratyczną stała się Izba gmin, demokratyczne są także wszystkie władze prowincjonalne.

Ale duch demokracji sięgnął wyżej.

Ponad parafią stoi hrabstwo. Zarząd tej jednostki terytoryalnej powierzono także ludowi. Hrab-

stwem rządu *County Council*, Rada hrabstwa. Mamy tu znowu władzę demokratyczną, władzę obieraną przez lud. Ona sprawuje właściwe rządy na prowincyi. Wydaje rozporządzenia i nakłada kary na nieposłusznych, opodatkowuje mieszkańców na cele, leżące w zakresie jej działania, kontroluje i zatwierdza uchwały władz niższego rzędu, zakłada szkoły fachowe, domy obłąkanych i zakłady dla nieuleczalnych, popiera i organizuje emigrację, a w czasach ostatnich stara się wraz z władzami miejscowymi o tworzenie mniejszej własności ziemskiej, o wskrzeszenie zamarłej przed dwoma wiekami klasy włościańskiej.

Cóż można było zrobić więcej dla zdemokratyzowania całej maszyny administracyjnej? Trudno było zaiste przebyć w tak krótkim czasie drogę dłuższą. Trzeba było atoli pomyśleć także o przysposobieniu hamulca. Spostrzeżono to i hamulec sporządzono.

Od dwudziestu lat istnieje w Anglii to, bez czego niepodobna wyobrazić sobie państwa nowożytnego. Anglia musiała i pod tym względem zbliżyć się do zwykłego typu państw. Gdy wiek XIX chylił się do grobu, stworzyła w Londynie naczelną władzę administracyjną, główną oś całej maszyny, coś, coby gdzieindziej miało nazwę ministerjum spraw wewnętrznych, a co tam nazwano

Local government Board ¹⁾). Ten urząd naczelny, wyposażony władzą ogromną, ma zrównoważyć demokratyczne i odśrodkowe prądy we władzach obieralnych. Ma on prawo wglądać wszędzie, obalać i zatwierdzać uchwały, dyscyplinarnie karać urzędników, mianowanych przez władze autonomiczne, rozszerzać w danych wypadkach kompetencję tych władz i pozwalać im na szukanie nowych środków materyalnych. Naczelnik tego urzędu mający rangę ministra i miejsce w gabinecie, ma dziś w sprawach hrabstw i dystryktów, unii i parafii taką władzę, jakiej przedtem żadna jednostka nie miała. *Local government Board* oznacza ilość członków, z których ma się składać Rada każdego hrabstwa. Rada taka może ogłaszać wprawdzie przepisy powszechne (*bye-laws*) rodzaj ustaw, obowiązujących w granicach hrabstwa, za przekroczenie zaś ich nakładać karę do wysokości 25 fun-

¹⁾ Organizacja władz angielskich jest tak odmienna od organizacyi ich w państwach ładu stałego, iż wszelkie porównania zawierają w sobie z konieczności pewien błąd zasadniczy. Ani *Local government Board*, ani *Home office* nie odpowiada ściśle pojęciom naszym o ministerjum spraw wewnętrznych. Jeżeli atoli przez ministerjum to rozumiemy najwyższą instancję w sprawach administracyjnych, to władzą, która funkcyę tę spełnia w Anglii, jest *Local government Board*. Porównaj: M. Vautier „Le gouvernement local de l'Angleterre“ str. 242, 348 i następne.

tów; ale każde takie rozporządzenie nabiera dopiero wówczas mocy obowiązującej. jeżeli w ciągu czterdziestu dni po ogłoszeniu nie zostało zniesione przez władzę centralną.

Local government Board czuwa z Londynu nad administracją hrabstwa, dystryktu, unii, okręgu szkolnego, parafii: w miarę potrzeby udziela każdej z tych jednostek nowego pełnomocnictwa do spełniania funkcji publicznych, lub też ogranicza jej zakres działania. Urząd ten, który, jak wspomniałem, można porównać jedynie z ministeryum spraw wewnętrznych, opiekuje się nawet majątkiem hrabstw i nie pozwala Radom rozporządzać nim samowolnie. Gospodarka finansowa kraju całego podlega dziś ścisłemu nadzorowi rządu. Jest to konieczne, państwo udziela bowiem władzom autonomicznym znacznej zapomogi, odstępując im różnych źródeł dochodu. Stanowi to kilkanaście milionów funtów rocznie. Kto z takim występuje daniem, ma prawo do przyglądania się gospodarce z blizka.

Porównajmyż Anglię z czasów napoleońskich z Anglią dzisiejszą.

Izba lordów nie uległa napozór zmianie. W swej istocie atoli przeobraziła się niepospolicie przez napływ zdrowej krwi mieszczańskiej. Na 588 członków tej Izby, znajdziemy przeszło połowę takich, których przodkowie nie zasiadali na jej la-

wach za Wilhelma IV, stryja i poprzednika królowej Wiktoryi.

A cóż dopiero Izba gmin!

W hrabstwie i parafii zniknęła w tym samym czasie dawna potęga ziemiaństwa i kleru. Władza przeszła w ręce ludu.

Gdy teraz zestawimy ze sobą te dwa światy, przedzielone niemal całym stuleciem, to świat zamierzchły przedstawi nam się w postaci ustroju patryarchalnego, a zarazem wyróżniającego się niezmierną decentralizacją; świat współczesny natomiast posiada dwa znamiona wprost przeciwne tamtym: szeroką podstawę demokratyczną i skłonność do coraz większego wzmacniania centralnej władzy rządowej.

Dla nas, przybywających z lądu stałego, ma ta ewolucya jeszcze inne znaczenie. Robi ona z Anglii państwo podobne do państw innych, zacierając ten dawny wyjątkowy charakter urzędów angielskich, których z niczem nie można było porównać.

Zniknęła dawna parafia, którą rządził pastor, ulegający woli swego lorda; zniknął dawny wpływ możnych ziemian, piastujących urzędy lokalne niemal dziedzicznie; zniknęły dawne związki drogowe, wodne, dobroczynne, rządzące się autonomicznie i nie nagabywane przez żadną władzę londyńską, a natomiast powstały Rady hrabstw i gmin, obierane wprowadzicie przez całą ludność, co im nadaje

charakter demokratyczny, ale też zarazem posiadające organizację, nadaną im przez władzę centralną, kontrolowane w swych czynnościach przez władzę centralną, opodatkowujące ludność według prawideł, obmyślanych przez władzę centralną, będące częstkami wielkiej maszyny, ujętej w całość przez władzę centralną.

Rzućmy teraz okiem na to, co się działo na kontynencie europejskim przez dwa ostatnie wieki. W ciągu tego czasu scentralizowała się i zdemokratyzowała Francya, scentralizowały i zdemokratyzowały Niemcy, scentralizowały i zdemokratyzowały Włochy. Prąd ku centralizacji i ku ustrojowi demokratycznemu widoczny jest nawet tam, gdzie niejaki pozory zdają się przemawiać przeciw temu. Zdemokratyzowało i scentralizowało się państwo węgierskie, które w wieku XVIII było luźnym związkiem państwerek szlacheckich, zwanych komitatami, a nawet, jeżeli pominiemy Galicyę, która dwieście lat temu do Austryi nie należała i jeżeli stan habsburskich krajów dziedzicznych, jaki był za Karola VI, porównamy ze stanem dzisiejszym, to będziemy musieli ostatecznie przyznać, że zcentralizowała i zdemokratyzowała się, mimo wszelkich wahań to w jednym, to w drugim kierunku, także i Austrya.

Konserwatywna i arystokratyczna Anglia, Anglia Wellington'a i Castlereagh'a opierała się temu

prądowi długo. Dzisiaj widzimy, że dostał się on przez morze i do niej. Wielki ten przewrót dokonał się tam w sposób prawdziwie angielski, z wielkiem poszanowaniem przeszłości, z zachowaniem dawnych nazw, tytułów, form, ale co raz dokonane zostało, tego już żadna siła nie odrobi.

Czy wszyscy Anglicy dumni i szczęśliwi są z tego, co się stało? Niekoniecznie.

Centralizacya sprawia, że rządy patryarchalne zamieniają się zwolna na rządy urzędnicze. Nad wzmaganiem się pierwiastku urzędniczego biadał już człowiek, któremu nikt nie zarzuci, że nie oceniał należycie postępu, biadał Herbert Spencer. Wraz z nim wielu innych widzi dziś w Anglii zarodki nowej choroby, którą nazwano *functionarism'em*.

Przeobrażenie Izby gmin w duchu demokratycznym nie dało również narodowi tych wszystkich korzyści, których oczekiwano. Poziom zdolności, poziom wiedzy, poziom wymowy nie podniósł się przez to, lecz obniżył.

„Rzecz oczywista — powiada mi młody Anglik, objawiający w każdym słowie zamiłowanie do polityki i temperament polityczny — rzecz oczywista, iż śmiesznem nam się to wydaje, gdy czytamy, że cały okręg wyborczy, składający się z kilkunastu głosujących, obierał deputowanym tego, kogo sobie upodobała jego lordowska mość, lub gdy się dowiadujemy, że znakomici ludzie zamiast ubiegać

się o głosy współobywateli, pielgrzymowali do wielkopańskiego zamku, gdzie mieszkał *duke, marquess* lub *earl*, rozporządzający mandatem poselskim. Średniowieczne pojęcia przeżyły się. Reforma była nieunikniona. Ale niech mi pan wierzy, że gdyby taki literat lub uczony, przyjechawszy prosić lorda o poparcie kandydatury, zaczął się popisywać przy obiedzie takimi bezdennymi absurdami, jak te, które dzisiaj kandydaci wygadują na zgromadzeniach wyborców, to w całym zamku zapanowałaby wesołość bez granic, a kandydat musiałby wyjeżdżać, jak niepyszny. Owa dawna Izba gmin, zawdzięczająca żywot barbarzyńskiej i przestarzałej ustawie wyborczej, zdobywała się na takie czyny, jak emancypacja katolików, jak reforma wyborcza, jak pierwsze obniżenie cel zbożowych, a wreszcie obdarzenie wolnością przynajmniej pewnej części Murzynów w naszych koloniach. Czemu się może pochwalić dzisiejsza zdemokratyzowana Izba? Samorząd irlandzki, który nas nie minie, poszedł w zapomnienie; w sprawie ubezpieczenia robotników zostaliśmy po za innymi państwami, a to, że parlament rzucił się na ślepo wraz z rządem w nieszczęśliwą wojnę z Boerami, wiadome jest światu całemu“...

Pytanie, czy wszystko, co zrobiono, wyszło narodowi na dobre, ma nie tylko teoretyczne znaczenie. Kwestya ta posiada doniosłość praktyczną, de-

mokracja angielska nie poprzestaje bowiem na odniesionych zwycięstwach, lecz chce iść dalej w kierunku, w którym szła przez wiek cały.

Ażeby zostać sędzią pokoju, ażeby objąć urząd, z którym do niedawna połączona była władza ogromna, a który dziś jeszcze zapewnia wpływy znaczne, nie zdaje się w Anglii egzaminu żadnego. Ale też lord-namiestnik, przedstawiając kandydatów do nominacji, wie, że ci, których nazwiska wypisał na liście, przeszli przez szkołę życia, wyciskającą na każdej jednostce piętno niesłuchanie silne i dającą daleko większą rękojmię uczuć obywatelskich i karności społecznej, niż wszelkie pergaminy, opatrzone w podpisy i pieczęcie.

Lord-namiestnik wie, że ten, kogo kanclerzowi do nominacji przedstawia, wychował się w Winchester, w Rugby lub w Eton, to znaczy, że przez lat ośm lub dziewięć rówieśnicy i koledzy starsi wpajali mu przykładem, zachętą, a w razie potrzeby pięścią te zasady gentlemańskiej rzetelności, których młody Anglik uczy się na trawniku, grywając w *foot-ball* lub w *cricketa*, a które pozostają mu na całe życie; lord-namiestnik wie, że kandydat, polecony przez niego, brał potem, jako młodzieniec udział w wielkich igrzyskach sportowych, to znaczy, że dał dowód, iż umie władzy słuchać i że przyrzekłszy poddać się surowym przepisom „trainingu“, zdołał słowa dotrzymać; lord-namie-

stnik wie, że jego protegowany, jak tego ustawa wymaga, odziedziczył kawał ziemi i to kawał spory, to znaczy, iż bez względu na to, czy pochodzi z rodziny arystokratycznej, czy mieszczańskiej, wychował się w domu, w którym od kilku pokoleń istnieje zasobna biblioteka i zbiór obrazów i archiwum rodzinne, i to wszystko, co wpływa na rozwój umysłowy dziecka; lord-namiestnik wie, że przysły sędzia pokoju zasiada już nie w nawie kościelnej z ludem, ale w prezbyteryum ze starszymi gminy kościelnej, to znaczy, że dał już jakiś dowód zainteresowania się sprawami parafii; lord-namiestnik wie wreszcie, że ten młody nowicyusz w karierze politycznej posiada, jako wykształcony Anglik, dwie dość pospolite zalety: jest bogaty, a więc niedostępny dla wielu pokus doczesnych, nadto zaś ma niezachwianą wiarę we własne siły i nie straci nigdy kontenansu.

Te kwalifikacje wystarczają. Żaden komisarz rządowy nie egzaminował kandydata, żadne ustanowione przez rząd kolegium nie miało dla niego specjalnych wykładów. Lord-namiestnik, kanclerz państwa i sam król-jegomość wychodzą z zasady, że skoro kandydat chce naprawdę służyć krajowi, a wychował się wśród warstwy, która tę służbę publiczną od sześciu wieków pełni, to należy przypuścić z czystym sumieniem, że społeczeństwo spełniło samo zadanie, które w innych kra-

jach spełnia rząd, i ujęło indywidualność przyszłego urzędnika w dostateczne karby.

Jest to oczywiście rozumowanie przedpotopowe i patryarchalne, rozumowanie, przyznające z góry pewnym warstwom społecznym przywileje, do których nie mogą rościć sobie prawa warstwy inne, ale jest to zarazem rozumowanie, charakteryzujące Anglika i zrosnięte jak najsilniej z tradycjami jego kraju.

Ponieważ jest tak patryarchalne, tak konserwatywne, tak średniowieczne, przeto walka z dzisiejszym systemem mianowania sędziów pokoju stanowi jeden z punktów demokratycznego programu. Grupy, chcące reform społecznych, żądają obieralności sędziów. Ale właśnie dlatego, iż dzisiejszy sposób obsadzania tych posad jest tak typowo angielski, przetrwa on zapewne niejedno pokolenie.

Bo w kraju tym zdobywają się na reformy, gdy ominąć ich nie można, ale w reformach nie zapędzają się zadaleko.

Zapewne! Dzisiejszy ustrój maszyny rządowej przypomina pod niejednym względem to, co widzimy we Francyi lub w Prusach, ale ileż w nim pozostało jeszcze odwiecznych znamion angielskich, ileż rysów, których nie spotykamy w żadnym innym państwie!

Jednem z tych znamion jest pozostawienie każdemu obywatelowi jak najszerszej inicjatywy.

Jeżeli trzeba, żeby urząd coś zrobił, niechże ktoś wystąpi z żądaniem. Wywiązuje się z tego rozprawa publiczna, mająca cechę procesu sądowego, a ostateczna decyzja ma formę wyroku.

Na drodze popsuł się most. *District Council* nie myśli o naprawie mostu.

Anglik, który czuje się poszkodowany, może zapozwać tę władzę przed ławę sędziów pokoju. Sędziowie badają rzecz bądź osobiście, bądź za pośrednictwem biegłych, a uznawszy skargę za uzasadnioną, wydają wyrok, skazujący *District Council* na naprawienie drogi. Jeżeli to nie skutkuje, ława sędziów pokoju woła robotników, którzy stawiają most, władzę drogową zaś skazuje na zwrot kosztów.

Jeżeli *District Council* usuwa się zasadniczo od obowiązku naprawiania tego mostu, sprawa może przybrać postać procesu karnego i dostać się przed ławę przysięgłych.

W hierarchii władz stoi ponad władzą drogową, ponad *District Council'em*, Rada hrabstwa, *Country Council*. Jakież środki egzekucyi ma ta władza wyższa wobec niższej? Do dnia dzisiejszego w niektórych wypadkach musi uciekać się do wyroku sądowego.

Cóż się jednak dzieje, jeżeli Anglik nie ma ani dosyć czasu, ani dosyć śmiałości, ani dostatecznej

znajomości ustaw, by się prawować z władzami lub z możniejszymi od siebie?

W takim razie ucieka się do pomocy współobywateli, którzy mu nie odmawiają opieki.

Oto możny lord kazał postawić drewnianą poręcz na pastwisku i zagroził nią ścieżkę, którą ludzie chodzili od niepamiętnych czasów. Dzieci, idąc do szkoły, muszą teraz nakładać ogromny kawał drogi.

Cóż robi ubogi rzemieślnik, posyłający syna do szkoły?

Siada i pisze list do „Towarzystwa ochrony ścieżek“, mającego siedzibę w Londynie.

Towarzystwo bada przede wszystkim przez ludzi zaufanych rzeczywiste położenie rzeczy, a przekonawszy się, że słuszność jest po stronie rzemieślnika, zwraca się do lorda z prośbą o usunięcie baryery.

Prośba pozostaje bez skutku.

Wówczas Towarzystwo zawiadamia jego lordowską mość, że poręcz będzie tego a tego dnia, o tej a o tej godzinie przez osobną delegację Towarzystwa uroczyście zrąbana.

Cóż na to lord?

Najprościej byłoby dla niego posłać strzelca z dubeltówką i kazać rozpędzić zacne bractwo na cztery wiatry.

Lord tego nie zrobi. Gdyby bowiem sąd uznał,

że ścieżka była publiczna, i że zagrodzono ją bezprawnie, i gdyby się nadto pokazało, że strzelec, nie zdejmując nawet dubeltówki z ramienia, przez proste dotknięcie ręką ośmielił się kogokolwiek na tej publicznej ścieżce zatrzymać, mogłoby to mieć bardzo niemile następstwa i dla samego lorda i dla wykonawcy jego rozkazów.

Lord zachowa się zatem biernie, a delegacya Towarzystwa, złożona z osób znanych w okolicy zrabie baryerę ku niesłychanej uciesze młodego pokolenia.

Niech teraz lord występuje ze skargą. Ponieważ Towarzystwo nie wczytało sprawy bez dokładnego rozpatrzenia się we wszystkich jej szczegółach, przeto wyszłoby prawdopodobnie z tego procesu zwycięsko.

IX.

Konserwatysta czy postępowiec? — Anglia dawna i Anglia nowa. — Anglik na łądzie stałym i Polak w Anglii.

Czyż więc charakteryzując to społeczeństwo, powiemy, że przeważa w niem postępowość, czy może nazwiemy je konserwatywnem?

Oto obrazek z życia.

Mr. Edgar skończył lat dwadzieścia. Mięśnie ma, jak stal. Oczy, jak dziewczyna, niebieskie, łagodne, duże.

Mr. Edgar pracuje ciężko. Matka zarządza domem. Młodsze siostry rozeszły się po świecie, by uczyć cudzą dziatwę lub zarabiać na chleb w wielkich magazynach londyńskich. Dwie starsze mieszkają z nim i z matką. Codzień po śniadaniu cała trójka biegnie z domu do poblizkiego miasta, w południe wpada do domu na krótki posilek i znowu spieszy do pracy. Życie idzie całej rodzinie wśród kłopotów i znoju.

Mr. Edgard wie, że społeczeństwo już się na nim poznało. Parafia kongregacyonistów, stanowiących dzisiaj najsilniejszą może sektę angielską, buduje na nim wielkie nadzieje. Na tegorocznych dożynkach, na najpiękniejszej z angielskich uroczystości kościelnych, gdy cała świątynia, pełna zbóż, traw i warzyw, tchnęła wonią pól i łąk, Mr. Edgar siedział nie z rodziną w ławce, lecz w stalli w prezbiterjum między siwowłosymi patryarchami gminy. — W Zjednoczeniu młodzieży chrześcijańskiej należy on do komentatorów Pisma świętego, najmilej słuchanych i najliczniejsze miewających audytoryum.

Mr. Edgar nie zna smaku napojów wyskokowych; zachwyca się Szekspirem, ale nie był dotąd i, jak zapewnia, nie będzie do końca życia w teatrze; nie wie, co to jest upoić się wirem walca; nie było dotąd wypadku, żeby bez jakiejś nadzwyczaj ważnej przyczyny wsiadł w niedzielę na kolej żelazną.

Nie dotyka ustami kieliszka, bo, zdaniem jego, tylko bezwarunkowa i nieustanna wstrzemięźliwość ludzi oświeconych może utrwalić w Anglii zasadę, że alkohol jest trucizną. Nie chodzi do teatru, bo powiada, że tylko przez niebywanie na widowiskach możnaby zmusić dyrekcję do zupełnego zerwania z plugawą literaturą, obniżającą poziom gustu. Kto wie, czyby nie tańczył, gdyby pląsy

dzisiejsze były podobne do greckich. Koleją zaś nie jeździ w niedzielę, bo, chociaż ruch pociągów jest w tym dniu ogromnie zmniejszony, to jednak zdaje mu się, że jeszcze za wielu konduktorów, maszynistów i tragarzy musi zaniedbywać w tym dniu służbę Bożą dla wygody publiczności.

Mr. Edgar nie ustąpi nikomu, gdy na zielonej murawie rozgrywa się partya football'u. Wszak ma lat dwadzieścia, a w grach narodowych ćwiczył się od małości.

Na pół roku przed przyjazdem do Anglii zjechałem się z nim w Niemczech. W towarzystwie, w któremś byli, znalazł się młody Niemiec, znający Anglię i życie angielskie. Zgadało się o teatrze, przyczem Niemiec krytykował bez litości scenę angielską i angielskich aktorów. Mr. Edgar skrzyżował ręce i widać było, jak mu nabrzmiwają jego wygimnastykowane bicepsy. Anglikowi wolno omijać teatr angielski, ale Niemcowi wygadywać na niego — zasię! Błękitnemi oczyma patrzył na Niemca, jakby mu chciał powiedzieć: „Wyboksowałbym cię, kochanie. Cóż kiedy się na tem nie poznasz!“.

Po raz pierwszy znalazłem się w domu jego matki na parę dni przed wyborami do Izby gmin. Wiedzano już powszechnie, że konserwatyści wyjdą z walki zwycięsko.

— Można więc państwu powinszować zwycię-

stwa. Kandydat konserwatywny i tu będzie miał większość.

— Ależ nasze sympatyje są właśnie po stronie przeciwnej.

— To państwo zaliczacie się do partji liberalnej?

I my i wszyscy nasi przyjaciele. Ci gentlemani, których Pan poznałeś, wychodząc z kościoła, należą do opozycji.

— A ja byłem pewny, że jestem wśród konserwatystów! Takby was nazwano na lądzie stałym!

— Czy dlatego, że się modlimy głośno przed obiadem?

Dwudziestoletni mój przyjaciel tłumaczy mi, jakie stanowisko zajmują wobec sytuacji politycznej ci, wśród których wyrósł i którym za-wierzył.

— I nasz pastor, i prezes naszej szkoły niedzielnej, i my wszyscy zaliczamy się do postępowców, bo chcemy, żeby parlament pomyślał nareszcie o ludności ubogiej; chcemy, żeby się jej nie dał rozpijać; chcemy, żeby się zabrał do szynkarzy. Przejdź się Pan tylko po naszym mieście. Co się mieści w najwspanialszych lokalach? Szynki! Jeżeli Pan gdzie zobaczy marmurowe kolumny, granitowe odrzwia, szyby jednolite od góry do dołu, bądź Pan pewny, że to szynkownia. I co się

w tych jaskiniach dzieje! Ludzie się zapijają. Kto pragnie postępu, musi żądać od parlamentu, żeby temu koniec położył!

— Ale czyż nie wystarczy tu walka, jaką jednostki i stowarzyszenia toczą z pijaństwem? — Czyż taka działalność samego społeczeństwa nie jest bardziej zgodna z tradycjami waszego narodu?

— Nasi konserwatyści mówią dużo o tradycjach, a tymczasem o co innego tu idzie...

Gdy mamy lat dwadzieścia, z łatwością tworzymy programy polityczne; skorzy wówczas bywamy do oskarżania przeciwników.

— Tu idzie — mówi młody polityk, zapalając się coraz bardziej — tu idzie o obronę browarów i gorzelń. Anglia jest w niewoli u piwowarów. — Oni nam piszą prawa. Popatrz Pan, ilu ich siedzi w Izbie gmin, a ilu w Izbie lordów.

Młodość przesadza chętnie. Rządzenie Anglią jest trochę trudniejsze, niż się zdaje memu przyjacielowi. Zwalczenie pijaństwa nie jest także rzeczą tak prostą. W jednym atoli względzie ma nasz Anglik słuszną zupełną. — Postęp polega w Anglii nie na obalaniu tego, co przez pokolenia stanowiło istotę życia, lecz na tem, ażeby zapomocą wszelkich środków budzić zamiłowanie do tych obyczajów narodowych tam, gdzie dotychczas przeważają skłonności inne. — Oba wielkie stronnictwa

dążą ostatecznie do tego samego celu. Oba pragną, ażeby najuboższy Anglik nabrał zamiłowania do schludności i trzeźwości, do życia domowego i do uczynków miłosiernych, do gier narodowych i narodowego piśmiennictwa. Różnica tkwi w tem, że zachowawcy woleliby, ażeby ta wielka przemiana odbyła się drogą naturalnej ewolucyi społecznej, z zachowaniem dawnych form ustroju, bez przebudowywania wielkiego gmachu, budowanego przez lat tysiąc, a postępowcy chętnie zreformowaliby organizację państwa tak, ażeby zamienić ją w narzędzie, mogące tę ewolucję przyspieszyć. W ciągu wieku XIX zaznaczyło się to niejednokrotnie. Postępowcy byli za objęciem przez państwo steru spraw uniwersyteckich i steru oświaty ludu, byli za kontrolą państwa nad władzami autonomicznymi. Konserwatyści, niechętni w zasadzie temu rozszerzaniu władzy państwowej i przywiązani gorąco do dawnego ustroju, ustępowali zwolna liberałom, a niekiedy uprzedzali ich nawet i sami wprowadzali w życie reformy, proponowane przez przeciwników, wychodzili bowiem z zapatrywania że lepiej jest dokonać dzieła, gdy się ma władzę w rękę, niż czekać, aż go po naszym upadku dokona obóz przeciwny.

Ich wspólny ideał: uobywatelenie mas, przysporzenie krajowi nowego zastępu „gentlemanów“, utrwalenie odwiecznego typu — można według

terminologii, ustalonej na kontynencie, nazwać ideałem konserwatywnym.

Ale ten wspólny ideał można nazwać także postępowym, bo gdy się kiedyś urzeczywistni, szerokie warstwy będą uczestniczyły w tem, co było dawniej udziałem małej garstki. Dlatego też konserwatysta angielski ma w sobie zawsze rysy postępowe.

Widzieliśmy, jak się państwo angielskie demokratyzowało, jak się zmieniło w swej wewnętrznej istocie. Ten sam duch postępu, który dokonał tej zmiany, wzywa teraz tę przeobrażoną w swych podstawach władzę do przeprowadzenia nowych reform, a przedewszystkiem do zajęcia się oświatą ludu, walką z alkoholizmem i dołą robotników na starość.

Czyż nazwiemy konserwatywnym kraj, który pierwszy wytworzył wzór nowożytnego parlamentaryzmu, który już w wieku XIV zniósł poddaństwo ludu wiejskiego, w wieku XVIII miał już niezawisłe dziennikarstwo, a w XIX zbudował pierwszą na świecie kolej żelazną?

Czyż atoli możemy nazwać postępowym naród, w którym skłonności arystokratyczne zakorzenione są tak głęboko? Czy możemy nazwać postępowym naród, który, odmawiając litanie, modli się do dnia dzisiejszego osobno za pomyślność szlachty, a osobno za pomyślność ludu? — naród,

w którym dzieci ludzi bogatych wychowują się jak najdalej od dziatwy ubogiej, żeby przez zetknięcie nie nabrały wymowy gminnej? naród, który zachował dawne życie religijne, z jego wszystkimi formami? naród, który i w murach parlamentu, i w kolegiach uniwersyteckich, i na dworze królewskim stara się przechowywać z drobiazgową ścisłością dawne formy, dawne stroje, dawne obchody uroczyste?

Wyobraźmy sobie odwieczny, staroświecki dom, zamieszkały przez rodzinę konserwatywną do szpiku kości. Kocha się ona we wszystkich pamiątkach z lat odległych. I tabakierka po pradziadku, i kołowrotek prababuni przechowywane są z poszanowaniem. Wszelka myśl o zmianach napelnia mieszkańców przerażeniem. Nie wolno się odezwać, że ta lub owa część jest niewygodna i ciasna. Nie wolno wspomnieć o przebudowaniu. Mieszkali w tym domu ludzie, którzy bijali Francuzów pod Waterloo, i było im dobrze. Niechaj więc ten sam dom służy i późniejszym pokoleniom.

Ale ta sama rodzina jest z dziada pradziada niesłychanie pracowita. Nikt w tym domu nie umie siedzieć z założonemi rękami; wiadomo zaś, że z pracowitości rodzi się zamożność. Mając za co, ludzie ci jeździli wiele po świecie, a w podróżach nabrali wykwintnego gustu. Każdy członek rodziny, gdziekolwiek go losy zanosły, pamiętał nieustannie

o domu. I oto co parę miesięcy przybywa pod stary dach jakaś osobliwość zamorska. To kobierzec, to kotara, to stół mozaikowy, to znowu waza onyksowa. I oto stary dom świeci się od przepychu.

Ale i ci, co nie ruszyli w świat, nie umieją próżnować. Młodzi i starzy muszą mieć zawsze jakieś zajęcie: więc jeden zbudował wodociąg, drugi sporządził dzwonki elektryczne, trzeci urządził wentylację wzorową, inny połączył dom z siecią telefonów.

Przebudować? Broń Boże! Wyraz ten jest wyklęty raz na zawsze.

Wszyscy mieszkańcy domu są w głębi duszy konserwatystami. Żal im każdego gwoźdźcia, każdego kołka ze starego domu, ale oszczędności kilkunastu pokoleń, połączone z niezwykłą pracowitością pokolenia dzisiejszego, rozsadzają ściany starego budynku. Ci, co czuwają nad zachowaniem domu w dawnej postaci, sami bezwiednie pracują nad jego przeobrażeniem. Ktoś, słysząc z daleka, ile nowych rzeczy przybyło w tym domu, zamieszkanym przez konserwatystów, zawoła mimowolnie; „Jacyż to postępowi muszą być ludzie!“

Taki dom przypominałby mi żywo Anglię i Anglików.

Ale o miedzę mamy dom inny. Tam mówi się ustawicznie o postępie. Od lat wielu istnieją już

nawet szczegółowe plany, według których dom ma być przebudowany. Cóż, kiedy dotychczas nie zdobyto się choćby tylko na załatwienie dziur w dachu. I pocóż dach naprawiać, skoro i tak stanąć ma niebawem dom nowy? — Rozumowanie takie słyszemy tam co roku. Tymczasem podczas deszczu woda coraz bardziej leje się przez sufity, a gospodarz coraz zawzięciej gada o konieczności przebudowania domu i o postępowem urządzeniu mieszkań w przebudowanym budynku.

Toby nie było po angielsku.

* * *

Cieśnina Kaletańska — to mur wysoki i zwarty. Wszystko inaczej wygląda po jednej stronie, inaczej po drugiej. Po tysiąc razy zastanawiano się nad tem, dlaczego ta niewielka przegroda jest w rzeczywistości taką nieprzebytą zaporą? Po tysiąc razy wymieniano wszystkie czynniki, które, oddziaływając od tysiąca lat na mieszkańców Anglii, urobiły ich ostatecznie tak, iż nie są podobni ani do bliższych, ani do dalszych sąsiadów.

Czytaliśmy to nieraz i wiemy, jakie to były czynniki.

A więc przede wszystkim zmieszanie się ras: badawczy, lubujący się w dociekaniach i mistycznych zachwytach pierwiastek umysłowości sasko-

germańskiej, skojarzony z przedsiębiorczością i zdobywczością normandzką.

W tęsknocie, w rozpacz, w smutku lorda Byrona są żałosne dźwięki, które ucho galijskie, ucho francuskie chwytają tylko z wysiłkiem i trudnością. Ale ten sam Byron umiał coś więcej, niż kwilić na lutni. Obok krwi saskiej płynęła w nim krew normandzka. Gdy go z daleka doszedł dźwięk, zwiastujący, że już uderzono w czynów stal, poszedł bić się — za kogo? — za Greków.

Kto w wieku XIX mógł o sobie powiedzieć, że ma wiarę głębszą i gorętszą, niż Gladstone? A ileż tam było energii i dzielności! Widziano ją nie tylko wtenczas, gdy ten polityk, myśliciel, uczony, dosiadał niesforne konia, lub gdy dla wypoczynku po trudach życia londyńskiego, ścinał stare drzewa w Hawarden, ale widziano to przede wszystkim w tych długich zapasach z własnym narodem, gdy temu narodowi trzeba było wydzierać krok po kroku prawa i ulgi dla Irlandyi.

To zespolenie dwóch pierwiastków snuje się jaskrawem pasmem przez długie pokolenia dusz angielskich.

Innym ważnym czynnikiem są warunki klimatyczne. Klimat angielski, o ile bywa zmienny w ciągu doby, o tyle bywa stały w ciągu roku. Nie przynosi on mieszkańcom tych wielkich przeciwieństw zimy i lata, których doznajemy na łą-

dzie stałym. W najpiękniejsze, jasne, słoneczne dni sierpniowe zastałem już w Anglii chłody. Wszyscy mężczyźni chodzili w jesiennym welniannym ubraniu; za to też, opuszczając Anglię z końcem października, zostawiłem tam liście na drzewach i piękną, zieloną murawę. W Ostendzie zastałem już gałęzie nagie. Pamiętajmy, że najpopularniejsza gra narodowa *football* jest w Anglii grą zimową, nie letnią. Przez całą zimę Anglik bawi się na trawniku. W Anglii właściwej sanie są sprzętem prawie nieznanym.

Zima nie wypłasza rodziny angielskiej ze wsi do miasta. Zima nie pozbawia młodzieży rozrywek wakacyjnych. Nie spędza dzieci z łąki. Nie zmusza do wyszukiwania jakichś gier pokojowych, oszukujących tylko mięśnie, a nie dostarczających im prawdziwego zajęcia. Ale też naodwrot, słońce letnie nie rozpala ziemi angielskiej, nie przeszkadza chłopcom w bieganiu z odkrytą głową, nie osłabia nerwów spiekotą, nie odbiera ochoty do igrzysk, nie uczy zniewieściałości.

Anglia zaczęła wcześniej. Epoka jej dzieciństwa politycznego przypada na czasy, w których nie było dzisiejszego zaostrenia przeciwieństw socjalnych, kiedy nie było dzisiejszego przeludnienia, nie było tłumów wielkomiejskich, wstrząsanych kurczami nienawiści. Anglicy odbyli nowicyat polityczny w okolicznościach, których żadne młode

społeczeństwo, idące w ich ślady, ani nie oglądało, ani oglądać nie będzie.

Kiedy wiek XVI, po złamaniu potęgi baronów i ustaleniu kościoła anglikańskiego, złożył w ręce Tudorów silną władzę królewską, konstytucya angielska liczyła już sobie trzysta lat życia. Władza królewska znalazła w parlamencie hamulec, jakiego nie znalazł w podobnych warunkach żaden monarcha na lądzie stałym.

I naodwrot, gdy w wieku następnym przyszło do starcia między parlamentem i królem, i gdy to starcie zakończyło się zwycięstwem parlamentu, Anglia była już zbyt dojrzała, przewodnia warstwa narodu była już zbyt doświadczona, opinia publiczna zbyt wyrobiona, by pozwolić na rozwielenie się swawoli parlamentarnej, by wolności dać się wyrodzić w rozpustę.

Anglia uczyła się korzystać z wolności słowa, uczyła się oceniać wiarogodność dzienników, uczyła się niedowierzać bladze, a zdanie cudze szanować, gdy jeszcze nie było ani pism, miewających po sto tysięcy czytelników, ani banków, gotowych dziesiątkami tysięcy funtów płacić za artykuły ekonomiczne, ani telegrafów i telefonów, roznoszących plotkę dziennikarską w mgnieniu oka po całej wyspie.

Anglia uczyła się przychodzić gromadnie na zebrania ludowe, uczyła się słuchać sceptycznie fra-

zesów i wysłuchawszy cierpliwie jednego mówcy, czekać, aż za tydzień lub dwa, inny mówca wystąpi z tezą przeciwną, Anglia uczyła się korzystać nie tylko z wolności mówienia, lecz także z wolności słuchania mów, gdy jeszcze nie było zwartej organizacyi socyalistycznej, gdy jeszcze nie było milionowych funduszków na agitacyę, gdy jeszcze nie było wydoskonalonej dyalektyki i metodyki agitatorskiej.

Takiej ewolucyi politycznej, takiej ośmiowiekowej szkoły samodzielnego politycznego myślenia nie przejdzie już żaden naród. Widowisko to nie powtórzy się już nigdy w żadnym kraju na kuli ziemskiej. Porównajmy z Anglią państwa bałkańskie. W chwili narodzin musiały umieć to, czego Anglia uczyła się od połowy wieków średnich. Tego, do czego w Anglii zaprawiało się po kolei dwadzieścia pięć pokoleń, miało dokazać w Serbii lub Bułgarii pokolenie pierwsze.

Ta starodawność ustroju politycznego odbija się jeszcze dzisiaj na zwyczajach i obyczajach, na sposobie życia, na organizacyi rodziny, na urządzeniach domowych. Anglik dobił się praw wolnego obywatela, wyzwolił się z pod samowoli królewskiej, z pod zdzierstwa baronów, z pod kaprysu urzędników — wówczas, gdy dom jego nie stał jeszcze w rzędzie innych domów, tworząc wraz z nimi połać ulicy wielkemiejskiej, lecz krył się

w cieniu starych wiazów lub buków; gdy się nie słyszało turkotu powozów, ale za to widywało czasem stado jeleni, podchodzące do poblizkiego potoku; gdy, wychodząc z domu, brało się nie lornetkę i *kodak*, ale łuk i strzały i podchodziło się gluszcza na toku.

Wtenczas to, gdy Anglik był wieśniakiem, gdy każdy dom sobie wystarczać musiał, gdy mieszkania ludzkie były od siebie odległe, wytworzyły się już typowe formy życia angielskiego. Pęta organizacji autokratyczno-feodalnej zastąpiono już wówczas innymi węzłami i organizacją inną. Silną więź poddaństwa feodalnego zastąpiła nierównie silniejsza więź zdrowego, moralnego, solidarnego pożycia rodzinnego; żelazną rękę wielkorządcy królewskiego zastąpiły węzły życia religijnego, skupiające ludność przy kościele parafialnym i zamieniające parafię w silną podwalinę państwa.

Twierdzą zaś, broniącą tego systemu był dom angielski, szukający oparcia o zakrystę kościelną, w której odbywały się zebrania parafialne, o najbliższe kolegium szkolne, które pomagało domowi w wychowywaniu przyszłego pokolenia, o zgromadzenia wyborcze, które go łączyły z narodem.

Zmieniła się postać kraju. Tam, gdzie stał stary angielski dom wiejski, taki, jaki nam przedstawia Szekspir w *Henryku IV*, widzimy dziś ulicę miejską. Po obu stronach dawnego domu stanęły domy

nowe. Z pól i lasów został tylko niewielki ogródek. Zamiast jeleni na rykowisku słycać turkot kół fabrycznych. Ale to, co było węglem życia społecznego przez tyle wieków, to, na czem spoczywała siła narodu, to dawne życie domu angielskiego przetrwało burze i wstrząśnienia. Dom ten jest po dawnemu światem dla siebie. Dom ten zachował swą wieśniaczość, zachował dawną wiejską gościnność dla obcych, a dawną powagę rodzinną dla swoich. Gościowi, który w takim domu spędza dni parę, może się zdawać, że się nie znajduje gdzieś na przedmieściu wielkiego miasta, ale wśród borów, w których polowała Elżbieta, lub przez które wielki poeta podkładał się pokryjomu z łukiem pod zabronioną zwierzynę.

W Anglii nowożytnej potracamy co krok o ślady Anglii średniowiecznej. Odszukiwanie tych śladów, odgrzebywanie tych pozostałości stanowi prawdziwą rozkosz dla podróżnika, tak, jak powabem każdej podróży po Włoszech jest odszukiwanie kolumn, łuków i fryzów, będących już dzisiaj tylko częścią ścian i murów, z których się składa podupadłe miasteczko włoskie.

Tylko pamiętać trzeba, że tu nie było najazdu barbarzyńców.

Jak chata pastucha włoskiego zrosła się ze starych kapitelów i z pogruchotanych posągów, tak

życie nowożytnego Anglika składa się do dnia dzisiejszego z pierwiastków życia sielskiego.

Ziemianin, pan włości, inteligentny mieszkaniec dworu wiejskiego znajduje wszystkie przyjemności i rozrywki życia codziennego w granicach swojej posiadłości. Gospoda wiejska jest dla gminu, dla robotników. W Anglii rys ten pozostał do dnia dzisiejszego. Anglia — to jest kraj, w którym niema kawiarni. Niema ich wcale. Ani prawdziwych kawiarni wiedeńskich, ani kawiarni w guście cukierni warszawskich, ani kawiarni w guście monachijskim czy paryskim, ani małych, ani wielkich, ani skromnych, ani eleganckich; niema wogóle żadnych, bo jeżeli się nam uda odszukać w Londynie jakiś lokal, założony przez Niemca dla Niemców, a Anglikom prawie nieznanym, to lokal taki nie wchodzi tu w rachubę. Herbaciarnie zamykane wczesnym wieczorem, nie posiadające ani dzienników, ani odpowiednich lokalów, są tylko sklepami, do których się wchodzi na parę minut dla wypicia filiżanki herbaty. Wielkich lokalów publicznych, czy to pod nazwą kawiarni, czy piwiarni lub cukierni, w którychby inteligentna publiczność przesiadywała wieczorem, lokalów, któreby nam przypominały bulwary paryskie lub wiedeńskie Ringi, szukalibyśmy w Londynie napróżno. Anglik jest mieszkańcem wsi. Ma swój dom i w tym domu kuchnię, piwnicę, spiżarnię. Karczma jest dla niego za demokraty-

czna. Lada kto mógłby usiąść tam obok niego, a co gorsza, obok jego żony lub siostry. Gdy domu nie ma lub gdy mu w nim nudno, idzie do klubu, gdzie spotyka znajomych, ale gospodę uważa za miejsce stosowne dla proletaryatu.

Rzecz oczywista, że w braku tych zakładów niema także bulwarowego życia.

Ale skutki tych przyzwyczajzeń wieśniaczych sięgają o wiele dalej.

Anglik, który chce udzielić cudzoziemcowi dokładniejszych wiadomości o swym kraju, nie schodzi się z nim w kawiarni, bo tej kawiarni niema. Zaprasza go do domu. Dom jego nie leży zaś o parę ulic dalej, lecz, jeżeli tylko okoliczności pozwalają, znajduje się o kilkadziesiąt kilometrów od miasta. Tam, patrząc na pastwiska i porozrzucane między drzewami domki sąsiadów, wychowują się zimą i latem jego dzieci. Tam ma Anglik kawał ogrodu przy domu, a w ogrodzie i własny lawntennis i konia, i krowę, i otoczone drucianą kratą podwórko na drób.

Gość wsiada przed wieczorem do wagonu na którymś z miejskich dworców londyńskich i z szybkością, z jaką się w innych krajach nie jeździ, staje niebawem na miejscu. Rzecz oczywista, że wiezie z sobą walizę z frakiem, a prostem następstwem tego przepisu towarzyskiego jest, iż zaraz po przy-

jeździe gospodarz prowadzi go do pokoju gościnnego, gdzie się ma przebierać.

Obiad kończy się po ósmej. Około wpół do dziesiątej podają herbatę. Gdy nareszcie rozmowa się kończy, trudno wymagać od gościa, żeby się znowu przebierał, pakował i śpieszył z walizką na dworzec, gdzie już może aż do rana nie będzie pociągu. Trzeba nocować. Jest to w tych warunkach tak naturalnem, iż się o tem nawet nie mówi. Gospodarz odprowadza więc gościa do pokoju gościnnego, pyta przed rozstaniem, czy zwykł rano kąpać się w wodzie zimnej, czy w ciepłej (w Polsce pytają, czy pija kawę, czy herbatę?), przekonywa się, czy mu czego nie brak, mówi dobranoc i powierza przybysza Morfeuszowi.

Nazajutrz gość, wypoczęty, wykąpany, nakarmiony wszystkimi przysmakami prawdziwego angielskiego śniadania, żegna gospodynię i wraca do stolicy. Bardzo jest prawdopodobne, że gospodarz będzie mu towarzyszył. Wszak musi jechać do swego biura, do swego banku, do swej redakcyi, do swej fabryki.

Młodzi, będący na dorobku, nie zawsze mogą sobie pozwalać na takie codzienne wydalania się z miasta, ale zapracowanie sobie na dom na wsi jest ostatecznie celem Anglika. Gdy kilku członków rodziny prowadzi przedsiębiorstwo wspólnemi siłami, a wszyscy pobudowali sobie wille w tej sa-

mej miejscowości, na tym samym kawalku zieleni, starają się urządzić swe czynności tak, żeby każdy mógł spędzić parę wieczorów w tygodniu na wsi, żeby każdy mógł wybiegać się po murawie i zakosztować przyjemności, jaką Anglikowi sprawia tennis lub cricket, żeby, w braku prawdziwego wierzchowca, użył rozkoszy poborykania się z narowistym kucem — jednym słowem, żeby zaspokoił wrodzone pragnienie ruchu, pracy, zmęczenia.

A podróżny nie ma wyboru. Albo przyjeżdża z listami do ludzi, którzy go zawiozą do siebie na wieś i otworzą mu wnętrze swego domu, albo nie zetknie się wcale ze społeczeństwem angielskiem.

Z początku dziwi go ten sposób życia. Trochę mu tęskno za stolikami przed kawiarnią na chodniku. Szybko jednak przywyka. I rzecz dziwna! Oko oswaja się do tego stopnia z typami angielskimi, że po upływie dwóch miesięcy przyjezdni, których spotykamy na ulicach Londynu, wydają się nam śmieszni, a angielski sposób życia tak nas jakoś zaczyna wciągać w swe ustalone kręgi, iż zapominamy, że gdzieindziej ludzie żyją inaczej.

O dziesiątej przed południem opuściłem Londyn. O szóstej wieczorem zdejmował mi palto garson w którejś kawiarni brukselskiej. Miałem znowu przed oczyma dobrze znane życie wielkomiejskie, a jakże dziwne wydało mi się tym razem! Ubożsi i bogatsi, światli i prości, wykwintni i nieokrzesani

siedzą w tej samej sali, śmieją się głośno, rozprawiają tak, iż nieraz przy jednym stoliku słyhać, o czem przy drugim toczy się rozmowa. Za chwilę byłem, jak w domu. Ale pierwsze wrażenie zostało w pamięci.

Jakie to nieangielskie! Jakie to demokratyczne! Jakie nowożytnie! Jak w tem nic nie znać tradycji!

Cóż dopiero powiada Anglik, który po raz pierwszy w życiu wysiada na ląd stały?

Podróżny, który odważył się na przepłynięcie wąskiej cieśniny morskiej, płynąc z lądu stałego do Anglii, nie posiada się ze zdumienia. Przyjechał z kraju, w którym go uczono od dziecka, że człowiek uprzejmy kłania się na ulicy znajomym — a znalazł się na wyspie, na której mężczyzna, witający drugiego mężczyznę uchyleniem kapelusza, zwraca uwagę przechodniów i wywołuje uśmiech na twarzach.

Przyjechał z kraju, w którym mówiono mu, że ludzie dobrze wychowani chodzą w ogrodzie po ścieżkach i nigdy nie skracają sobie drogi przez trawnik — a znalazł się na wyspie, której mieszkańcy nie zrozumieją nigdy, iż wszedłszy do ogrodu, można sobie odmówić przyjemności deptania po miękkiej szmaragdowej murawie. — Dziwił się, widząc tłumy na trawnikach w Hyde Parku, a nie mógł dać sobie rady, gdy zobaczył panów i panie, jak się rozkoszują przechadzką po precudnej zie-

leni w ogrodach królewskich w Kew lub w botanicznym ogrodzie w Cambridge.

Przyjechał z kraju, w którym rodzina, osiedlająca się w obcym mieście, składa wizyty rodzinom dawniej osiadłym, a znalazł się na wyspie, na której rodziny dawniej osiadłe przychodzą pierwsze w odwiedziny do tych, co się osiedlili później, dając im poznać w ten sposób, że chcą z nimi nawiązać stosunek towarzyski.

Przyjechał z kraju, w którym mężczyzna, doczekawszy się w teatrze antraktu, poczytuje sobie za miły obowiązek wstać z krzesła, obrócić się ku łóżom i zlustrować lornetką wszystkie obecne piękności, a znalazł się na wyspie, na której widz, pozwalający sobie w teatrze na coś podobnego, widzi dokoła spojrzenia zdumione i ironiczne uśmiechy.

Przyjechał z kraju, w którym podróżny nie spuszcza oka ze swych pakunków, jeżeli zaś rozstaje się z nimi, to tylko wtenczas, gdy mu je zważą i wydadzą na nie kwit, ostemplowany, podpisany i opłacony, a znalazł się na wyspie, na której koleje przewożą podróżnym pakunki bez wagi, bez opłaty i, o dziwo, bez kwitu!

Przyjechał z kraju, w którym system dziesiętny w pieniądzach, w miarach i wagach, uchodzi za znamię postępu, a znalazł się na wyspie, przodującej światu pod tyłoma względami, a na któ-

rej mimo to funt szterling dzieli się na 20 szylingów, a szyling na 12 pensów; na której w mili mieści się 1760 jardów.

Znalazł się na wyspie, na której przeważna część mężczyzn trzyma się zasady, że stroić im się wypada nie wtenczas, gdy wychodzą na ulicę i mają spotykać kobiety obce, ale wtenczas, gdy wrócili do domu i mają wejść do pokoju, w którym siedzi ich żona, matka i siostra.

Przyjechał z kraju, w którym powiadano mu tysiąc razy: „Mieli rozum Anglicy, że się wzięli do kramarstwa, bo dziś tylko szachrajom wiedzie się na świecie!“ — a znalazł się na wyspie, na której wyraz „kupiec“, jest synonimem sumiennosci, rzetelności, słowności; na wyspie, na której każdy przybysz z za morza, czy to Polak, sprzedający bicykle studentom w Cambridge, czy uczoney z nad Renu, wykładający młodym chłopcom literaturę niemiecką, czy lekarz z Vliessingen, który, przemierzywszy puszcze afrykańskie wzdłuż i wszerz, osiadł ostatecznie nad Tamizą — mówi o uczciwości i zacności stanu kupieckiego z najwyższem uznaniem.

Znalazł się na wyspie, na której niedziela nie jest dniem rozrywki; na wyspie, na której główny sezon życia miejskiego przypada nie w zimie, lecz w lecie, na której ludzie nie najmują mieszkań,

lecz całe domy, na której przy drzwiach zamiast dzwonek są kołatki.

Znalazł się na wyspie, na której młodzi prawnicy, młodzi wojskowi, młodzi robotnicy, młodzi kupcy miewają przemowy na temat, wyjęty z Pisma świętego; na której córki bogatych rodzin pielęgnują chorych po szpitalach; na której wzbogaceni dorobkiewiczze kupują od zbankrutowanych lordów rozległe parki nie po to, by je rozparcelować pod koszarowe mieszkania, „tingle - tangle” i fabryki margaryny, ale po to, by je na wieki wieków zostawić otworem dla ludności, potrzebującej świeżego powietrza.

Zapewne, niejednen z tych rysów, które go uderzają, jest sam przez się drobnostką, ale te wszystkie drobnostki, razem wzięte, stanowią obraz niesłychanie oryginalny i pobudzają do myślenia.

Nasz podróżny przywozi ze sobą do Anglii pewien zasób przekonań politycznych. Przekonania te są jego chlubą, rękojmią jego wyższości nad otoczeniem, pociechą w strapieniach. Przekonania swe ujął nasz podróżny w jakąś piękną formułę, która z dniem każdym coraz bardziej mu się podoba, która imponuje jego żonie i córkom, według której ocenia kraje, społeczeństwa, narody i postaci historyczne. Wbiwszy raz sobie ćwieczka politycznego w głowę, objeżdża kraje ładu stałego i szuka u ludzi w tym samym punkcie czaszki

ćwieczków podobnych. Ci, u których je znajduje, są oczywiście mądrzy, zdrowi, zacni, mają przyszłość przed sobą, zaś ci, u których te ćwieki mają kształt inny, są głupi, nikczemni, strupieszali i skazani na zagładę.

Mniejsza o to, jak ta ulubiona formuła opiewa. Wystarcza ona od biedy do mierzenia i oceniania innych społeczeństw na lądzie stałym. I ten, kto powiada codzień: „Musi być źle na świecie, bo rządami trzęsą wolnomularze“ — i ów jego sąsiad, który zapewnia, że „póty piekło będzie na ziemi, póki nie porozganiamy księży“, i tamten z naprzeciwnika, który święcie wierzy, iż demokracja jest wymysłem kilku jednostek, robiących na niej świetne interesy, i wreszcie wspólny ich przyjaciel, delectujący się codziennie frazesem: „Niema miasła, którebym tak nienawidził, jak Kraków, bo tam mieszka dużo konserwatystów“ — oni wszyscy mogą ostatecznie zapomocą tych formułek wydać wyroki o Francuzach i Serbach, o Czechach i Holendrach.

Inaczej rzecz się przedstawia, gdy który z tych polityków wyląduje na ziemi angielskiej. Tu formułka jego traci wszelką wartość i znaczenie. Podróżny, który ze swoim antymasońskim, antyklerykalnym czy antyszlacheckim ćwieczkiem woził się po kontynencie, nie wie, co ma począć z nim w Anglii.

Wyrazy: „mason“, „demokrata“, „szlachcic“, „duchowny“ mają tu tak odmienne znaczenie, iż żadna formułka polityczna, przywieziona z zagranicy, nie da zastosować się żywcem do stosunków angielskich. — Anglik miewa także swoje ćwieczki, ale powbijał je sobie tak, iż oko niewprawne nie może ich w pierwszej chwili odszukać, nadto zaś każdy ćwieczek mówi nam całkiem co innego, niż na lądzie stałym.

Dlatego też podróż do Anglii miewa dla nas tak wielkie znaczenie wychowawcze. Dowiadujemy się mianowicie, że nasze teorye polityczne mają wartość bardzo względną i bardzo ograniczoną. Dowiadujemy się, że oprócz znanych nam form bytu społecznego i politycznego, istnieją jeszcze formy inne. Dowiadujemy się, że obok dróg, które uważamy za doskonałe, są jeszcze drogi inne, któremi także do nienajpośledniejszych dochodzi się rezultatów.

Gdyśmy to ujrzeni na własne oczy, przestajemy wierzyć w niezachwianą doskonałość naszych programów, przestajemy wierzyć we własną nieomyślność. Nabieramy skromności. A to każdemu się przyda.

Zwiedzanie całej Anglii, nie mówiąc już nawet o Walii, Szkocyi i Irlandyi, połączone jest niewątpliwie z różnemi trudnościami. Bezporównania mniej trudności nastrecza poznanie Londynu i naj-

bliższych okolic. Pamiętajmy zaś, że najbliższe otoczenie stolicy, a mianowicie pasmo kraju między Tamizą a południowym brzegiem Anglii, jest ładne, jako krajobraz, a przytem urozmaicone mnożstwem pamiątek.

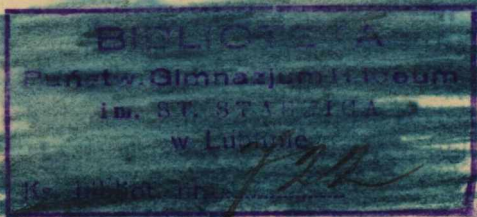
Nad Tamizą, powyżej Londynu, mamy Windsor i Oxford, a w hrabstwach, położonych na południe od rzeki, spotykamy wspaniałe katedry w Canterbury, Rochester, Winchester, Chichester. Tu mamy rozległe parki przy pałacach arystokracji, która lubiła osiedlać się w pobliżu rezydencji, tu mamy zamki starożytne, jak Arundel, leżący częścią w zwaliskach od czasu wojny domowej, tu starożytne opactwa, jak Battle, lub opisywane przez Walter-Scotta Waverley.

Kraj falisty. Od zachodu ku wschodowi, równolegle do brzegu morskiego i biegu Tamizy, ciągnie się pasmo drobnych wzgórz lesistych. Króluje nad nimi Leith-Hill, nie mający więcej jak trzysta metrów wysokości. Idąc między wrzosami, mijając rozrzucone zrzadka wiązy, staje się niebawem na szczycie. W dzień pogodny widać stąd, jak zapewniają, z jednej strony morze, z drugiej — kopułę św. Pawła w Londynie.

Bylem w dzień pogodny; wzrok mam dobry. Ani fal morskich, ani kopuły dojrzeć nie zdołałem. Życzę każdemu z mych czytelników, by mu się to udało. Życzę mu zarazem, by pod każdym

innym względem tak mu się w Anglii szczęściło, jak mnie. Życzę mu, żeby mu równie dopisywała pogoda, żeby mu się kraj cały przedstawił w takich blaskach słonecznych, żeby wywiózł ze sobą takie, jak ja, wspomnienie angielskiej gościnności, i żeby tak, jak ja, żałował, że nie będzie mu dane odwzajemić się taką samą gościnnością na polskiej ziemi.

K O N I E C .

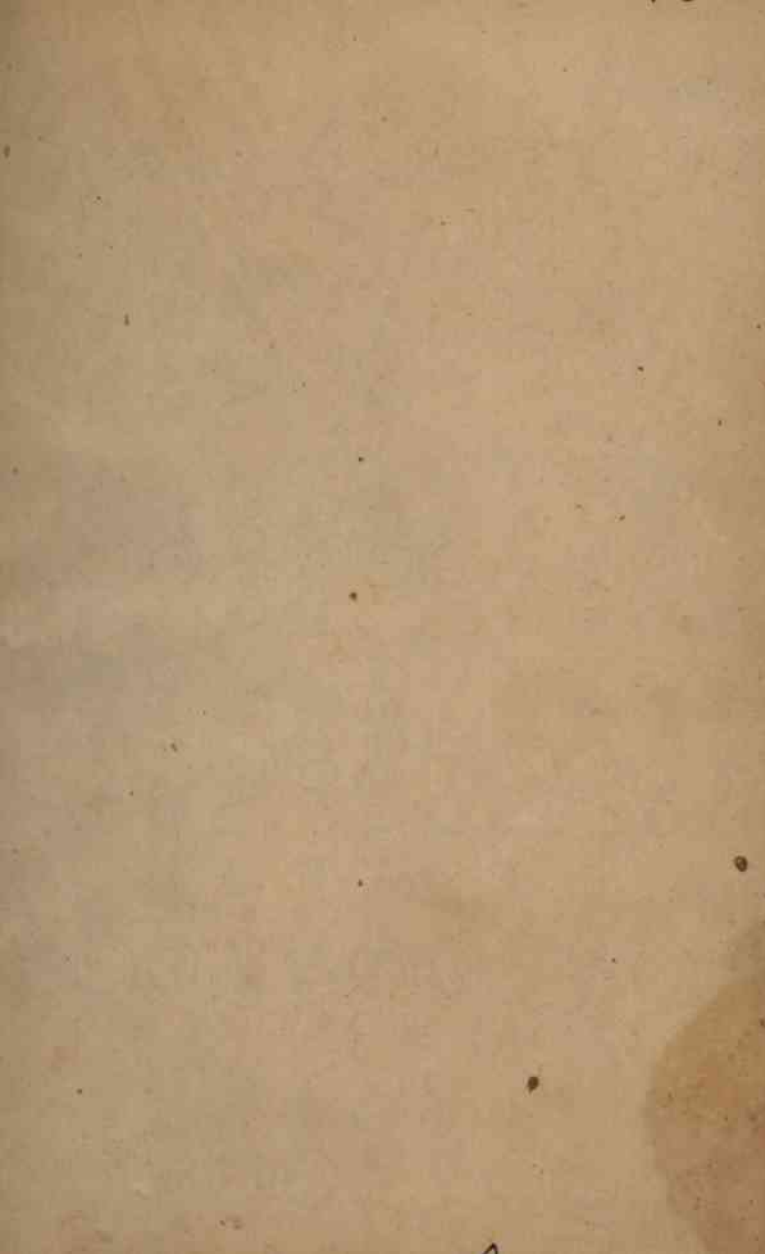


SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	1
I. Dom na wsi. — Wycieczka po kraju. — Budownictwo. — Kościół i dwór. — Życie wiejskie. — Wycieczki dylżansem	3
II. Kto zbudował Londyn? — Trojanie nad Tamizą. — Topór karta i swoboda ludu. — Niedziela. — Żanki londyńskie i język polski. — Procesya	18
III. Kto podbił Indye? — Kogo słuchały uniwersytety? — Państwo i naród. — Opinia publiczna. — Co to jest gentleman? — Arysokracya i społeczeństwo	45
IV. Cambridge. — W cieniu starożytnych murów uniwersyteckich. — Igrzyska narodowe. — Słowo i czyn. — Nowa szkoła	93
V. Misyonarz i jego słuchacze. — Żarliwość sekt. — Katolicyzm w Anglii. — Prąd Oxfordzki. — Tolerancya i jej granice	129
VI. Nocleg u krawca. — Proletaryat i mieszczaństwo. — Wulkan na wyspie. — Workhouse. — Wrodzona dzikość i wpływ otoczenia	164

VII. Miłe sąsiedztwo. — Wielbiciel Boskiej komedy. — Polityka bieżąca. — Większa Brytania i Mali An- glicy. — Obrona oceanów i przyszła wojna . . .	189
VIII. Pan minister przed wyborcami. — Panowie w sali i panowie na estradzie. — Czego dokonał wiek ubiegły?	208
IX. Konserwatysta czy postępowiec. — Anglia dawna i Anglia nowa. — Anglik na łądzie stałym i Po- lak w Anglii	235

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN







Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 43928

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171948